FRYDERYK CHOPIN.

ŻYCIE — LISTY — DZIEŁA

przez

Maurycego Karasowskiego.

Motto:
Chopin ist und bleibt der Kühnste
und stolzeste Dichtergeist der Zeit.
Robert Schumann.

Tom I.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1882.

FRYDERYK CHOPIN.

FRYDERYK CHOPIN.



ŻYCIE — LISTY — DZIEŁA

przez

Maurycego Karasowskiego.

Motto:
Chopin ist und bleibt der Kühnste
und stolzeste Dichtergeist der Zeit.
Robert Schumann.

Tom I.



WARSZAWA,
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1882.



Дозволено Цензурою.
Варшава 2 Декабря 1881 года.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

PRZEDMOWA.

W niniejszej pracy, jaką ośmielam się uwadze ziomków przedstawić, zawiera się owoc dwudziestoletnich trudów, podjętych w celu wyszukiwania i gromadzenia materyałów, dotyczących życia Fryderyka Chopina.

Główną i jedyną jej zaletą, są jego listy; posiadanie takowych zawdzięczam przedewszystkiem rodzinie Fryderyka, i tych kilka, w rozprawie pod tytułem: „Młodość Chopina“ drukowałem już w *Bibliotece Warszawskiej* 1862 roku.

Właśnie kiedy byłem zajęty przepisywaniem listów z późniejszej epoki jego życia, przerwałem moją pracę i r. 1863 wyjechałem z kraju. To co podówczas zdołałem przepisać, zachowałem, resztę zaś, mianowicie listy pochodzące z Paryża, zwróciłem rodzinie Chopi-

na. Niestety, nie przypuszczałem, że ich już nigdy nie obaczę, nieszczęśliwym bowiem składem okoliczności, w kilka miesięcy później, wszystkie uległy zniszczeniu!...

Pragnąc i tę odrobinę, po znakomitym naszym mistrzu piśmiennych pamiątek, jakie się w mojem posiadaniu znajdowały, od zagłady ocalić, wydrukowałem 1869 roku także w *Bibliotece Warszawskiej*, a nawet Redakcya jej, uznała za stosowne wydać takowe w osobnej odbitce.

Osiedliwszy się następnie w Dreznie i mając z powodu mojego powołania codzienne z artystami i muzykalnym światem stosunki, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu przekonałem się, iż o Chopinie, którego dzieła muzyczne Niemcy tak wysoko cenią, nietylko mało co wiedzieli, lecz nawet to co wiedzieli, niedokładne było, przekształcone, z prawdą niezgodne. To mię spowodowało do skreślenia życiorysu Fryderyka w języku niemieckim.

Dzisiaj, pochlebiam sobie, wiedzą już oni, wie świat cały, kim on był i jakim był.

Od wydania pierwszej niemieckiej edycyi, upłynęło lat kilka; wyszło to na korzyść książki polskiej, gdyż przez ten czas, niektóre niedokładności, wątpliwe fakta, o ile mogłem, sprostowałem, wyjaśniłem i wielu nowemi materyałami, tudzież nieznanemi listami Chopina pomnożyłem.

Jakiego dozna praca moja od współziomków przyjęcia, nie wiem; lecz zapewnić ich mogę, że czyniłem co było w mojej mocy, aby w niej przedstawić najzupełniejszy obraz życia artysty, który pozostanie na zawsze chlubą i zaszczytem naszego kraju!

Maurycy Karasowski.

W Dreznie,
dnia 16 listopada 1881 r.

ROZDZIAŁ I.

Mikołaj Chopin. — Rodzina jego. — Przyjaciele domu. — Żywny. — Elsner.

W drugiej połowie 1787 roku, kraj nasz przedstawiał obraz niezwykłego ruchu umysłowego. Zbieg pomyślnych okoliczności budził najżywsze w narodzie nadzieje. Rossya i Austrya były zajęte niepomyślnie dla nich rozpoczętą wojną turecką; Prusy zaniepokojone zbrojeniem Szwecyi, zmuszone same do groźnego wystąpienia, zdawały się także wytężoną pożądliwie dotąd uwagę na ziemie polskie, zwracać w inne strony. Wszyscy więc w kraju czuli, że trzeba się spieszyć i korzystać z czasu, dopóki zawikłania w sąsiednich państwach nastręczają możność swobodnego radzenia o sobie. Naród, a przynajmniej światlejsza i zdrowsza część jego, przyszła do przekonania, iż należy wydobyć kraj z toni bezrządu, ratować Rzecz-

pospolitę, poprawić wadliwe i niedostateczne prawa, ustanowić nowe, odpowiedniejsze duchowi czasu. Owiani ciepłem prawdziwego przywiązania i miłości dla sprawy powszechnej, znaczniejsi dygnitarze państwa, duchowieństwo i oświeceńsza szlachta, widząc potrzebę wprowadzenia radykalnych reform w zadawniony i niebędący już na czasie organizm polityczny Rzeczpospolitej, krzątali się gorliwie w celu zjednania w tym kierunku opinii ogółu; tworzono zjazdy, naradzano się, debatowano o kwestyach najważniejszych, komunikowano sobie wzajemnie owoce wzrastającego z dniem każdym ruchu umysłowego. Przeważnie znaczniejsza większość narodu zgadzała się na to, iż należało wzmocnić rząd, aby własnemi siłami mógł się opierać skutecznie nieprzyjaznym obcym wpływom, aby zabór kraju dokonany przez trzy sąsiednie mocarstwa 1772 r., na przyszłość nie mógł już być powtórzonym. Pragniono więc przedewszystkiem uchwalić stałą pokaźną siłę wojenną, stan mieszczański podnieść i nadać mu przywileje, jakich dotąd nie posiadał, włościan wyzwolić z poddaństwa i pomału zrównać ich w prawach politycznych z innemi stanami.

Oczywiście, że w Warszawie jako stolicy państwa, odbijało się niby w zwierciadle to,

co tak rdzennie kraj cały zajmowało. Mnóstwo przedniejszych rodzin zjeżdżało na stałe do niej mieszkanie, gdyż mający się zebrać niebawem sejm, miał stanowczo wpłynąć na losy narodu. Powozy posłów zagranicznych udających się do królewskiego zamku, gdzie starali się zbadać usposobienie i zamiary Stanisława Augusta względem wielkich reform, jakie naród miał zamiar przeprowadzić; kolasy wysokich dostojników państwa: wojewodów, kasztelanów, otoczonych zwykle konną eskortą dworzan w świetne stroje przybranych; karety strojnych dam, magnatów itp. — wszystko to potęgowało ruch i życie, jakiego już dawno w Warszawie nie pamiętano. Nadzieja lepszej przyszłości ożywiała jej mieszkańców; miano dokonać przewrotu, przewrotu pokojowego, przez dobrowolne zrzeczenie się przywilejów przysługujących dotąd jednemu stanowi, na korzyść młodszej, liczniejszej, a upośledzonej braci.

Nic więc dziwnego, iż Warszawianie z radością przypatrywali się wszelkim do przyszłego sejmu przygotowaniom; to też ulice miasta mrowiły się ludnością. Popularniejszych magnatów, znanych z gotowości do niesienia ofiar dla dobra ogółu, lud warszawski witał oznakami miłości i uszanowania.

Taki to obraz życia i ruchu, przedstawiała w przeddzień czteroletniego sejmu stolica kraju.

Pomiędzy snującym się tłumem, po znaczniejszych ulicach miasta, przechadzał się młody cudzoziemiec, Francuz, dopiero co z zagranicy przybyły. Wszystko na co patrzył, wydawało mu się niezmiernie ciekawem i oryginalnem, począwszy od ubiorów mieszczan, aż do okazałych strojów możniejszej szlachty.

Cudzoziemcem tym, był Mikołaj Chopin, ojciec przyszłego znakomitego fortepianisty.

Mikołaj Chopin urodził się 17 kwietnia 1770 r. w Nancy, w księstwie lotaryngskiem.

Wiadomo, iż skutkiem układów pokojowych, zawartych w Wiedniu 1735 r., księstwa Lotaryngii i Baru, dostały się w posiadanie b. króla polskiego a teścia Ludwika XV, Stanisława Leszczyńskiego, po którego zgonie, zostały wcielone do Francyi. Otóż Leszczyński, miłośnik sztuk i umiejętności, opiekował się gorliwie szerzeniem oświaty pomiędzy swoimi poddanymi; założył wNancy *Akademię Stanislai* dotąd istniejącą, a pełnemi sprawiedliwości i dobroci rządami, zyskał sobie szacunek i miłość ludu. Kiedy Mikołaj Chopin przyszedł na świat, wspomnienie tego króla filozofa, żyło jeszcze w świeżej wszystkich tamtejszych mieszkańców pamięci. Chopin, jak wielu innych ukształceńszych Lotaryńczyków, znał

poczęści ostatnie dzieje Polski, której zawdzięczali panującego nad swym małym krajem nieszczęśliwego monarchę; marzył o tem, ażeby kiedy zwiedzić ją i przyjrzeć się bliżej narodowi, co chociaż nieoględny na własne dobro, chętnie jednak pierś swoją nadstawiał dla dobra i ocalenia innych. Sposobność wkrótce się nadarzyła.

Założył podówczas w Warszawie pewien Francuz fabrykę tabaki. Gdy zażywanie jej poczęło wchodzić w modę i coraz szerzej upowszechniać, właściciel zadowolony z pomyślnego obrotu przedsięwzięcia, wezwał współrodaka swojego Mikołaja Chopina do pomocy, powierzając mu prowadzenie ksiąg rachunkowych. Oto był powód przybycia jego do Warszawy [1]).

Niebawem zrozumiał Chopin, iż znajomość języka miejscowego jest mu niezbędnie potrzebną, jeżeli chce dokładnie poznać obyczaje narodu; począł więc pracować w tym względzie nad sobą i w niedługim czasie znaczne uczynił postępy. Niedługo, bo w dniu 6 października 1788 r., nastąpiło otwarcie wiekopomnego sejmu. Ogłoszono go konfederacyjnym, czem jedynie można było przeszkodzić zerwaniu obrad,

---

[1]) *Pamiętniki* Fryderyka hr. Skarbka.

a oraz dać mu więcej siły i spójności. Umysły szlachty w całym kraju tak dobrze przygotowane zostały, iż wybory na sejm padły przeważnie na ludzi znanych z patryotyzmu i zasad postępowych, a już samo powszechne przekonanie, że sejm ten ma ubezpieczyć niepodległość i całość ojczyzny, nadawało mu tak wielkie znaczenie, jakiego nie miał żaden z poprzednich. Ludzie bystrzejszych umysłów, upominali posłów, aby nie marnując czasu na drobne spory, przystąpili bezzwłocznie do utworzenia dostatecznej siły zbrojnej i do gruntownej naprawy całego państwowego ustroju Rzeczypospolitej. Atoli partja przeciwna wszelkiemu postępowi, umiała zręcznie rozwlekać do nieskończoności obrady nad drobiazgami, a wnoszeniem rozmaitych spraw ubocznych, marnować czas drogi bezpowrotnie.

W wolniejszych chwilach od obowiązkowych zajęć, Mikołaj Chopin biegł chętnie do izby sejmowej, dla przysłuchiwania się mowom wybitniejszych jej członków; wiedział już bowiem, iż tam rozstrzygały się losy kraju, iż kładziono podwaliny, na których miały się wznosić nowe i odpowiedniejsze duchowi czasu narodowego życia warunki.

Mikołaj był także świadkiem ważniejszych politycznych w Warszawie uroczystości; największe atoli wrażenie uczyniło na nim proklamowanie nowej konstytucyi w dniu 3 maja 1791 r. Owoc ten czteroletniej pracy sejmowej, cały naród z wyjątkiem małej garstki ambitnych i niepoprawnych w konserwatyzmie swoim magnatów, przyjął z uniesieniem i zapałem bezprzykładnym. Radość ludu warszawskiego nie miała granic, wszystko co żyło, oddychało szczęściem i nadzieją lepszej przyszłości. Równo ze świtem pamiętnego na wieczne czasy w dziejach naszych dnia, powstał ogromny ruch w stolicy. Na tarasie zamkowym ustawiono liczną artyleryę, wojsko zajęło wskazane sobie stanowiska, a cechy, rozmaite korporacye z chorągwiami i nieprzejrzane tłumy ludu, okoliły zewsząd zamek. Galerye i miejsca przeznaczone dla publiczności, były w całem znaczeniu tego słowa nabite. Mikołaj Chopin, kilkoletnim pobytem w kraju tak dalece przyrósł już do społeczności pośród której żyć mu przyszło, że serdeczny brał udział w objawach radości, jakich wielki ten fakt był powodem. I w najpóźniejszych latach życia jego, wspomnienie tej chwili nie wychodziło mu z pamięci. Lubił dzieciom i przyjaciołom swoim opowiadać o tym dniu uroczystym, o zapale i uniesieniu narodu, któremu się zdawało, iż wzmocniwszy rząd, zrównawszy wobec prawa

wszystkie stany, uchwaliwszy na obronę kraju 100.000 wojska, będzie już odtąd panem przyszłości swojej!

Małe grono butnych magnatów, zawiązało konfederacyę Targowicką, a wybrawszy marszałkiem Szczęsnego Potockiego, ogłosiło za niebyłe i nie mające żadnego znaczenia, wszelkie uchwały i postanowienia sejmu czteroletniego! Fryderyk Wilhelm II król pruski, chociaż poprzednio zapewniał Rzeczpospolitę o przyjaźni swojej, chociaż w dniu 29 marca 1790 r. przez posła swego w Warszawie Lucchesini'ego, zawarł nawet z nią przymierze zaczepno-odporne, gwarantujące niepodległość i samodzielność kraju, przecie nie wahał się przystąpić natychmiast do drugiego podziału Polski, skutkiem którego w roku 1793 otrzymał Toruń, Gdańsk i województwo Wielkopolskie, czyli 1.100 mil kwadratowych przestrzeni ziemi.

Odtąd sypnęły się na nieszczęśliwy naród klęski, wiodące go do ostatecznej politycznej zagłady. Kiedy król Stanisław August, człowiek chwiejnego i słabego charakteru, opuścił naród, a przyłączył się do stronnictwa przeciwnego, stracono wiarę w możliwość ratunku. Wszystkie znaczniejsze i zamożniejsze rodziny poczęły opuszczać Warszawę. Bankructwa instytucyj finansowych, upadek przemysłowych

zakładów, brak zaufania, kredytu, brak pieniędzy itp. sparaliżowały handel, pozbawiając wielu ludzi możności zarobkowania, utrzymania życia. W takiem też położeniu znalazł się nagle Mikołaj Chopin, gdyż fabrykę tabaki w której pracował, z powyższych powodów zamknąć musiano. Nie pozostawało mu nic innego do czynienia, jak opuścić kraj; właśnie gdy się zabierał to uczynić, wpadł w chorobę i musiał pozostać jeszcze na jakiś czas w Warszawie.

Następnie w r. 1794. był świadkiem oblężenia stolicy przez Prusaków, wszedł nawet w szeregi gwardyi narodowej, biorąc czynny udział w obronie kraju. Kiedy po zniesieniu wojska polskiego pod Maciejowicami i wzięciu do niewoli ciężko rannego Kościuszki, przeważne siły nieprzyjacielskie pod dowództwem Suworowa zbliżyły się pod Pragę, Mikołaj Chopin był już setnikiem gwardyi narodowej. Wysłany z kompanią swoją do pełnienia służby na Pradze, byłby tam niechybnie śmierć znalazł, gdyby nie to, iż na parę godzin przed jej zdobyciem, został przez inny oddział zluzowany.

Upadek narodowego powstania Kościuszki, był dla Polski ciosem śmiertelnym. Dokonany w rok później trzeci rozbiór, do którego tym razem przystąpiła także Austrya, położył kres egzystencyi politycznej narodu; Polska wyma-

zaną została z karty Europy, a Warszawa jako prowincyonalne miasto, przeszło pod panowanie Króla pruskiego.

I znowu Mikołaj Chopin świadek ostatnich klęsk narodu, z boleścią w sercu wybierał się z powrotem do Francyi, lecz nim jeszcze zdołał powtórnie puścić się w podróż, powtórnie ciężko zachorował. Pozostał tedy w Warszawie, utrzymując się z dawania lekcyj języka francuzkiego. Gdy później nieraz pytano go, czy nie myśli już o powrocie do Francyi, zwykł był odpowiadać: „Próbowałem dwa razy to uczynić i zachorowawszy, o mało życia nie straciłem. Widać, iż przeznaczenie chce, ażebym pozostał już w Polsce na zawsze. Zgadzam się z wolą Opatrzności i zostaję“.

Zdarzyło się, że właśnie w owe czasy pani starościna Łączyńska potrzebowała dla swoich dzieci nauczyciela języka francuzkiego. Przypadkiem poznała Mikołaja, a ujęta jego wykształceniem i przyzwoitem obejściem, ofiarowała mu u siebie na wsi miejsce guwernera, które on bez wahania przyjął. Odtąd więc rozpoczął Chopin zawód pedagogiczny, łączący go następnie tak ściśle ze społecznością i krajem. W domu starościny, miał on za uczniów dwóch jej synów i dwie córki, z których młodsza Marya, wówczas około 14 lat wieku mieć mo-

gąca, rzadką odznaczała się pięknością. Poślubiona Walewskiemu, stała się później oblubienicą ówczesnego władcy Europy Napoleona I i matką hrabiego Colonna Walewskiego, znanego ministra stanu za czasów drugiego cesarstwa we Francyi.

W początkach bieżącego stulecia, widzimy Mikołaja przebywającego w Żelazowej woli pod Sochaczewem, w domu hr. Skarbkowej, w charakterze guwernera przy jej starszym synu Fryderyku. Zasłużony ten pisarz na polu literatury ojczystej, nie miał dosyć słów uznania dla nauczyciela, któremu zawdzięczał pierwsze swoje naukowe wykształcenie. Chopin jako moralny i poczciwy człowiek, poświęciwszy się wychowaniu młodzieży polskiej, nie myślał nigdy przekształcać jej na Francuzów, lub wpajać w nią zasady we Francyi panujące, jak to wszyscy prawie jego współziomkowie mieli zwyczaj u nas w kraju czynić. Owszem „szanując Polaków“ — powiada Skarbek — „i wdzięczny będąc ziemi i ludziom, między którymi gościnne znalazł przyjęcie i odpowiedni sposób utrzymania życia, wypłacał się szczerze z obowiązków wdzięczności, sumiennem kształceniem ich potomków na użytecznych obywateli [1].“

[1]) *Pamiętniki* tegoż.

Słowa powyższe dają najlepsze wyobrażenie o charakterze i prawości zasad, jakiemi się Chopin w ciągu swojego życia jako pedagog odznaczał.

Przyjazne stosunki z rodziną Skarbków tem więcej jeszcze wzmocnione zostały, ile że w domu ich poznał i pokochał pannę Justynę Krzyżanowską, a 1806 r. połączył się z nią węzłem małżeńskim. Bóg pobłogosławił ten związek trzema córkami i synem, trzymanym do chrztu przez hr. Fryderyka Skarbka i dlatego tem imieniem nazwanym. Lecz nim przedstawimy tę młodą rodzinę czytelnikom naszym, musimy wprzód opowiedzieć jeszcze o dalszych kolejach losu życia Mikołaja.

Ustanowienie ze szczątek dawnej Polski Wielkiego Księztwa Warszawskiego przez Napoleona 1807 roku, rozbudziło z politycznego letargu naród, w jaki go ostatni rozbiór pogrążył. Warszawa wolą szczęśliwego wojownika przywrócona znowu do znaczenia stołecznego miasta, stała się ogniskiem ruchu, koncentrującem wszystkie żywotne siły kraju, wchodzącego w zakres nowo ustanowionego W. Księstwa. Co żyło spieszyło do niej; z gorączkową szybkością organizowano rząd, formowano wojsko, zakładano szkoły. Pani Skarbkowa nie mogąc z powodu nieustannych przechodów wojsk

francuzkich i wynikającego ztąd niepokoju, wytrzymać na wsi, przeniosła się wzorem innych z całym domem do Warszawy. Chopin oczywiście towarzyszył jej z rodziną swoją i oto po wielu latach oddalenia, ujrzał się napowrót pośród murów, które kiedyś miał szczęście bronić własną piersią. Na skutek przedstawienia Lindego, rektora Liceum warszawskiego, Mikołaj Chopin od dnia 1 października 1810 roku, został mianowany profesorem języka francuzkiego przy tejże instytucyi, gdzie pozostawał przez lat 21, czyli do jej zamknięcia. W dniu 1 stycznia 1812 r. powołano go także do wykładania tego samego przedmiotu w nowo założonej szkole artyleryi i inżynierów, tudzież w szkole aplikacyjnej. Jeszcze w roku 1835, Mikołaj mianowany został członkiem komitetu egzaminującego do oceniania kwalifikacyi kandydatów ubiegających się o posady nauczycielskie w szkołach publicznych; w ostatku był także profesorem Akademii duchownej rzymsko-katolickiej. Podupadłszy jednak znacznie na siłach, podał się w lat kilka później do emerytury i zupełnie wycofał się ze służby publicznej.

Odtąd resztę życia w spokojnem zaciszu domowem. Prawością charakteru, godnem postępowaniem w rozmaitych nieszczęśliwych ko-

lejach przez jakie kraj przechodził, tudzież życiem bez skazy, wyjednał sobie Mikołaj Chopin na ziemi, która mu się stała drugą ojczyzną, piękne ze wszech miar stanowisko. To główonie było powodem, iż znaczniejsze rodziny polskie, ubiegały się w umieszczaniu synów swoich na wychowanie w jego zacnym domu. Więc też przez lat kilkanaście, posiadał zawsze pod swoją opieką pewne grono młodzieży, wychowującej się razem z synem jego Fryderykiem, co to później miał stanąć w pierwszym szeregu najznakomitszych mistrzów sztuki muzycznej. Tęsknota za tym ukochanym synem, przyczyniła się wielce do powleczenia kirem smutku, ostatnich dni jego życia. Otoczony troskliwą opieką rodziny, zmarł Mikołaj 3 maja 1844 r., mając lat wieku 74.

Justyna Chopin, dzieląc wiernie z mężem dobre i złe losu koleje, była osobą niezwykłej słodyczy charakteru. Sława jaką sobie Fryderyk w świecie zdobył, nie wbijała jej wcale w dumę; dla niej cisza domowego ogniska stanowiła najwyższe i najpożądańsze dobro. Opatrzność wystawiła ją na ciężkie próby; straciła przez śmierć męża, dwie córki, wreszcie jedynego syna, któremu nawet ostatnich chwil pobytu na ziemi macierzyńską troskliwością osłodzić nie mogła. Wszystkie te bolesne ciosy,

znosiła z chrześcijańską istnie rezygnacyą. Ostatnie lata sędziwego wieku, przepędziła w domu jedynej żyjącej jeszcze córki. Przy schyłku życia, modlitwa była głównem jej zajęciem; jeżeli wychodziła z domu, to tylko do kościoła. Zmarła 1 października 1861 r.

Najstarsza z dzieci Ludwika, urodzona 6 kwietnia 1807 r., odebrawszy staranne bardzo wychowanie, wielką była pomocą rodzicom przy zajęciach około wychowania młodzieży ich opiece powierzonej. Posiadała ona umysł niezwykle wykształcony, intelligencyę niepospolitą, przytem pełne wdzięku obejście. Wspólnie z siostrą Izabellą, pisywała powiastki mające na celu poprawę moralną stanu rzemieślniczego. Wyszedłszy za mąż za profesora Jędrzejowicza (1832 r.), zajęta wychowaniem własnych dzieci, mniej już mogła zajmować się literaturą, jednak nie wypuszczała pióra z ręki drukując rozprawy i artykuły w rozmaitych czasopismach kształceniu młodzieży poświęconych. Zmarła 29 października 1855 r.

Druga córka Izabella, poślubiła Antoniego Barcińskiego inspektora szkół, a później dyrektora żeglugi parowej na Wiśle. Z pokorą i wielkością ducha znosiła przewności losu, utratę małżonka i całego prawie mienia. W r. 1836 wydała wspólnie z starszą siostrą dzieło

w dwóch tomach pod tytułem *Pan Wojciech, czyli wzór pracy i oszczędności.* Dzieło to doczekało się kilku wydań. Rozstała się z tym światem 3 czerwca 1881 r.

Nadzwyczaj sympatyczną i rokującą wielkie nadzieje istotą, była Emilia, najmłodsza córka Chopinów, zmarła w 14 wiośnie życia 10 kwietnia 1827 roku. Ukształcona nad wiek, zawsze wesoła, dowcipna, posiadała szczególny dar rozśmieszania i rozweselania wszystkich. To też kochano ją wielce i czego u rodziców starsze jej siostry a nawet brat wyjednać nie mogli, wysyłana w poselstwie, Emilia dowcipem, żartem, przymileniem, wreszcie minką pocieszną, którą w potrzebie przybrać umiała, zawsze w końcu osięgała. Chciwa nauki, oddawała się pracy ochoczo. Pisma Klementyny Tańskiej wywarły na niej tak silne wrażenie, iż położyła sobie za najwyższy cel życia, zostać kiedyś literatką. Dlatego też wcześnie bardzo poczęła czynić poważne studya nad językiem ojczystym i niebawem doszła do nadzwyczajnej łatwości we władaniu słowem. Wiersze układane przez nią z okoliczności urodzin rodziców, albo jakich innych powodów, zalecały się zawsze udatną formą, gładkością rymu i pięknością języka. W trzynastym roku życia, Emilia wspólnie z siostrą Izabellą, zajęła się

tłomaczeniem powiastek niemieckiego autora Salzmanna na język polski i stosownem przerobieniem ich do potrzeb miejscowych. Sądząc dzisiaj z tych próbek poetycznych, jakie zachowały się do chwili obecnej, Emilia Chopin mogła z czasem zająć tak świetne na niwie literatury polskiej stanowisko, jakie zajął jej brat Fryderyk w dziedzinie muzyki. Los zawistny zważył i zniweczył przedwcześnie ten kwiat, tak bujnie i nadobnie wzrastający; dotknięta nieuleczoną chorobą piersiową, w chwili, gdy życie miało ją opuścić, Emilia widząc boleść i rozpacz zgromadzonej około łoża rodziny, rzekła:

„Jak smutne na tej ziemi człeka przeznaczenie,
„Na to cierpi, by swoich pomnażał cierpienie!"

Były to ostatnie słowa tej genialnej, zdumiewającej przedwczesnym swoim rozumem, czternastoletniej dziewicy!

Taką była rodzina Fryderyka.

Pozostaje nam jeszcze wymienić niektórych przynajmniej przyjaciół domu Mikołaja Chopina, jacy przez bywanie w nim, pośrednio lub bezpośrednio wpływali na rozwój charakteru, umysłu i talentu przyszłego mistrza tonów.

Do rzędu częstszych gości należeli: kolega i zwierzchnik jego Samuel Bogumił Linde, pro-

fesorowie uniwersytetu: Wacław Aleksander Maciejowski, hr. Skarbek chrzestny ojciec Fryderyka, Kaźmierz Brodziński, Juliusz Kolberg ojciec Wilhelma inżyniera i Oskara, niestrudzonego zbieracza pieśni ludowych, Romuald Hube, Feliks Paweł Jarocki; dalej Antoni Brodowski, znakomity malarz historyczny i portrecista, Antoni Barciński profesor szkoły politechnicznej, a od r. 1823 także guwerner na pensyi Mikołaja, następnie jego zięć; Jawurek artysta muzyczny, wreszcie dwaj Fryderyka nauczyciele: Żywny i Elsner.

Wojciech Żywny, urodzony w Czechach 1756 roku, przybył do Polski za czasów Stanisława Augusta i jako nauczyciel muzyki, przyjął najprzód obowiązki w domu księcia Kaźmierza Sapiechy, następnie osiadł w Warszawie, gdzie utrzymywał się z dawania lekcyi na fortepianie. Zmarł tamże 1840 r.

O Elsnerze musimy obszerniej nieco pomówić, on bowiem wtajemniczając Fryderyka w naukę kontrapunktu, spostrzegł pierwszy oryginalność twórczego jego ducha, a pełnemi wyrozumiałości, pobłażania i przychylnej życzliwości radami, najwięcej się przyczynił do korzystnego rozwoju kompozytorskiego Fryderyka talentu. To też on kochał i cenił Elsnera nietylko jako nauczyciela, lecz jako przyjaciela

swego i rodziny całej. W listach Chopina, często jest wspominane imię jego, a nawet będziemy mieli sposoboość poznać wspólną ich korespondencyę.

Józef Ksawery Elsner, urodził się na Szlązku w miasteczku Grotkowie (Grotkau), 29 czerwca 1769 r. Ojciec jego fabrykant instrumentów muzycznych, miał wprawdzie zamiar widzieć syna doktorem medycyny, atoli okoliczności inaczej zrządziły i Józef poświęcił się muzyce. Kapellmeister orkiestry wrocławskiej Maar, pomagał mu w nauce kontrapunktu. W r. 1792, przybył Elsner jako wykształcony już muzyk do Polski i najprzód we Lwowie, a potem w Warszawie począł pracować jako dyrektor orkiestry i kompozytor teatru narodowego. W r. 1815, po ogłoszeniu królestwa kongresowego, poruczonem mu było od rządu założenie szkoły organistów, a w sześć lat później, konserwatorym, którego kierunek jemu także powierzono.

Oprócz trzech oper niemieckich skomponowanych we Lwowie, napisał 27 sztuk tak oper jako melodramatów polskich, mnóstwo aryj, kantat, kwartetów na rznięte instrumenta, 3 symfonie, a nadto 105 dzieł religijnych, z których najważniejsze oratoryum *Męka Zbawiciela* w III częściach, kilkakrotnie w Warszawie wy-

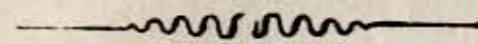
konywane, jest istotnie wielkiem dziełem, nie ustępującem pod względem pomysłów melodyjnych i technicznego opracowania, najznakomitszym w tym rodzaju muzycznym utworom.

Elsner jako dyrektor konserwatoryum i nauczyciel kontrapunktu, nie małe położył zasługi w kraju, wykształciwszy znaczne grono zdolnych artystów, dając popęd do uprawiania sztuki muzycznej z poważniejszego stanowiska. Zmarł 18 kwietnia 1854 r. Grób jego zdobi pomnik wystawiony na cmentarzu powązkowskim z funduszów publicznych.

Wypadałoby nam może jeszcze wymienić przyjaciół domu Chopinów, należących do klasy szlachty właścicieli ziemskich, którzy albo byli niegdyś uczniami Mikołaja, albo z tytułu umieszczania synów swoich na jego pensyi, żyli w przyjaznych z nim stosunkach, — lecz toby nas za daleko zaprowadziło. Szczególnie później, gdy talent Fryderyka doszedł do niezwykłego rozwoju doskonałości, widywano tam nietylko już uczonych, poetów, artystów, ale także najwyższych przedstawicieli arystokracyi rodowej, mającej sobie za zaszczyt bywać w domu Chopinów i podziwiać młodego pianistę, któremu świetną przyszłość przepowiadano. O przyjaciołach, kolegach szkolnych, jakoteż o współtowarzyszach studyów muzycznych Fryderyka,

nie omieszkamy na właściwem miejscu dać stosownych objaśnień.

A teraz, kiedyśmy nakreślili tło obrazu na którem pierwsze lata młodości przyszłego wielkiego artysty mają się rozwijać, zajmiemy się już wyłącznie jego osobą, jako będącą jedynym powodem i celem niniejszej pracy.



ROZDZIAŁ II.

Młodzieńcze lata Fryderyka. — Pierwsze jego wystąpienie publiczne. — Improwizacye. — Pieśni ludu polskiego.

Fryderyk Franciszek Chopin, urodził się 1 marca 1809 r. w Żelazowej Woli, wsi dziedzicznej Skarbków, o 6 mil od Warszawy odległej. W pierwszych latach dzieciństwa, Fryderyk był bardzo drażliwy na dźwięki muzyki, za ich posłyszeniem wpadał w płacz, który nie łatwo dawał się ukoić. Wrażenie to zbyt silne na jego delikatną organizacyę, krótko zapewne trwało, bo niebawem tak widoczny pociąg zaczął okazywać do fortepianu, że już w siódmym roku, rodzice byli zniewoleni uczyć syna muzyki. Wojciech Żywny, wielki zwolennik dzieł S. Bacha, cieszący się w Warszawie wziętością dobrego na fortepianie nauczyciela, został wezwany do udzielania Fryderykowi lekcyj na

tym instrumencie, a przez wzgląd na jego młodość, starsza siostra Ludwika, godzinę nauki z nim dzieliła. Żywny był pierwszym i jedynym przewodnikiem rozwijającej się tak wcześnie u Fryderyka zdolności do muzyki, bo wkrótce obok postępów technicznych w grze, dziecko poczęło już komponować, chociaż jeszcze nutami pomysłów swoich spisywać nie mogło. Więc też nauczyciel na jego prośby spisywał takowe. W parę lat później, młodziutki dyletant tak wielkie poczynił w grze na fortepianie postępy, że w salonach ówczesnych warszawskich ze zdumieniem o tem wspominano. Kiedy w r. 1818, postanowiono urządzić 24 lutego koncert publiczny na dochód ubogich, Julian Ursin Niemcewicz, wraz z innemi osobami opiekującymi się instytucyą dobroczynności, wezwał piśmiennie poczynającego dziewiąty rok życia wirtuoza, ażeby w koncercie tym zechciał przyjąć czynny udział. Nie można było odmówić; zatem pierwszy krok zawodu artystycznego, co później taką chwałą miał jaśnieć, rozpoczął Chopin od dobrego uczynku; pierwiastki swego talentu poniósł w ofierze cierpiącym. Na parę godzin przed owym popisem, na którym miał wykonać *Koncert* Gyrowetza, postawiono Frycka (tak go bowiem powszechnie w domu nazywano) na krześle i poczęto

ubierać do godnego przed liczną publicznością wystąpienia. Frycek szczególniej zadowolonym był z pięknego szerokiego kołnierzyka, jaki mu na ciemny spencerek włożono. Kiedy po skończonym koncercie, matka nie mogąc być na nim, wziąwszy synka w objęcia wypytywała go, co też się najwięcej publiczności podobało? bez wahania odpowiedział, iż jego kołnierzyk. „Wie mama? wszyscy tylko na mój kołnierzyk patrzyli!“

Odtąd rozrywano chłopczyka po salonach warszawskich; najznakomitsze domy pańskie, jakoto: książąt Czartoryskich, Sapiehów, Czetwertyńskich, Lubeckich, Radziwiłłów, Skarbków, Pruszaków, Łempickich i wiele innych, ubiegały się o posiadanie u siebie tak miłego gościa, gdzie go zwykle Chopinkiem nazywano. Bywał on także niekiedy w Belwederze na pokojach księżny Łowickiej, gdyż jednego z nim prawie wieku Pawełek, wychowaniec Wielkiego Księcia, bardzo go polubił i chętnie z nim przestawać pragnął [1]). Fryderyk w domu ojca

[1]) Często Pawełek w towarzystwie swojego guwernera hr. de Moriolles, wstępował po Fryderyka, aby z nim jechać na spacer, albo go zabrać z sobą do Belwederu. Zatrzymujący się przed mieszkaniem profesorstwa Chopinów powóz zaprzężony w cztery konie na sposób rossyjski, zwracał wtedy na siebie uwagę przechodniów.

przywykły już do dobrego i wykształconego towarzystwa, teraz mając sposobność zwiedzać najpierwsze salony stolicy, nabierał owego wykwintnego i arystokratycznego obejścia, które go później cechowało przez całe życie. Chopin miał zawsze wstręt do ludzi szorstkich, rubasznych, nigdy się z takimi nie przyjaźnił, nigdy do poufałego towarzystwa swego nie przypuszczał.

Słynna śpiewaczka Catalani, przejeżdżając wówczas przez Warszawę, miała sposobność poznać bliżej młodziutkiego wirtuoza i nie mogła się dosyć nacieszyć jego piękną i niezwykle już biegłą grą na fortepianie. W dowód uznania i wdzięczności, ofiarowała mu złoty zegarek, na kopercie którego wyrżnięte były słowa: „Donné par Madame Catalani à Frédéric Chopin, âgé de dix ans“.

Początkowe kompozycye Fryderyka, składały się z mazurków, polonezów, walców do tańca; wreszcie napisał marsza i ofiarował go osobiście Wielkiemu Księciu Konstantemu. W. Książe okazał się bardzo łaskawym dla dziewięcioletniego kompozytora. Przyjął marsza i kazał mu go sobie zagrać. Przypadł mu do gustu, sam takt wybijał chodząc po sali z uśmiechem zadowolenia. Polecił go następnie instru-

mentować i grać niejednokrotnie podczas parad wojskowych na saskim placu [1]).

Niekiedy Fryderyk improwizował na pokojach cesarzewicza. Gdy według swego zwyczaju oczy w górę wznosił i w sufit patrzył, Wielki Książe z ciekawością pytał: „Cóż tak patrzysz w górę chłopcze, czy tam czytasz nuty?“ [2]).

Z jaką zapamiętałością pracował Fryderyk nad pokonaniem mechanicznych trudności fortepianu, niech za dowód posłuży co opowiadali świadkowie ćwiczeń jego ówczesnych. Uderzony pięknością brzmienia akordu z decymą u góry, gdy dla szczupłości dłoni objąć jej i uderzyć jednocześnie nie mógł, szukał sposobu jakimby dla swej ręki pożądaną rozciągłość uzyskał i w tym celu między palce kładł rozpierające je przedmioty, niby kliny i z tym przyrządem noce przepędzał [3]). Nie dla próżnej chluby z rozległości ręki to czynił, nie dlatego zapewne, by innych przewyższyć w pokonywaniu nowych dla fortepianistów trudności palce swoje na dobrowolne męczarnie ska-

---

[1]) Wyszedł później w Warszawie, lecz bez imienia autora.

[2]) *Cmentarz Powązkowski* K. W. Wójcickiego.

[3]) *Wspomnienie Szopena* przez Józefa Sikorskiego.

zywał; ale wiodła go do tego różnica jaką dostrzegł w piękności między brzmieniem zwięzłych a rozłożonych akordów. Akordy te, stały się później charakterystyczną stroną kompozycyi jego. Z początku uważano je za coś niestosownego w systematycznej grze na fortepianie, później atoli przywyknięto do nich i dzisiaj bynajmniej nie są uważane za niezgodne z naturą ręki. Wytworność zmysłu muzycznego Chopina, w dążeniu do daleko sięgających w jednoczesnem brzmieniu tonów, dowodzi jak jego duch wyrywał się do szerokiej przestrzeni, do nieskończoności harmonii... ale o tem pomówiemy obszerniej na właściwem miejscu.

Zdumiewające zdolności do kompozycyi jakie Fryderyk objawiał, zniewoliły ojca do uczenia go kontrapunktu o tyle, o ile to innym przygotowawczym do Liceum warszawskiego naukom nie przeszkadzało, gdyż o zamiarze kierowania go na artystę muzycznego, rodzice nie myśleli wcale. Któż mógł ku temu być stosowniejszym, jeżeli nie Elsner, dawny domu przyjaciel? Zacny ten człowiek znał Fryderyka od lat najmłodszych, zauważał w nim genialne do muzyki zdolności, więc czyniąc zadość woli ojca, z rozkoszą zajął się nauką, wtajemniczając pomału ucznia w zasady kontrapunktu i do samej śmierci nie przestając mu okazywać tej

życzliwości i przyjaźni, jaka jest tylko wyższych dusz, wolnych od zawiści, udziałem. Kiedy nieraz zwracano uwagę Elsnera, że Chopin nie chce się trzymać reguł przyjętych w muzyce, że często pomiata niemi słuchając jedynie własnej fantazyi, odstępującej niekiedy od ogólnych zasad muzyki, szanowny dyrektor konserwatoryum zwykł był mawiać: „Dajcie mu pokój; to prawda, że nie idzie on drogą zwyczajną, ale i talent jego jest nadzwyczajny. Nie trzyma on się ściśle metody utartej, powiadacie, lecz on ma swoją własną i to jeżeli się nie mylę, stanowić w nim będzie oryginalność, jakiej dotychczas nikt w tak wysokim stopniu nie posiada“. Wieszcze słowa Elsnera zupełnie się potem sprawdziły. Gdyby go był wstrzymywał lub zmuszał do pedanckiego kroczenia ścieżkami wydeptanemi, kto wie, czy nie zwichnąłby i nie sparaliżowałby polotu młodego artysty wyobraźni; możeby go nawet zniechęcił i zraził do sztuki, a zamiast wyrobić w nim wielkiego mistrza, miernegoby tylko muzyka uformował.

Umysłowe zresztą zdolności kształcącego się wszechstronnie Fryderyka były zdumiewające. Niezmierna żywość charakteru, pobudzała go do ciągłej czynności, zaostrzała wrodzony dowcip, jaki w rozmaity sposób co chwila się

objawiał. Któż zliczy owe tysiączne figle płatane wciąż siostrom, rówiennikom, nawet osobom poważniejszym wiekiem. Już to najmłodsza siostra Emilia, wybornie mu w tem dopomagała.

Na imieniny ojca i matki, albo też u osób z Chopinami zaprzyjaźnionemi, dawano czasami przedstawienia teatralne, w których Fryderyk najczynniejszy zwykle brał udział. Znamienity ówczesny artysta dramatyczny, Wojciech Piasecki, zajmujący się jako reżyser układem tych amatorskich przedstawień, utrzymywał, iż Fryderyk dosadnością mimiki, śmiałością i przytomnością umysłu, wyborną deklamacyą i darem łatwego przekształcanie fizyognomii, był jakby stworzony na doskonałego aktora. Istotnie, grą swoją w podziwienie czasami wprawiał najlepszych znawców sztuki dramatycznej. Nieraz, gdy współgrający na scenie potknął się i nie wiedział co dalej mówić, albo gdy sufler na właściwy czas nie podpowiedział, Fryderyk improwizował za innych i za siebie, ratując tym sposobem przedstawienie od nieuniknionej katastrofy. To też wiadomo, o ile dar muzykalnej improwizacyi przyczynił się później do jego rozgłosu i chwały. Pokonawszy wcześnie techniczne trudności gry fortepianowej, mógł Chopin na podany temat improwizować bez

końca, nadając mu najszczęśliwsze zwroty, strojąc w dziwnie piękną a niespodziewaną i bogatą harmonię, niby w najświetniejszej barwy kwiaty, obsypywane brylantowym deszczem arabesków i arpedżij. W tych improwizacyach, mianowicie w epoce nieco późniejszej, Chopin okazywał się istnym poetą; refleksya w duszy artysty ustępowała miejsca natchnieniu, natchnienie zaś przybierało pod formą muzyki tak szczytną szatę idealnej piękności, że język ludzki zdawało się, nigdyby jej nie był w stanie powtórzyć, ani też zwykłemi materyalnemi środkami określić. Ci, co miewali sposobność słyszenia Chopina w takiej właśnie chwili, utrzymują, iż najpiękniejsze jego wydane kompozycye, są tylko odbłyskiem, są tylko echem tych improwizacyi.

Na imieniny ojca w zimie 1824 r., Fryderyk mając lat 15, a zaś siostra Emilia 11, napisali komedyę wierszem w 1 akcie pod tytułem: *Omyłka, czyli mniemany filut.* Główniejsze role przyjęli na siebie Fryderyk, Izabella i Emilia, resztę ról rozebrała młodzież na pensyi profesora Chopina pomieszczona. Treść tej komedyi jest wprawdzie zbyt słabą i naiwną, abyśmy mogli ją tutaj przytaczać, niemniej jednak świadczy o sprycie, dowcipie młodziut-

kich autorów, tudzież o łatwości w prowadzeniu scenicznych dyalogów.

W tym także roku, Fryderyk wszedł jako uczeń 4 klasy do Liceum warszawskiego i chociaż należał do pojętniejszych i lepszych uczniów, przecie ochota do figlów nigdy go nieodstępowała. I tak, kiedy profesor historyi wykładając dzieje narodowe, wspomniał imiona Laskonogiego, Łokietka, Długosza, Kadłubka i t. p. Fryderyk natychmiast miał sobie za obowiązek rysować ich w komicznej charakterystyce, przez co kolegów do głośnego śmiechu doprowadzał. Pewnego razu, upatrzywszy stosowną chwilę, naszkicował w karykaturze samego rektora instytutu Lindego, a tak wybornie, że podobieństwo było uderzające. Nieszczęściem, kajet dostaje się przypadkiem do rąk Lindego. Zacny przewodnik młodzieży, pobłażliwy na jej niewinne żarty, zwrócił kajet rysownikowi z podpisem: „Kajet dobrze narysowany“. Już to chwytanie wybitniejszych postaci ludzkich ze strony śmiesznej, kreślenie z nich karykatur, długo było ulubionem zajęciem Fryderyka.

Szkolne ferye przepędzał zazwyczaj w Żelazowej Woli, albo na Mazowszu w Szafarni, wiosce należącej do państwa Dziewanowskich, z których synem Dominikiem łączyły go węzły ścisłej szkolnej przyjaźni. Dla chłopca wycho-

wywanego w mieście, kilkotygodniowy swobodny od obowiązkowych zajęć pobyt na wsi, pośród pięknej natury, jest idaełem szczęścia, o jakim tylko siedząc na ławkach szkolnych marzyć można. Więc też Fryderyk całą duszą cieszył się z wolności, jakiej dozwolono mu tam używać. Wprawdzie ćwiczenia fizyczne ciała, tak właściwe chłopcu w jego wieku będącemu, niewiele go nęciły, za to umysł jego iskrzył się ruchem dowcipu i pomysłów najpocieszniejszych. Zamiast pisywania obowiązkowych listów do rodziców, wpadł na myśl redagowania gazetki, której dał tytuł: *Kuryer Szafarski*, na wzór *Kuryera Warszawskiego*, pisma wydawanego podówczas w małym ćwiartkowym formacie. W zbiorach pamiątek po Fryderyku, rodzina przechowywała dwa numera tej gazetki z r. 1824. W pierwszym z nich, na czele wiadomości krajowych umieszczono: D. 15 lipca r. b., na zgromadzeniu muzycznem w Szafarni, złożonemu z kilkunastu osób i półosóbek, popisywał się pan *Pichon* (tak się bowiem Fryderyk sam żartobliwie przezwał) i grał koncert Kalkbrennera, który atoli nie tyle zrobił wrażenia, szczególniej na małych figurkach, ile *żydek* grany przez tegoż pana Pichon“. Należy tu dodać, iż krótko przedtem, gdy żydzi do sąsiedniego dworu w Oborowie przybyli za

kupnem zboża, Fryderyk przywoławszy ich do fortepianu, zagrał im *majufesa*, rodzaj weselnego tańca żydowskiego. Gra jego w taki zapał handlarzy wprowadziła, iż nietylko że poczęli tańczyć, ale nawet prosili dziedzica tej wsi pana Romockiego, aby im przysłał tego grajka na mające się wkrótce odbyć żydowskie wesele: „Bo on tak gra“, mówili, „jak żyd rodowity!“

Pod datą 18 sierpnia, znajdujemy notatkę treści następującej: „Imć pan F. F. Chopin, wypił siedm filiżanek kawy żołędziowej. Spodziewać się należy, że ich niezadługo i ośm wypije“. Odnosi się to do przepisu lekarza, który polecił Fryderykowi pić surrogat z palonej żołędzi. Reszta wiadomości w tym numerze, składa się z wypadków codziennego życia.

W *Kuryerze* z dnia 24 sierpnia, pod rubryką *Wiadomości* zagranicznych, pisał: „Dnia 20 w Oborowie było okrężne. Cała wieś zgromadzona przed dworem, szczerze się weseliła, szczególniej po wódce, a dziatki pisklíwym semitoniczno fałszywym głosem znaną piosnkę wyśpiewywały:

„Przede dworem kaczki w błocie.
Nasza Pani w samym złocie itd.“

Reszta wiadomości *Kuryera Szafarskiego*, składała się z wypadków codziennego życia

wiejskiego, z właściwą Fryderykowi werwą i dowcipem skreślonych. Dodać tu jeszcze potrzeba, iż każdy numer gazetki, musiał przechodzić przez cenzurę; cenzorem dopisującym „wolno posłać“ była panna Ludwika Dziewanowska, córka właściciela Szafarni.

Z czasu tych szkolnych wakacyj, posiadamy właśnie list pisany przez Fryderyka do Wilhelma Kolberga. List ten rozpoczyna szereg drogocennych, osobistych po naszym artyście pamiątek, które w miarę postępu niniejszego życiorysu, kolejno uwadze czytelników przedstawiać będziemy.

Oto co pisał do przyjaciela i kolegi szkolnego:

„Szafarnia 19 sierpnia 1824.

Kochany Wilusiu [1]).

Dziękuję ci za Twoją pamięć o mnie, ale z drugiej strony gniewam się na ciebie, żeś taki brzydki, niedobry, żeś taki *et caetera* i do

---

[1]) Wilhelm Kołobrzeg Kolberg, rzeczywisty radca stanu, inspektor i członek Zarządu XI Okręgu komunikacyi, prezes Kollegium kościelnego gminy Ewangelicko-Augsburgskiej warszawskiej, zmarł 4 czerwca 1877 r.

mnie tylko półpiórkiem piszesz. Czy ci papieru, czy pióra, czy atramentu szkoda było? Możeś czasu nie miał, żeś się tylko przypisał? Ej, bo, to, to; — na koniu jeździ, — bawi się dobrze, o mnie nie myśli... Ale co tam, — daj mi buzi i zgoda.

Cieszę się, żeś zdrów i wesół, bo tego na wsi potrzeba. Mnie jest także przyjemnie, że do ciebie pisać mogę. Ja się też wcale nieźle bawię, a nietylko ty jeździsz na koniu, bo ja umiem na nim siedzieć. Nie pytaj czy dobrze, ale umiem, przynajmniej tak, że koń powoli gdzie chce idzie, a ja jak małpa na niedźwiedziu, na nim ze strachem siedzę. Dotąd nie miałem jeszcze przypadku zlecenia, bo koń mię nie zrzucił, ale... może kiedy zlecę, jeżeli mu się spodoba.

Nie będę ci głowy zawracać mojemi interesami, bo wiem, że ci się to na nic nie przyda. Muchy mi często na wyniosłym nosie siadają, ale to mniejsza, bo to jest prawie zwyczajem tych natrętnych zwierzątek. Komary mię gryzą, ale i to mniejsza, bo nie w nos. Biegam po ogrodzie, a czasem chodzę. Chodzę do lasu, a czasem jeżdżę, notabene nie na koniu, lecz w bryczce, w koczu, lub w karecie. Z takiemi jednak honorami, iż zawsze na *tyle* siadam, a nigdy na *przodku*.

Możem cię już znudził, ale cóż robić? Jeżeli zaś nie, napisz na najbliższą pocztę, a ja czemprędzej moje *literały* kontynuować będę.

Bez żadnych tedy komplimentów kończę mój list, ale po przyjacielsku: bądź zdrów kochany Wilusiu, a proszę cię pisz do mnie, a nietylko przypisuj. Za 4 tygodnie widzieć się będziemy.

Ściskam cię serdecznie, szczery Twój przyjaciel

F. Chopin.

Mamie i papie moje uszanowanie przesyłam a braci ściskam".

Niepodobna nam tutaj przytaczać wszystkich żartów i mistyfikacyj, jakich się Fryderyk w owych szczęśliwych dla niego czasach dopuszczał, lecz dla czytelników interesujących się młodością jego, przytoczymy jeszcze parę w tym rodzaju zdarzeń.

Ów wspomniany już wyżej pan Romocki, dziedzic Oborowa, sprzedał był kupcowi żydowi pszenicę. Dowiaduje się o tem Fryderyk, który znowu w r. 1825 bawił na wakacyach w Szafarni i układa w imieniu nabywcy list żargonem polsko-żydowskim, gdzie oświadcza, iż po dojrzałym namyśle, przewidując oczywistą stratę, zruca się z kontraktu. Pismo było

koszlawe, ortografia okropna i złudzenie tak wielkie, że Romocki wpadł w gniew srogi, posłał natychmiast po żyda i byłby go zbił niechybnie, gdyby nie to, że Fryderyk przewidując burzę, przyznał się w sam czas do mistyfikacyi. Romocki uśmiał się z konceptu, lecz już po tem pilnował dobrze, aby nie stać się ofiarą wesołego Fryderyka humoru [1]).

Około roku 1820, żył w Warszawie pastor ewangelicki imieniem Tetzner, który co niedziela dla parafian miewał kazania, naprzemian polskie i niemieckie. A ponieważ języka krajowego w dostatecznym stopniu nie posiadał, przeto niemiłosiernie go kaleczył i prawdy ewangelii wygłaszał łamaną polszczyzną. Pewnego razu, zawiodła ciekawość Fryderyka na nabożeństwo do kościoła ewangelickiego. W okamgnieniu pochwycił i przyswoił sobie pocieszne strony każącego na ambonie księdza. Wraca do domu, wyciąga gdzieś z pod strychu starą perukę, osadza na głowie, z krzeseł improwizuje ambonę, zwołuje wszystkich i powtarza słyszane dopiero kazanie z taką komiczną prawdą, że słuchacze pokładali się od śmiechu.

Jeżeli chłopcy na pensyi Mikołaja Chopina, zbyt wielkie hałasy wyprawiali, dosyć

---

[1]) Kaźmirz Władysław Wójcicki.

było ażeby Fryderyk zasiadł do fortepianu, a natychmiast spokój i cisza następowała. Pewnego dnia, gdy samego profesora nie było w domu, powstała okropna wrzawa; chłopcy tak straszliwie poczęli dokazywać, że guwerner Barciński w żaden sposób nie mógł sobie dać rady. A był pomiędzy nimi jeden, imieniem Kaźmirz Wodziński, szczególniej psotny i do wszystkich figlów skory. Guwerner wyczerpawszy wszelkie środki gróźb i perswazyi, nie wiedział już co począć, aby chłopców zmusić do spokojności i wzięcia się do nauki; wzywa tedy Fryderyka i błaga go, aby mu w tem dopomógł. Fryderyk zaprasza psotników do sali i powiada, że będzie im ciekawą historyę na fortepianie improwizować. Na te słowa, zaprzestają figlów. Fryderyk siada do instrumentu, chłopcy przysuwają się do niego z krzesłami, gasi świecę [1]), i rozpowiada im najprzód historyę o zbójcach i złodziejach, jak wkradłszy się po drabinie przez okno do domu, zabierają co mogą, potem spłoszeni uciekają, kryją się w lesie, dzielą łupami i wśród pogodnej cichej nocy zasypiają.

---

[1]) Chopin lubił zwykle improwizować po ciemku, najczęściej w nocy; kiedy wzrok jego żadnej nie miał dystrakcyi, wówczas zatapiał się całą duszą w motyw obrany i snuł z niego niewysłowionej poetyczności obrazy.

Następnie każdy z tych epizodów wyraża muzyką. Chłopcy słuchają w głębokiem milczeniu; zachwycają się prawdą tonami muzyki objawioną, a kiedy Fryderyk począł malować nocną ciszę lasu i sen ogarniający złoczyńców, pomału oczy słuchaczów przymykać się zaczęły; dźwięki dobrze pochwyconej w charakterze muzyki, działały jak opium, jak kołyska na dzieci. Im dłużej trwała improwizacya, tem głębszy sen ogarniał wszystkich, nawet sam guwerner nie mógł się oprzeć i zasnął z innymi. Obaczywszy to Fryderyk, przestaje pomału grać, wychodzi na palcach z pokoju, biegnie do matki i sióstr, prosi ich ażeby ze świecami w ręku, lecz cicho i ostrożnie udały się za nim, a pokaże im coś ciekawego. Widok śpiących na krzesłach w rozmaitych pozach chłopców wraz z guwernerem, przedstawiał najpocieszniejszy widok. Wtedy Fryderyk zbliża się na palcach do fortepianu, uderza z całej siły przeraźliwy akord, a tu każdy ze śpiących zrywa się nagle przestraszony, nie wiedząc co się dzieje — i dopiero śmiech ogólny!

Musimy tu jeszcze przytoczyć drugie podobne nieco, lubo w innym rodzaju zdarzenie, będące skutkiem dziwnej zdolności Fryderyka do improwizacyi. Wprawdzie miało ono miejsce kilka lat później. Nauka kontrapunktu i techniczne postępy w mechanizmie gry fortepianowej, dozwalały mu coraz swobodniej puszczać wodze fantazyi, nie krępowanej zbytecznie regułami sztuki, nad którą panował już prawie zupełnie. Dlatego też Fryderyk polubił wielce organy, gdyż na nich dopiero mógł rzeczywiście dogadzać zamiłowaniu swojemu do poważnych improwizacyj muzycznych. Grywając od czasu do czasu na tym najwspanialszym ze wszystkich na świecie instrumencie, nauczył się używać stosownie pedałów i obchodzić podług upodobania z regestrami głosowemi. Bywało zwyczajem, iż studenci uniwersytetu warszawskiego, gromadzili się około godziny 11 co niedziela i święta w kościele Panien Wizytek na nabożeństwo, w czasie którego amatorowie i artyści wykonywali msze instrumentalne i wokalne [1]). Bywał na chórze niekiedy Chopin i grywał na organach. Otóż razu pewnego, gdy celebrujący zaśpiewał „Oremus,“ Fryderyk pochwyciwszy motyw odegranego mszy kawałka, trybem biegłych organistów, począł improwizować przerabiając, parafrazując temat i ukazując go w jak najrozliczniejszych kombinacyach i harmonijnych przekształceniach. A improwizował tak cudnie, że śpiewacy i orkiestra

---

[1]) Józef Sikorski. *Wspomnienie Szopena.*

opuściwszy swe pulpity, wiankiem otoczyli ławę grającego, tonąc w falach tego potoku muzykalnego. Wszystkim się wydawało, że nie są na mszy, lecz na koncercie. Ksiądz przy ołtarzu niecierpliwie czekał kiedy się to skończy. Nareszcie wpada na chór między zadumanych zapyrzony zakrystyan i woła: „Na miłość boską, co tu państwo wyprawiacie? Ksiądz już po dwakroć zaintonował: „*Per omnia saecula saeculorum.*“ Chłopiec dzwoni a dzwoni, a wy gracie a gracie. Niech to przecie ustanie, bo Panna Starsza, która mię tu przysłała, okrutnie się gniewa!“ Fryderyk zbudzony ze swojego artystycznego marzenia, oderwał ręce od klawiszów.

Ale jeżeli improwizowanie nie wiele go kosztowało, mianowicie gdy się czuł do tego dobrze usposobionym, za to nad utworami muzycznemi, które przeznaczał do druku, sumiennie, troskliwie, a nawet ciężko pracował. Czasami myśl jakaś tak dalece nim owładła, że stawał milczącym, pogrążonym w sobie; siadał w kąciku unikając ludzi i rozmów; gdy do niego mówiono, odpowiadał monosylabami jak nieprzytomny. Zwykły to skutek charakterów szczególniej nerwowych i wrażliwych, iż ze zbytniej nieraz ruchliwości, wpadają pod wpływem pewnych dominujących w nich idei, niby

w otrętwienie i pozorną bezczynność. Wtedy to oddawał się pracy wewnętrznej, której nawet noc nie była w stanie przerwać. Kiedy się wszystkim zdawało, że śpi, a słano mu łóżko przy salonie, gdzie stał fortepian, on tymczasem zrywał się z pościeli, biegł do instrumentu, uderzał kilka akordów, rozwiązując sobie tym sposobem jaką zawiłą lub wątpliwą harmonijną kwestyę, potem kładł się do łóżka, ażeby znów zerwać się do fortepianu — i tak nieraz trwało aż do świtu. Służące słysząc jak panicz po nocach wstaje, płacząc, ubolewały nad nim, przekonane w prostocie duszy, że ma bzika, że mu piątej klepki nie dostaje.

W częstych wycieczkach po za miasto, dokonywanych zwykle w towarzystwie ojca, albo też podczas wakacyj szkolnych na wsi, jeżeli kiedy Fryderyk posłyszał sielską piosnkę albo skrzypki rozlegające się z chaty włościańskiej lub karczmy, stawał pod ścianą, przysłuchiwał się uważnie, tonął duszą w ludowej melodyi, napawał się jej rytmem i nie było sposobu na odciągnienie go ztamtąd. Póty w głębokiej zadumie stał i słuchał, aż skrzypki, aż pieśń zamilkła, aż nabrał przekonania, że już się więcej nie odezwie. I kto jest — pytał siebie i innych — tych pięknych melodyi twórcą, które w formie mazurków, krakowiaków, polo-

nezów, dumek, lud polski nuci lub na skrzypeczkach przez siebie wyrabianych wygrywa? Na to ani on sam, ani nikt nie był w stanie zaspakajającej dać odpowiedzi. Pieśni ludowe bowiem, są owocem bezimiennych, nieznanych poetów, a ponieważ przechowywane bywają w pamięci ludu nieraz od kilku, nawet kilkunastu wieków, to dowodzi, iż wiernie wypowiadają jego pojęcia i uczucia, przeto całemu narodowi należy przypisywać ich autorstwa. Pieśń ludowa, jest świadectwem historycznem, malującem obyczaje, wyobrażenia, wiarę, aspiracyę i kulturę ludu; z drugiej znów strony, jest także dowodem artystycznej jego działalności, jego bogactwa fantazyi poetycznej i poczucia piękna.

Chopin urodził się i wychowywał w kraju zamieszkałym przez mazurów, plemie posiadające właściwe sobie cechy charakteru, lecz zamiłowane do muzyki, do pieśni, nie ustępujące w tym względzie reszcie ludu dawne obszary Polski zamieszkującego. Julian Klaczko powiedział pisząc o sztuce polskiej: „że upodobanie w pieśni, stanowi najwybitniejszą charakterystykę Słowianina i że pieśnią, prostego naszego chłopka poprowadzić można na koniec świata.“ Mazur zachował do dziś dnia to zamiłowanie. Najzwyklejsze, najprozaiczniejsze czynności co-

dziennego życia, lubi układać w piosnkę, improwizując ją przy każdej sposobności. To nawet upodobanie mazurów do wszelkiego rodzaju pieśni, stało się zyskownem rzemiosłem dla wielu z nich. Żebrak ślepy lub widomy, jeżeli umie grać na skrzypcach i śpiewać, niezawodnie chodząc po wsiach, obfitą ciągnąć będzie jałmużnę. W święta, jak na Zielone Świątki, na Wielkanoc, na Boże Narodzenie, na Nowy Rok, chodzą znowu po wsiach mazurskich kobiety i mężczyźni, stosowne do okoliczności wyśpiewując pieśni lub wygrywając tańce. Wszędzie są przyjmowani serdecznie, słuchani z ochotą i sowicie obdarzani. W ogólności, wszystkie pieśni ludowe, rodzą się pod strzechami chat wiejskich, układane przez poetów, którzy ani pisać ani czytać zwykle nie umieją i o których nikt nie wie i nie będzie wiedział nigdy. Poczucie piękna i ideału, tkwi widocznie w duszy ludu polskiego i tego poczucia nie przygłuszy najprozaiczniejsza praca, troski powszedniego życia, nie przygłuszą klęski publiczne.

Fryderyk przysłuchując się w dzieciństwie melodyom ludowym, poznał dokładnie ich typowe piękno, pokochał je serdecznie, a tak niemi duszę swoją napoił, iż później w artystycznych kompozycyach jego, brzmienie me-

lodyi ludowej, miało stanowić jednę z charakterystycznych cech jego geniuszu. On pierwszy tanecznej pieśni ludowej miał nadać skończoną piękna formę, urozmaicić jej nutę pełnemi poetyczności zwrotami, ozdobić ją w bogatą niezmiernie szatę harmonii.

———

ROZDZIAŁ III.

Dalszy ciąg młodości Chopina. — Pierwsza wycieczka za granicę kraju. — Stosunek jego z księciem Antonim Radziwiłłem.

W r. 1825, widnokrąg życia Fryderyka stawał się coraz szerszym, coraz ważniejszym tak w sferze towarzyskiej jako i artystycznej. Wziętość jakiej używał w salonach, stolicy z powodu swojego muzykalnego talentu, przechodziła do ogółu publiczności. Jak dalece osoba jego musiała już mieć pewną siłę pociągającą, najlepszy dowód mamy w tem, iż starano się zawsze, aby Fryderyk brał koniecznie czynny udział w koncertach urządzanych na cele dobroczynne. W dniach 27 maja i 10 czerwca, miały miejsce dwie takie w sali konserwatoryum muzykalne produkcye; w gronie innych utalentowanych amatorów, Fryderyk piękną grą na fortepianie zachwycał słuchaczów. Gdy bawiący podówczas w Warszawie cesarz i król Aleksander I, zapragnął poznać instrument wynaleziony

przez Brumera i Hofmanna, a przez tychże *eolomelodikonem* przezwany, Fryderyka jako najlepszego w całem mieście fortepianistę wezwano, aby zagrał na nim przed monarchą. Instrument ten ustawiono w kościele ewangielickim, aby głos jego korzystniej pod wspaniałą świątyni kopułą mógł się wydawać. Aleksander I zadowolony z niepospolitej gry młodzieńca, obdarzył go kosztownym pierścieniem brylantowym.

Nareszcie w tym także roku, Chopin ujrzał pierwszy swój utwór muzyczny *Rondo* ofiarowane pani Linde, wydrukowany nakładem księgarza Brzeziny. Oczywiście, że ani ta pierwsza publikacya, ani następna *Rondo à la Mazur* (Op. 5), dokonana w Warszawie, nie mogły się w niczem przyłożyć do rozgłosu imienia kompozytora po za granicami kraju, ale w ojczyźnie imię jego tym sposobem stawało się coraz więcej popularniejsze, jako nacechowane już pewnego rodzaju piętnem artystycznej dojrzałości. Rodzice widząc muzykalne powodzenie syna, zachwiali się z wyborem przyszłej dla niego karyery; zbyt wiele już bowiem zajmował się sztuką, aby można było myśleć, iż on zostanie czem innem, jak artystą. Więc też nie stawiając przeszkód na drodze po której kroczył, nie tamując jego wrodzonego zamiłowania do muzyki, ostateczne rozstrzygnienie tej kwestyi

zostawiali jeszcze czasowi, chociaż co do ostatecznego jej rozwiązania, nie zachodziła już prawie żadna wątpliwość. A tymczasem, koło wielbicieli talentu Fryderyka z dniem każdym się zwiększało, wrodzona zaś jego słodycz charakteru, wesoły zawsze humor i dowcip, jednały mu przyjaciół tak w gronie szkolnej młodzieży, jakoteż pomiędzy kolegami studyów muzykalnych w konserwatoryum, gdzie zawsze pilnie na lekcye Elsnera uczęszczał. Całe Liceum dumne było z rozgłosu artystycznego Fryderyka, w klasach zaś do których należał, pozawięzywał serdeczne stosunki przyjaźni, mające następnie trwać przez całe jego życie. Do rzędu takich przyjaciół Chopina należeli: Wojciechowski Tytus, Rembieliński Aleksander, zmarły zbyt wcześnie utalentowany fortepianista; wspomnieni już wyżej: Kolberg Wilhelm i Dziewanowski Dominik, dalej Matuszyński Jan, Koźmian Stanisław, obecnie prezes Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, Marylski Eustachy, Witwicki Stefan, Gaszyński Konstanty, Maciejowski Ignacy synowiec uczonego badacza prawodawst słowiańskich, Celiński, Fontana Julian i wielu innych [1]).

---

[1]) Fontana Julian, fortepianista i kompozytor, urodzony w Warszawie 1810 r., kształcił się w muzyce wspólnie z Chopinem pod kierunkiem Elsnera. W roku 1830

W Konserwatoryum, pomiędzy kolegami sposobiącymi się do zawodu artystycznego, Fryderyk nie znalazł ani jednego, coby mu był zawistnym, coby zazdrościł jego wziętości. Talent bowiem Chopina tak w grze na fortepianie jakoteż w kompozycyi, był tak wielki, tak stanowczo ponad innymi górujący, że mimowolnie chylono przed nim głowy, przyszłego mistrza w nim przeczuwając.

Zresztą z natury łagodny, uczuciowy, w obejściu wytworny i ujmujący, posiadał Fryderyk obok wdzięku kilkonastoletniego młodzieńca, rozwagę i takt człowieka dojrzałego. To właśnie ujmowało mu serca równych z nim

---

wstąpił do wojska, gdzie wkrótce dosłużył się stopnia oficera artyleryi. Po upadku powstania, opuścił kraj i udał do Francyi. Następnie wyjechał do Ameryki; po kilkoletnim tamże pobycie, przybył 1850 r. po raz drugi do Paryża, gdzie zmarł 1870 r. Jako przyjaciel od lat dziecinnych Fryderyka, bywał częstym bardzo gościem w domu jego rodziców; wiedział więc dobrze kiedy jaka kompozycya przez niego utworzoną została. Zatem wszystko, co później podał w przedmowie do wydawnictwa dzieł pośmiertnych Chopina, zasługuje na wiarę. Oprócz wielu własnych drobniejszych kompozycyj, wydawanych różnemi czasy w Paryżu, jako to: *Walców, Etudiów, Kaprysów, Fantazyj* itp., ogłosił w Londynie: *Polish national melodies; Kilka uwag nad pisownią polską* (w Lipsku 1866 roku); *Astronomia ludowa* (w Poznaniu 1869).

wiekiem kolegów i towarzyszów studyów naukowych. Nawet gdy płatał im figle, gdy ich naśladował lub karykaturował, robił to zawsze z taką komiczną i naturalną werwą, z taką wesołą, niewinną swobodę, że nikt cienia złej woli lub myśli w tem dostrzedz nie mógł, więc też i gniewać się nie miał powodów.

Ale czynne bardzo życie, tudzież nieustanna praca, niekoniecznie korzystny wpływ wywierała na delikatną i wątłą jego fizyczną budowę. Ponieważ lekarze doradzali państwu Chopin wysłanie najmłodszej ich córki Emilii do wód szląskich w Reinertz, przeto uznano, że i Fryderyk mógłby się tam udać dla serwatkowej kuracyi. Jakoż w r. 1826, podczas feryj szkolnych, w towarzystwie matki, sióstr Ludwiki i Emilii, nastąpił wyjazd jego z Warszawy. W liście do Kolberga Wilhelma tak opisuje Fryderyk pobyt swój w szląskiej lecznicy:

„Reinertz 18 sierpnia 1826 r.

Kochany Wilusiu!

Przejechawszy Błonie, Sochaczew, Łowicz, Kutno, Kłodawę, Koło, Turek, Kalisz, Ostrów, Międzybórz, Oleśnią, Wrocław, Nimsch, Frankenstein, Wartę i Glatz, stanęliśmy w Reinertz.

Dwa tygodnie już piję serwatkę z wodą tutejszą i niby jak mówią: mam trochę lepiej wyglądać, mam niby tyć, a temsamem lenieć, czemu może przypiszesz tak długi spoczynek pióra mojego. Lecz skoro się dowiesz o moim sposobie życia, przyznasz, iż z trudnością mogę znaleźć chwilę do siedzenia w domu. Rano, najpóźniej o godzinie 6, już wszyscy chorzy przy źródle; tu dopiero nędzna dęta muzyka z kilkunastu karykatur w rozmaitym guście złożona, na czele których chudy fagocista, z osiodłanym, zatabaczonym nosem, przestraszający wszystkie damy, przygrywa wolno spacerującym *Kur-Gästom.* Jest-to więc gatunek reduty a raczej maskarady, bo nie wszyscy w maskach, tych jednakże mała jest liczba. Taka promenada po ślicznej alei łączącej zakład z miastem, trwa zazwyczaj do godziny ósmej, stosownie do kubków ile kto ma wypić. Potem udaje się każdy do siebie na śniadanie. Po śniadaniu, idę zazwyczaj przejść się; chodzę do 12, o której obiad jeść trzeba, dla tego, że znów po obiedzie, idzie się do źródła. Po południu jeszcze większa niż rano maskarada, bo każdy wystrojony, każdy w innym niż rano pokazuje się kostiumie. Znów muzyka rzępoli, a tak chodzi się już do samego wieczora. Ja, ponieważ tylko dwie szklanki *Lau-brunu* piję

po obiedzie, więc wcześnie idę do domu na kolacyę, po kolacyi spać. Kiedyż list pisać?

Oto masz obraz dnia, jaki schodzi jeden po drugim. Schodzi i tak prędko, bo jestem tak długo, a jeszcze wszystkiego nie widziałem.

Chodzę ja wprawdzie po górach, któremi Reinertz otoczone; często zachwycony widokiem tutejszych dolin z niechęcią złażę, czasami na czworakach. Jest tu w bliskości góra ze skałami zwana *Heu-scheuer*, miejsce z którego widoki zachwycające, ale dla bardzo ostrego powietrza na samym wierzchołku, nie wszystkim dostępna. Ja właśnie jestem na nieszczęście jednym z tych pacyentów, którym tam chodzić nie wolno.

Lecz mniejsza o to, byłem już na górze zwanej *Einsiedelei*, bo tam mieszka pustelnik. Wchodzi się na nią po stu kilkudziesięciu schodach w prostej linii, nieledwie pionowo zrobionych do samego pustelnika, zkąd przepyszny widok na całe Reinertz. Wybieramy się na jakieś *Hohe-meuse*, ma to być także góra w prześlicznej okolicy; spodziewam się, że projekt ten przyjdzie do skutku.

Ale próżno nudzę cię temi opisami, z których mało o rzeczy wyobrażenia powziąść możesz, albowiem nie wszystko choć się pragnie

można opisać. Co się tyczy tutejszych obyczajów, takiem się do nich przyzwyczaił, że nie rażą mi już oczu. W początkach dziwno mi było, iż w ogólności na Szląsku kobiety więcej od mężczyzn pracują, ale że sam teraz nic nie robię, więc mi łatwo na to przystać.

Polaków dużo było w Reinertz, lecz teraz grono ich się przerzedza; wszyscy prawie co byli, znajomi moi. Zabawa dosyć wesoła między rodakami, nawet i znaczniejsze niemieckie familie, przykładały się też do wszystkich wspólnych rozrywek. W domu przez nas zajmowanym, mieszka pewna pani z Wrocławia; jej dzieci chłopcy żywe, pojętne, mówią trochę po francuzku. Lecz zachciało im się mówić po polsku, więc zaczyna jeden z nich, a mój druch do mnie: *„zien dobry“* — odpowiedziałem „dobry dzień“. A że mi się chłopak podobał, nauczyłem go jak się mówi *dobry wieczór*. Temu nazajutrz tak się w głowie pomięszało, że zamiast *dobry dzień*, powiada *„zień wieczór!“* Nie wiedziałem zkąd ta omyłka i ledwo com mu mógł wytłumaczyć, że to nie *zień wieczór*, ale *dobry wieczór* mówić się powinno.

Niepotrzebniem ci tyle nabazgrał, możebyś wolał przez ten czas co innego robić; ale też już kończę, odchodzę do *Brunu* na dwie

szklanki wody i pierniczek, z którym zostaję na zawsze

ten co zawsze

Fr. Chopin.

Dziewanowski pisał do mnie; myślę mu odpisać jutro. Donosi mi, że i do ciebie pisał; poczciwy malec iż nie zapomniał. Był tu Alfred Kurnatowski z rodzicami i z siostrami; podobno to znajomość Fontanny; powiedz mu, że wyjechał onegdaj.

Twojemu papie, Twojej mamie, moje uszanowanie.

Nie wiem sam com ci napisał; widzę, że dużo, ale mi się odczytać nie chce“.

Zdarzyło się, iż w czasie pobytu Fryderyka w Reinertz, zmarła na suchoty lecząca się tamże kobieta, zostawiając dwoje dzieci. Szczupły zasób pieniężny, nie wystarczał nawet na pochowanie zwłok, a osierocona dziatwa, pozostała bez chleba i możności wrócenia z wierną sługą do domu. Fryderyk dowiedziawszy się o tej nędzy, ogłasza na dochód ubogich sierót koncert. Publiczność litością wiedziona zgromadza się chętnie, dochód przewyższa wszelkie oczekiwania, młodego zaś fortepianistę otaczają zewsząd hołdy wdzięczności. W kilka

dni po koncercie, Fryderyk ze swojemi opuścił Reinertz.

W roku następnym, przepędził lato w Poznańskiem, we wsi Strzyżewie, majętności pani Wiesiołowskiej siostry rodzonej hr. Fryderyka Skarbka, a swej matki chrzestnej. Ztamtąd uczynił małą wycieczkę do Gdańska. Nie szło mu o żadne artystyczne cele, lecz głównie o poznanie tego starożytnego handlowego grodu i złożenie przytem wizyty tamtejszemu superintendentowi Lindemu, bratu rektora Liceum warszawskiego.

W bliskiem sąsiedztwie Strzyżewa, mieszkał w Antoninie, letniej swojej rezydencyi, książę Antoni Radziwiłł. Możny ten pan, spowinowacony z królewską rodziną Hohenzollerów, piastujący godność namiestnika w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, był nietylko niepospolitym znawcą i namiętnym wielbicielem muzyki, ale i biegłym kompozytorem. Wsławił się on jako twórca muzyki do I. części *Fausta* Goethego, którą berlińska Akademia śpiewu rokrocznie z najwyższego rozkazu dawniej wykonywała. Obdarzony miłym głosem tenorowym, grał prócz tego biegle na wiolonczelli. W mieszkaniu swojem w Poznaniu, otworzył on prawdziwy dla sztuki przybytek. Co tylko tchnęło zamiłowaniem do muzyki, zbierało się na jego pokojach,

gdzie co dwa tygodnie a czasem i częściej, wykonywano kwartety Haydna, Mozarta, Beethowena i innych mistrzów klasycznych. Sam książe, w tych egzekucyach grał partyę wiolonczellową [1]). Otóż młody Fryderyk, korzystając z bytności Radziwiłła w Antoninie, miał sobie za obowiązek odwiedzić go. Twórca *Fausta* zachwycony talentem siedmnastoletniego wirtuoza, pokochał go, zwłaszcza, że starannem wychowaniem, żywą wyobraźnią, dowcipem i humorem niewyczerpanej wesołości, ze wszech miar na to zasługiwał. Radziwiłł bawiąc w Warszawie 1829 r. w maju, podczas koronacyi jako reprezentant króla Pruskiego, oddał wizytę Fryderykowi w domu jego rodziców, zapraszając uprzejmie, aby go odwiedził w Poznaniu, jeżeli mu okoliczności pozwolą. Później raz jeszcze i to już niedługo przed opuszczeniem Warszawy, Fryderyk wybrał się niejako z pożegnaniem do Antonina. Ojciec bowiem wnosząc z pewnych wyrażeń księcia, odnoszących się do zamierzonej artystycznej podróży za granicę syna, mniemał, iż on istotnie pragnie mu przyjść z pomocą materyalną. Fryderyk, jak to później zobaczymy, nie podzielał zdania

---

1) M. A. Szulc: Fryderyk Chopin i jego utwory muzyczne. Poznań 1873.

rodzica, nie ufał tak dalece w szczodrobliwość ludzką; jednak ulegając ojcu, wybrał się do Antonina. W rezultacie okazało się, iż syn miał w tym względzie najzupełniejszą słuszność. Na tem się kończy cały osobisty stosunek tego magnata do naszego artysty. Tymczasem ludzie nie znający dobrze rzeczy, zrobili z Radziwiłła dobroczyńcę Fryderyka, łożącego niby fundusze na jego wychowanie, co jest wprost przeciwne faktycznej prawdzie.

Pierwszy Franciszek Liszt w dziele swojem pod tytułem: *Fryderyk Chohin,*“ napisanem po francuzku a wydanem niedługo po śmierci wielkiego artysty, powiada: „... Książe Radziwiłł przychodząc w pomoc niewystarczającym na to środkom rodziny Chopina, całkowicie młodzieńcem się zajął, — niczego bowiem w należytem wykształceniu umysłu jego nie zaniedbał. Od czasu wejścia jego do szkół, aż do ich ukończenia, on to w szlachetnem poczuciu wszystkiego, co rozwinięciu artysty potrzebnem być może, wydatki za niego ponosił, używając w tem pośrednictwa p. Antoniego Kożuchowskiego, który też odtąd, aż do ostatnich dni jego życia, stałej przyjaźni Chopinowi dochował“.

W ustępie powyższym niema nawet cienia prawdy, a nietylko że na wiarę Liszta powtarzają, a przynajmniej powtarzali go wszyscy obcy pisarze, lecz także niektórzy polscy, co już było rzeczą niedarowaną.

Wiadomo nam zkądinąd, iż do napisania tego dzieła, dopomagał Lisztowi oczywiście w kwestyach odnoszących się do szczegółów życia Chopina, jakoteż obyczajów, tańców i muzyki narodowej polskiej, Grzymała Franciszek, niegdyś poseł na sejm, utalentowany autor i publicysta, zmarły w Paryżu 1871 roku w dwa dni po kapitulacyi. Grzymała należał do grona przyjaciół Chopina podczas jego pobytu w stolicy Francyi, lecz widać nie znał wcale szczegółów towarzyszących jego młodości w Warszawie, gdy dyktował Lisztowi, jakoby książe Radziwiłł łożył na jego wychowanie. Przeciwko takowemu twierdzeniu, zaprotestował w swoim czasie Julian Fontana, znający doskonale Fryderyka od lat dziecinnych, a my stanowczo i w sposób jak najenergiczniejszy przyłączamy się do tej protestacyi.

Rozważmy tylko spokojnie tę sprawę.

Ojciec Fryderyka był profesorem Liceum, zarazem szkoły aplikacyjnej, tudzież szkoły artyleryi i inżynierów, a zatem jednocześnie trzech wyższych zakładów naukowych w stolicy. Oprócz tego, utrzymywał pensyę młodzieży, złożonej z synów zamożniejszych rodzin oby-

watelskich w kraju, za którą oczywiście musiano mu dobrze płacić. Więc nietylko że nie mogło mu „brakować funduszów“ jak mówi Liszt, na wychowanie syna jedynaka, ale owszem miał potemu wszelkie środki pod ręką. Była to zresztą epoka pod względem materyalnym najkorzystniejsza dla całej jego rodziny; ani przedtem, ani później, Chopinowie nie znajdowali się już w równie dobrym finansowym bycie. Nie miał więc ks. Radziwiłł najmniejszego powodu do wspierania Fryderyka w jego studyach naukowych, ani też ojciec jego byłby na to zezwalał, mając pensyonat własny i guwernerów najlepszych w Warszawie; mogąc jako profesor Liceum, posyłać syna bezpłatnie na naukę do tego instytutu. Może ks. Radziwiłł dostarczał Fryderykowi pieniędzy na wycieczki jego za granicę, albo gdy później wybierał się na dwuletnią do Włoch podróż artystyczną? To już nietylko przestałoby być dziwnem, lecz owszem byłoby bardzo naturalnem. Ale gdzie tam — i tu nawet nic podobnego nie miało miejsca. Wszak w listach Fryderyka pisywanych do rodziców, do przyjaciół najserdeczniejszych, więc poufnych i szczerych, znalazłaby się przecie jaka alluzja do wspaniałomyślnego czynu, który po wszystkie czasy był i jest, mianowicie u nas rzadkością. Fryderyk

wyjechał na tę podróż, zaopatrzony w pieniądze zebrane z trzech koncertów danych w ciągu 1830 r.; dopiero gdy po ośmiu miesięcznym pobycie w Wiedniu, postanowił udać się do Paryża, prosił ojca o przysłanie mu pieniędzy, ubolewając zarazem nad tem, iż stał się powodem ciężkich dla rodziców wydatków, podczas gdy w kraju wojna zagrażała ogólnemu wszyststkich dobrobytowi. Więc też ojciec posyłał mu fundusze w miarę potrzeby, dopóki nie przyszła chwila, że sam na swoje w Paryżu utrzymanie mógł zarabiać.

Na pamiątkę znajomości z twórcą muzyki do *Fausta,* Fryderyk ofiarował mu później *Trio* na fortepian, skrzypce i wiolonczellę (Op. 8), które jeszcze w Warszawie pomiędzy r. 1827 a 1829 skomponował. Więc ściśle biorąc, nie Radziwiłł Chopinowi, lecz Chopin Radziwiłłowi wyświadczył przysługę, przypisując mu dzieło muzyczne, kosztujące go nie mało mozolnej pracy.

M. A. Szulc utrzymuje [1]), iż w początkach 1833 r., Adam Kożuchowski odwiózł do Paryża list dziękczynny i upominek Radziwiłła za dedykacyę *Tria,* które mu przysłał Chopin zaraz po wydrukowaniu tej kompozycyi u Ki-

---

[1]) Echo Muzyczne nr. 18 za r. 1880.

stnera. Nam się zdaje, że to właśnie stało się powodem dla wielu, do mniemania o wrzekomych dobrodziejstwach Radziwiłła dla Fryderyka. W każdym razie, nie Liszt winien, iż pierwszy wieść podobną w świat puścił, przez co w sposób najnieprzyjemniejszy dotknął uczucia żyjących jeszcze podówczas matki i sióstr Chopina, lecz obwiniać potrzeba albo Grzymałę, albo tych, co niefortunną tę pogłoskę Lisztowi podyktowali.

ROZDZIAŁ IV.

Podróż do Berlina. — Przygoda jaka spotkała Fryderyka w drodze z powrotem do Warszawy.

W roku 1827, muzyka stała się już jedynem i najgłówniejszem zajęciem Fryderyka; w roku zeszłym opuścił Liceum, gdyż od pewnego czasu, całą swoją działalność umysłową skierował wyłącznie do ukochanej przez siebie sztuki, jej się tylko oddawał. Znaczna też liczba utworów muzycznych albo już ukończonych, albo w pierwiastkowych zarysach na ostateczne opracowanie przeznaczonych, zalegała teraz fortepian jego. Elsner, najbliższy świadek artystycznego życia Fryderyka, kompetentny sędzia jego muzycznych kreacyj, radził rodzicom nie zwlekać dłużej z obraniem zawodu, do którego natura tak bogato go uposażyła. Talent Fryderyka w jego przekonaniu, sięgał daleko po

za sfery zwyczajnym ludziom dostępne. Nie ulegało już wątpliwości, iż on będzie wielkim artystą. Jego zapał do sztuki, uderzające postępy w grze na fortepianie, jego nieustanna twórcza praca i tej pracy zachwycające pięknością i oryginalnością owoce, zniewoliły w końcu rodziców do zgodzenia się na to, czemu już przeszkodzić nie było w ich mocy. Fryderyk więc został artystą.

Teraz myślano o tem, aby przyszłemu wirtuozowi i kompozytorowi, podać możność poznania czegoś więcej nad to, co rodzinne miasto miało mu dostarczyć. Sławniejsi zagraniczni artyści zaglądali wprawdzie czasami do Warszawy produkując się publicznie; pod tym względem mógł Chopin ciekawość swoją zaspokoić, lecz pragnienie posłyszenia wzniosłych arcydzieł wielkich mistrzów klasycznych, mogło być tylko zaspokojone w większych zagranicznych ogniskach intellektualnego świata. W kole rodzinnem postanowiono tedy wysłać Fryderyka, chociażby na kilka tygodni do Wiednia lub Berlina, jeżeli tylko odpowiednia sposobność się nadarzy. Jakoż w roku 1828, profesor Jarocki otrzymał właśnie zaproszenie od znakomitego Humboldta, do wzięcia udziału w kongresie badaczów przyrody, mającym się odbyć w stolicy pruskiej. Ojciec Fryderyka

korzystając z tak pożądanego zdarzenia, powierzył syna opiece dawnego przyjaciela domu. Profesor Jarocki sam był z tego niezmiernie kontent, ile że wesoły zawsze humor i dowcip młodzieńca, dawał mu rękojmię przyjemnego tej podróży odbycia. Pierwszy to raz dopiero Chopin miał zwiedzić obce wielkie miasto, gdzie sobie obiecywał poznać nie mało sławniejszych oper, posłyszeć wykonanie jakiego większego dzieła muzycznego.

Mamy właśnie w ręku cztery listy Fryderyka; jeden pisany do przyjaciela Tytusa Woyciechowskiego w sam dzień wyjazdu z Warszawy, trzy zaś z Berlina do rodziców. Widać w nich młodzieńca wesołego, trzpiotowatego, bo nawet zapomina położyć daty dokładnej, co mu się zresztą i w późniejszych listach niekiedy przytrafia. Ani się on jeszcze domyśla swojej wartości artystycznej, ani też pragnie dać się komukolwiek z tej strony poznać. Bawią go oryginalniejsze typy niektórych uczonych niemieckich, zbiera z nich karykatury... ale pozwólmy niech sam opowie szczegóły tej do Berlina podróży:

„Warszawa 9 września 1828 r.

Najdroższy Tytusie.

Nie uwierzysz z jakiem upragnieniem oczekiwałem wiadomości o tobie i twojej Mamie; możesz więc sobie wyobrazić jakie było moje ukontentowanie, gdym list twój odebrał. Byłem wówczas w Strzyżewie, gdzie całe lato spędziłem. Natychmiast odpisać ci nie mogłem z powodu codziennego wybierania się do Warszawy. Teraz zaś piszę, ale jak warjat, bo nie wiem istotnie co się ze mną dzieje — jadę dziś do Berlina!

Na wzór zjazdów w Szwajcaryi a później w Bawaryi, król pruski upoważnił uniwersytet berliński do zaproszenia znaczniejszych uczonych Europy na sessye *badaczów natury,* pod przewodnictwem sławnego Humboldta odbywać się mające. Profesor Jarocki jako dawny student uniwersytetu berlińskiego, a później tamże doktoryzowany, dostał jako zoolog podobne zaproszenie. Zapowiadają coś wielkiego i że Spontini z *Kortezem* wystąpi. Przyjaciel i nauczyciel Jarockiego Lichtenstein, jest sekretarzem owego zgromadzenia, a zarazem członkiem Akademii śpiewu i w dobrej harmonii z Zelterem, prezesem tego muzycznego za-

kładu. Mówili mi dobrze znający Berlin, że przez Lichtensteina poznam znaczniejszych muzyków stolicy pruskiej, wyjąwszy Spontiniego, z którym on podobno nie żyje. Radbym tam zastać ks. Radziwiłła poznańskiego, ten za pan brat ze Spontinim. Dwa tygodnie tylko z Jarockim tam będę, ale dobrze i raz słyszeć wyborną operę; już można mieć wyobrażenie o wyższej egzekucyi.

W Strzyżewie przerobiłem owe *Rondo C-dur* (ostatnie jeżeli sobie przypominasz) na 2 fortepiany [1]; dzisiaj go próbowałem z Ernemannem u Bucholtza [2], i dosyć się dobrze wydało. Myślimy go kiedy grać w Resursie. Co się tyczy nowych moich kompozycyj, nic nie mam, prócz jeszcze nie zupełnie skończonego *Tria G-mol*, zaczętego wkrótce po twoim wyjeździe. Próbowałem pierwsze *Allegro* z akompaniamentem. Myślę, że to *Trio* podobny los spotka, co moją *Sonatę* i *Waryacye*. Już są w Wiedniu; pierwsza jako od ucznia Elsnerowi przypisana, na drugich (może zbyt śmiało), twoje nakreśliłem imię. Serce tak chciało, przyjaźń nie wzbroniła i ty za złe mi nie bierz. Skarbek jeszcze nie wrócił.

---

[1]) Wyszło w zbiorze dzieł pośmiertnych, wydanych przez Fontanę jako opus 73.

[2]) Ernemann nauczyciel muzyki; Bucholtz fabrykant fortepianów w Warszawie.

Jędrzejewicz zostaje na dłuższy czas w Paryżu [1]). Zapoznał on się tam z Sowińskim fortepianistą [2]), który mi też parę słów napisał, oświadczając, że radby się ze mną listownie wprzód poznać nim przyjedzie do Warszawy; że należąc do redakcyi *Revue musical publicé par Fetis*, przyjemnie mu byłoby mieć niektóre wiadomości o stanie muzyki w Polsce, o sławnych w tej sztuce Polakach, o ich życiu itd., do czego się mięszać nie myślę. Odpiszę mu z Berlina, że nie do mnie takie rzeczy należą, że zresztą nie mam jeszcze sądu godnego dziennika paryskiego, gdzie same dojrzałe zdania mieścić się powinny itd. itd.

Ku końcowi tego miesiąca opuszczę Berlin. Pięć dni drogi dyliżansem! U nas wszystko po dawnemu; poczciwy Żywny duszą całej zabawy...

Kończę, bo już mój tłomoczek odesłany na pocztę.

Mamę ucałuj w nóżki i rączki odemnie. Moi rodzice i rodzeństwo przesyłają uszanowanie i serdeczne życzenia polepszenia zdrowia.

---

1) Józef Kalasanty Jędrzejewicz profesor, później szwagier Fr. Chopina, ur. 1803, zm. 1853.

2) Wojciech Sowiński, fortepianista, kompozytor i literat, zmarł w Paryżu 2 marca 1881 r.

Przecie zlituj się i napisz czasem słówko, a choćby i pół, choć literę i ta mi drogą będzie.

Twój Fryderyk.

Berlin we wtorek [1]).

Najukochańsi rodzice i siostry moje!

W niedzielę około 3 popołudniu, przydyliżansowaliśmy do tego zawielkiego miasta. Z poczty zaprowadzono nas prosto do oberży pod Kronprinzem i tam dotąd stoimy. Dobrze nam tu i wygodnie. Zaraz pierwszego dnia naszego przyjazdu, wziął mię pan Jarocki do Lichtensteina; tam widziałem Humboldta. Lichtenstein oświadczył mi, że mię zapozna z pierwszymi mistrzami mojej sztuki, żałując, żeśmy dniem wprzódy nie przyjechali, bo właśnie tego samego dnia rano, jego córka grała z towarzyszeniem orkiestry. Mniejsza o to ostatnie, pomyślałem sobie. Czym zgadł? nie wiem jeszcze, bom jej dotąd nie widział, a tem samem nie słyszał. W niedzielę, w dzień naszego przyjazdu, grano: *Das unterbrochene Opferfest*, Wintera. Wizyta pana Lichtensteina, nie dozwoliła mi

---

1) 16 września 1828 r.

być na tej operze. Wczoraj miał miejsce obiad wspólny owych (dla mnie karykatur) uczonych, których tu już na trzy podzieliłem klasy, nie pod przewodnictwem Humboldta (bo ten bardzo dobrze ułożony), ale jakiego innego Czopmistrza, którego nazwiska w tej chwili sobie nie przypominam, lecz mam zapisane pod zrobionym przezemnie jego portretem. Obiad ten nadzwyczaj długo się ciągnący, nie dozwolił mi być na koncercie dziewięcioletniego Birnbacha skrzypka, dosyć tu chwalonego. Dziś idę na *Ferdynanda Corteza*, sławną Spontiniego operę; więc ażeby jakim przypadkiem znów na karykaturach nie skończyć, prosiłem pana Jarockiego, aby mi pozwolił zjeść obiad osobno. Co uczyniwszy, zabrałem się do pisania tego listu, poczem idę na operę. Wieści niosą, że Paganini, ów sławny skrzypek ma tu przybyć; może się to sprawdzi. Radziwiłła spodziewają się 20. tego miesiąca; dobrzeby było, gdyby przyjechał.

Dotychczas prócz gabinetu zoologicznego, nic jeszcze nie widziałem, miasto jednakże znam już po większej części, albowiem przez te dwa dni, łaziłem tylko i gawroniłem się po piękniejszych ulicach i mostach. Nie będę się trudził wyszczególnianiem znaczniejszych budowli, jak wrócę to opowiem; ogólne zaś moje zdanie

o Berlinie: że za szeroki, zdaje się, że jeszcze drugie tyle ludności snadnie zmieścićby się w nim mogło.

Z początku mieliśmy mieszkać na *Französischen Strasse*, ale się zmieniło, z czego się mocno cieszę, bo ulica ta nadzwyczajnie smutna; ledwo sześcioro ludzi razem ujrzeć można. Zapewne jej szerokość wyrównywająca naszemu Lesznu, jest tego przyczyną. Dzisiaj dopiero będę widział co to jest Berlin w mojem znaczeniu! [1]).

Wolałbym był rano siedzieć u Schlessingera, aniżeli łazić po 13 pokojach gabinetu zoologicznego. Śliczny jest wprawdzie, ale skład muzyczny wyżej wymienionego, na coś więcej by mi się przydał. Lecz od przybytku głowa nie boli, będę i tam. Dzisiaj rano oglądałem także dwie fabryki fortepianów; Kisting mieszka na końcu *Friedrichstrasse;* żadnego wykończonego nie miał, próżnom się fatygował. Dobrze się zdarzyło, że tu w domu u gospodarza jest fortepian i że na nim grać mogę. Nasz oberżysta admiruje mię codzień, skoro go (a raczej jego instrument) odwiedzam.

W drodze nie było tak źle, jak się z po-

---

1) W znaczeniu artystycznem; alluzya do opery, którą miał słyszeć.

czątku zdawać mogło; a lubo w drążkowych pruskich dyliżansach dużo się pieprzu natłukło, jednakże na dobre mi to wyszło jak widzę, bom zdrów i bardzo zdrów.

Nasze podróżne towarzystwo, składało się z jednego prawnika Niemca, zamieszkałego w Poznaniu, a odznaczającego się ciężkiemi żartami, i tłustego agronoma, którego już dyliżanse (albowiem wiele podróżował) wykształciły. Taka to była nasza kompania aż do ostatniej stacyi przed Frankfurtem, gdzie nam przybyła jakaś niemiecka Korinna, pełna *achów, jaów, najów*, słowem istna romantyczna pupka. Ale i to bawiło, zwłaszcza, że się przez całą drogę gniewała na swego sąsiada prawnika.

Okolice Berlina z tej strony, nie są najpiękniejsze, ale zachwycają porządkiem, czystością, doborem rzeczy, słowem pewną przezornością, jaka się daje widzieć niemal w każdym kąciku. Z innych stron miasta jeszcze nie byłem; dziś być nie mogę, chyba jutro. Pojutrze już się zaczynają posiedzenia, na które pan Lichtenstein obiecał mi dać kartę wnijścia. Tegoż dnia, ma być wieczorem przyjęcie badaczów natury przez Humboldta. Pan Jarocki chciał się postarać, ażeby mnie tam wpuszczono, alem go prosił, aby tego nie czynił, bo mi się to nie na wiele przyda, a potem krzywoby

mogły patrzeć na mnie inne zagraniczne głowy, ujrzawszy pomiędzy sobą profana. Zresztą, nigdy nie chcę być nie na swojem miejscu. I tak już przy stole, zdaje mi się krzywo na mnie patrzył mój sąsiad. Był-to profesor botaniki z Hamburga, pan Lehmann. Zazdrościłem mu jego paluchów. Ja dwoma rękami bułkę łamałem, on jedną pogniótł ją na placek. Żabka takie miał łapeczki jak niedźwiedź. Gadał z panem Jarockim przezemnie, a w rozmowie tak się zapominał, tak się zapalał, że po moim talerzu paluchami gmyrał i okruszyny zmiatał. (To prawdziwy uczony, bo przytem miał nos duży i niezgrabny). Siedziałem jak na szpilkach podczas zamiatania mojego talerza i potem musiałem froterować serwetą.

Marylski za grosz gustu niema, jeżeli mówi że berlinki są piękne. Stroją się to prawda, ale szkoda owych pociętych pysznych muślinów na takie lalki irszane.

Wasz szczerze kochający

Fryderyk.

Berlin 20 września 1828 r.

Zdrów jestem i zacząwszy od wtorku, jakby dla mnie umyślnie, co dzień dają coś nowego w teatrze. Co większa, słyszałem już jedno *Ora-*

toryum w Singakademii. Corteza, *Il matrimonio segreto* Cimarosy, *Kolportera* Onslowa, z zadowoleniem słuchałem. Jednakże *Oratoryum Cäcilienfest* Händla, więcej się zbliżało do ideału, jaki sobie o wielkiej muzyce utworzyłem. Ze śpiewaczek, niema teraz żadnej z okrzyczanych, oprócz panny Tibaldi (alto) i młodej 17-letniej von Schätzel, którą najprzód w *Singakademii*, a potem w teatrze, w *Kolporterze* słyszałem. W *Oratoryum* więcej mi się podobała; może lepiej do słuchania byłem usposobionym. Jednak i tam nie obeszło się bez *ale;* już to chyba w Paryżu go nie będzie.

U Lichtensteina od tego czasu nie byłem, albowiem tak jest zajęty urządzeniami sesyi, że pan Jarocki zaledwie kilka słów z nim zamienić może. Pomimo tego, wystarał mi się o bilet wnijścia na posiedzenia. Miejsce było wyborne, słyszałem i widziałem co było można, nawet Kronprinzowi dobrze się przypatrzyłem. Spontiniego, Zeltera, Mendelsohna widziałem, lecz z żadnym nie mówiłem, bo nie śmiałem się sam rekomendować. Ks. Radziwiłł dziś ma przyjechać; po śniadaniu pójdę się dowiedzieć. Księżnę Lignicką widziałem w *Singakademii*, a spostrzegłszy kogoś jakby w liberyi ubranego i z nią rozmawiającego, pytam sąsiada czy to królewski kamerdyner? „*Ei, das ist ja*

Excellenz von Humboldt“ odpowiedział. Tak mi go mundur ministrowski zmienił, że pomimo dobrze w pamięci wyrytych rysów twarzy tego wielkiego *pietona* (bo aż na Cimborasso łaził), wcale go poznać nie mogłem. Wczoraj także był na *Kolporterze* czyli jak tu nazywają: *Hausirerze*, a po naszemu ile mi się zdaje na *Kramarzu*, w loży królewskiej książe Karol.

Onegdaj zwiedzaliśmy bibliotekę. Ogromna, jednakże bardzo mało dzieł muzycznych. Tam widziałem własnoręczny list Kościuszki, który to list wypisywał sobie po literze Falkenstein, biograf naszego bohatyra. Spostrzegłszy żeśmy Polacy, że gładko czytamy list, co on mozolnie malował, prosił pana Jarockiego o wytłomaczenie treści po niemiecku, wypisując ją za dyktowaniem do pugilaresu. Jest-to jeszcze dosyć młody człowiek; ma urząd sekretarza w bibliotece drezdeńskiej. Widziałem tam również redaktora muzycznej gazety berlińskiej i z tym parę słów mówiłem.

Jutro *Freischütz!*... tego mi właśnie potrzeba. Będę mógł czynić porównania z naszymi śpiewakami. Dziś otrzymałem bilet na wspólny obiad w *Exercirhausie*.

Więcej się teraz karykatur nazbierało.

Berlin, sobota 27 b. m.

Zdrów jestem, widziałem co można było widzieć. Wracam do Was. W poniedziałek (to jest od pojutrza za tydzień), uściśniemy się. Służy mi waguska. Nic nie robię tylko łażę na teatr. Wczoraj była: „*Das unterbrochene Opferfest*“ gdzie nie jedna chromatyczna gamma, przez pannę Schätzel wypuszczona, przeniosła mię na Wasze łono [1]). Po *wasze*, przypomniała mi się berlińska karykatura. Stoi wyrysowany napoleoński żołnierz przy odwachu z karabinem i pyta: „*qui vive?*“ a idąca tłusta Niemka odpowiada: „*la vache!*“ Chciała ona powiedzieć „*die Wäscherin,*“ ale pragnąc ażeby to było więcej elegancko i ażeby francuzki żołnierz łatwiej ją zrozumiał, sfrancuzczyła swoją godność!

Między ważniejsze sceny pobytu, liczyć mogę drugi obiad z panami naturalistami. We wtorek, w wigilię rozjazdu, był obiad ze śpiewami zastosowanemi do okoliczności. Co żyło śpiewało, a co tylko przy stole siedziało, spijało i brzękało w takt muzyce. Zelter dyrygował; przy nim stał na ponsowym postumencie

[1]) Alluzya do śpiewaczek warszawskich, opuszczających nieraz to, co przez kompozytora w roli jest napisane.

wielki wyzłacany kielich, na znak najwyższej muzykalnej godności. Jedli więcej niż zwykle, przyczyna temu jest następująca:

Panowie badacze natury a szczególniej zoologowie, zajmowali się głównie ukształceniem mięsa, sosów, rosołu i t. p. rzeczy, więc przez te kilka dni sesyi, tyle postępu w jedzeniu uczynili. Na *Koenigstädter Theater*, drwiono już tym sposobem z uczonych, że w jakiejś komedyi (na której nie byłem, lecz wiem z opowiadania), piją piwo i pyta jeden drugiego: „Dla czego teraz piwo w Berlinie tak dobre? — A, bo się zjechali badacze natury,“ odpowiedział.

Ale czas iść spać, bo jutro raniuteńko musimy być na poczcie. W Poznaniu zostaniemy dwa dni, *in gratiam* obiadu, na który nas zaprosił arcybiskup Wolicki.

Jak się zobaczymy, dopiero to będziemy gawędzić!

Do widzenia itp.“

Wyjeżdżając z Berlina, profesor Jarocki i Fryderyk, dostali za towarzyszów podróży trzech panów udających się w jedną z niemi drogę. Ciężkie i nudne ich rozprawy polityczne, a mianowicie dym z fajek, którego Fryderyk nigdy znosić nie mógł, zmusiły ich do porzucenia wnętrza karety i usadowienia się w kabryolecie, gdzie przynajmniej świeżego powie-

trza mieli poddostatkiem. Przybywszy do miasteczka Cylliehowa, na stacyi pocztowej powiedziano im, że dla braku koni, muszą z godzinkę zaczekać. Więc profesor Jarocki zaproponował towarzyszowi przechadzkę, dla obejrzenia miasteczka. Wróciwszy z niej, a widząc, że dyliżans jeszcze nie gotowy, weszli do domu, który służył za pocztę i restauracyę zarazem. Fryderyk spostrzegł natychmiast w drugim pokoju, niby salonie, fortepian; zbliża się do niego, otwiera, próbuje: „O wystrojony! woła i z pewnym rodzajem zadowolenia, siada i zaczyna grać. Niebawem, na odgłos instrumentu wprawną dotykanego ręką, wchodzi jeden z podróżnych, staje za grającym i słucha. Chopin spostrzegłszy to w lustrze, powiada po polsku do profesora Jarockiego: „No, zobaczymy czy to artysta, czy amator tylko“ i rozpoczął improwizować. Niemiec ów stał jak skamieniały, duszą całą utonął w tonach tej dziwnie pięknego uroku muzyki, tylko wzrok jego automatycznie śledził wszelkie poruszenia rąk grającego; zapomniał o fajce, zapomniał o bożym świecie. Zaraz potem, dwaj inni podróżni weszli do salonu. Wkrótce także otwierają się drzwi z lewej strony i wychodzi z nich pan pocztmistrz, staje zdumiony i słucha; później nieco, otwierają się drzwi z prawej strony, pani pocztmistrzowa

z dwiema dorosłemi córkami, zachwycona stanęła na środku salonu, nie wiedząc co ten koncert znaczy, zkąd się zjawił tak pięknie grający wirtuoz? Tymczasem kiedy Fryderyk w najlepsze się zaimprowizował, kiedy słuchacze poili się rozkoszami czarującej, mistrzowskiej muzyki, wchodzi pocztylion i pomimo groźnych ruchów pięści samego pana pocztmistrza, który chciał aby milczał i nie przeszkadzał grającemu, krzyknął na całe gardło: „Panowie, dyliżans do drogi gotowy!“

Poruszenie ogólne: Chopin wstaje od fortepianu, aż tu wszyscy w prośby, ażeby jeszcze grał, ażeby dokończył sztuki i nie opuszczał instrumentu. Wymawia się, że konie czekają, że się spóźnią w drodze, i może który z towarzyszów podróży za zwłokę gniewać się będzie. Ale ci zapewniają go najsolenniej, iż przeciwnie, nie tylko żaden gniewać się nie myśli, lecz owszem, każdy z nich uważa sobie za największe szczęście, słuchać takiego artysty. Pocztmistrz widać wielki miłośnik muzyki, zaczyna Fryderyka ściskać, całować, prosząc, aby grał, aby się nie lękał spóźnienia, gdyż on każe do powozu kuryerskie konie założyć. Do gorących próśb brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, kiedy przyłączyła się jeszcze płeć piękna w osobie pani pocztmistrzowej i jej pulchniutkich córek,

uformował się chór, któremu trudno było się dłużej opierać. I znów nasz fortepianista zasiadł do instrumentu i wygrywał rozmaite rzeczy.

Jedna z panien na skinienie matki, wybiegła z pokoju; niebawem wraca niosąc tacę z winem, ciastami i cukierkami. W przestankach muzyki, następuje traktament. Fryderyk się wymawia, nic nie pomaga; zmuszają go do picia i jedzenia słodkich łakoci. Niemcy w brylantowym humorze, trącają się kieliszkami z profesorem Jarockim, piją zdrowie młodego wirtuoza, dopytując zkąd on jest, jak się nazywa. Potem znowu muzyka i trwało tak z parę godzin. Nareszcie kiedy już Fryderyk zupełnie grać przestał, zbliża się do niego ów pan, co na odgłos fortepianu pierwszy wszedł do salonu i uroczyście z wielką powagą rzeknie: „Młodzieńcze, ja sam jestem starym i doświadczonym nauczycielem muzyki, ale oddałbym dziesięć lat życia mojego, ażebym mógł tak grać jak ty!“ Pocztmistrz zaś rozczulony do najwyższego stopnia, zawołał: „Teraz spokojny i szczęśliwy umrę, bom słyszał Chopina, polskiego wirtuoza!“

Kiedy po licznych uściskach, oświadczeniach wdzięczności i zadowolenia, miano wsiadać do dyliżansu, w którego kieszenie pani pocztmistrzowa i jej córki nie zaniedbały na-

pakować ciast i cukierków, sam gospodarz domu porywa szczupłego i wątłego Fryderyka na swe olbrzymie barki, niesie w tryumfie do powozu, życząc szczęśliwej podróży i wszelkiej na świecie pomyślności.

W Poznaniu, podróżni zabawili dni kilka, już to dla tego, iż byli zaproszeni do arcybiskupa Wolickiego, a powtóre pragnęli także odwiedzić kś. Antoniego Radziwiłła, który pomimo zapowiedzianego przyjazdu do Berlina, nie opuścił jeszcze dotąd Poznania. W domu Namiestnika, oczywiście muzyka była na pierwszym planie. Fryderyk wykonywał tamże *Sonaty* Haydena, Beethovena, Hummla, naprzemian z księciem grającem na wiolonczelli, albo na cztery ręce z Klingohrem, metrem muzyki młodych księżniczek.

Opuściwszy gościnny Poznań, spieszył teraz Fryderyk niecierpliwie do ukochanej rodziny, do ulubionych studyów swoich, czterotygodniowem trwaniem podróży przerwanych. Im bliżej był Warszawy, tem powolniejszą i dłuższą ciężkim dyliżansem jazda mu się wydała. Na jego usilne prośby, profesor Jarocki wziął w Łowiczu ekstrapocztę i dnia 6 października przywiózł Fryderyka do domu rodziców, uszczęśliwionego z tej pierwszej do wielkiego zagranicznego miasta wycieczki.

ROZDZIAŁ V.

Podróż do Wiednia. — Chopin występuje w dwóch koncertach. — Praga, Teplitz i Drezno.

Wróciwszy do domu, Fryderyk pośród zajęć i obowiązków towarzyskiego życia, zabierających zwykle dosyć drogiego czasu, krzątał się czynnie około swoich prac kompozytorskich, wzrastających z każdym rokiem; oto co pisał w tym względzie do Wojciechowskiego:

„Warszawa w sobotę 27 grudnia 1828 r.

Najdroższy Tytusie.

Ociągałem się aż do tej chwili, w której uczucie przyjaźni górę nad lenistwem wzięło. Chcąc abyś list ten na 1go i 4go stycznia miał w domu, choć zaspany wziąłem się do pióra.

Nie będę kartek jego obarczał mnóstwem komplimentów, wyszukanych życzeń, ordynaryjnych często konceptów, bo mię znasz i ja cię znam: — w tem szukaj przyczyny milczenia i lakoniczności tego pisma...

Rondo à la Krakowiak skończone w partyturze. Introdukcya oryginalna, więcej niż ja cały z bajowym surdutem. Ale *Trio* jeszcze nieskończone.

Na górze w naszym domu, jest już urządzony pokoik, mający mi służyć ku wygodzie; z garderóbki schody do niego wprowadzone. Tam mam mieć stary fortepian, stare biórko, tam ma być kąt schronienia dla mnie. Osierociałe *Rondo* na 2 fortepiany, znalazło ojczyma w osobie Fontany (możeś go kiedy u mnie widział, chodzi on na uniwersytet); przeszło miesiąc się uczył, ale się nauczył i niedawno u Bucholtza [1]), doświadczyliśmy efektu jaki sprawiaćby *mogło*. Mogło — dlatego, że niezupełnie strojne były instrumenta, nie zawsze dopisywały palce i te wszystkie drobnostki, co wiesz ile odcienia nadają każdej rzeczy. Od tygodnia nic nie skomponowałem godnego ani dla Boga, ani dla ludzi. Latam od Anaasza do

[1]) Bucholtz był podówczas najlepszym w Warszawie fabrykantem fortepianów.

Kajfasza i dziś jestem u Wizegerodowej na wieczorze, zkąd jadę na drugi do panny Kickiej. Wiesz jak to wygodnie, kiedy się spać chce, a tu proszą o improwizacyę. Dogodzić wszystkim! Rzadko zdarza się myśl podobna tej, co nieraz u ciebie tak snadnie weszła mi pod palce. Nadto gdzie ruszyć, Leszczyńskiego nędzne instrumenta; ani jednego nie spotkałem, coby się zbliżał mechaniką i głosem do fortepianu twej siostry, albo naszych.

Wczoraj rozpoczął się teatr polski *Precjozą*, a Francuzi przedstawili *Rataplana*. Dziś *Geldhab* Fredry, jutro zaś *Mularz i Ślusarz* Aubera.

Mówił mi ktoś, żeś do niego pisał; nie myśl żebym się krzywił, żeś do mnie nie pisał; znam twoją duszę, o papier nie stoję, a jeżeli tylem ci już bez sensu nabazgrał, to jedynie dlatego, żeby ci przypomnieć, że tak cię mam w sercu jak i dawniej, że ten sam Fryc jestem co poprzednio. Nie lubisz żeby cię całować: dziś pozwól mi to uczynić.

Najlepszego zdrowia twej Mamie od całego domu. Żywny ci się kłania.

Twój Fryderyk.“

Zbliżała się nareszcie chwila, w której Fryderyk na obszerniejszej aniżeli dotąd widowni świata muzykalnego, miał złożyć nie-

jako egzamin dojrzałości swojej artystycznej. Następstwa tego były ważne i stanowczo na kierunek jego losu wpływające.

Kilku przyjaciół i kolegów szkolnych Fryderyka, postanowiło w miesiącu lipcu 1829 r., zrobić wycieczkę do Wiednia, Ojciec widząc jak znaczną korzyść odniósł syn z podróży do Berlina, postanowił wysłać go znowu do Niemiec w towarzystwie owego grona przyjaciół. Wprawdzie postępy jakie uczynił tak w grze na fortepianie jako i w kompozycyi, były nadzwyczajne, zdumiewające, lecz z drugiej strony, szło właśnie o to, aby oderwać go choć na krótki czas od ulubionej mu pracy. Układająca się właśnie wycieczka za granicę, była najodpowiedniejszą ku temu, gdyż obok rozrywek wszelkiego rodzaju, przedstawiała możność ujrzenia i posłyszenia wielu ciekawych rzeczy. Fryderyk z rozkoszą przygotowywał się do podróży; tylko jedna myśl go trapiła: myśl wystąpienia w Wiedniu, w tem sławnem z muzykalności mieście z grą na fortepianie, gdyż przyjaciele jego a nawet i ojciec, nalegali, aby skoro się nadarzy sposobność, dał się przecie publicznie słyszeć. W Warszawie grę Fryderyka podziwiano i ceniono powszechnie, lecz to nie wystarczało już tej duszy, marzącej o szerszych polach artystycznych popisów. „Cóż

z tego że mię tu chwalą,“ zwykł był do bliższych sobie mawiać: „ale co na to powiedzieliby w Wiedniu albo w Paryżu?“ W roku zeszłym poznał z bliska Hummla, jednego z najsławniejszych podówczas w Europie fortepianistów. Fryderyk znał także od dawna kompozycye tego wirtuoza, które były dla niego pewnym rodzajem ideału doskonałości. Teraz miał sposobność przysłuchać się grze Hummla, występującego z kilku w Warszawie koncertami. Jakkolwiek była to gra piękna, świetna nawet i na wybornych klasycznych wzorach wykształcona, przecie Chopin czuł, iż pod względem techniki fortepianowej, nie stoi znowu tak dalece niżej od niego. Przyjaciele zaś Fryderyka, jak-to zwykle przyjaciele, utrzymywali nawet, że on już jest tak wielkim wirtuozem, że nietylko Hummla, lecz nikogo na świecie obawiać się niema powodu i że jadąc za granicę, powinien tam dać się już jako artysta poznać i koniecznie wystąpić z koncertem. Ale twórca *Waryacyi z don Juana* i tylu innych już dzieł, które jako skończone, albo będące na ukończeniu spoczywały w jego kompozytorskiej tece, nie śmiał jeszcze zdobyć się na takie postanowienie. Udając się na przejażdżkę do Wiednia, wziął z sobą jednak parę z towarzyszeniem orkiestry kompozycyi, aby mieć takowe

od wszelkiego przypadku pod ręką, lecz o wystąpieniu publicznem wątpił, a nawet nie rad był zaprzątać niem sobie głowy, bo jakieśmy już wyżej powiedzieli, myśl ta turbowała go i humor mu psuła. Fryderykowi głównie szło o to, aby obaczyć miasto głośne z piękności i wesołego życia, aby posłyszeć jak najwięcej oper i innych dzieł muzycznych; marzył wreszcie o poznaniu ludzi zajmujących wysokie artystyczne stanowiska, nie domyślając się zgoła, ażeby oni właśnie olśnieni jego nadzwyczajnym talentem, zmusili go mimo woli do publicznego wystąpienia. Ciekawe w tym względzie listy Fryderyka pisywane do rodziców, najlepiej malują osobiste jego wrażenia, wahanie się, obawę i nareszcie radość, jakiej doznał z tej pierwszej ogniowej, a pomyślnej dla siebie próby.

Opuściwszy Warszawę w ostatnich dniach lipca 1829 roku, w towarzystwie przyjaciół, jak to: Hubego, Celińskiego i Maciejowskiego Ignacego, Fryderyk zwiedził najprzód Kraków, następnie Ojców, tę miniaturową Szwajcaryę polską, gdzie go spotkały rozmaite pocieszne przygody, dumny z tego, że miał szczęście nocować w izbie służącej niegdyś za nocleg Klementynie Tańskiej, w dniu zaś 31 lipca przybył do stolicy cesarstwa Austryackiego.

„Wiedeń 1 sierpnia 1829 r. [1]).

Najukochańsi Rodzice i siostry moje!

Szczęśliwie, wesoło, zdrowo, doskonale, nieledwie że wygodnie, stanęliśmy wczoraj w Wiedniu. Od Krakowa jechaliśmy *Separatwagenem* lepiej, aniżelibyśmy własnym mogli jechać powozem. Piękne okolice Galicyi aż do Bielska, później Szląska górnego i Morawii, tem przyjemniejszą podróż nam czyniły, że deszcz czasami tylko w nocy padający, oswobodził nas od niegodziwego kurzu.

Nim zacznę opisywać Wiedeń, powiem co się stało z Ojcowem. W niedzielę po obiedzie, nająwszy sobie wóz chłopski czterokonny krakowski za 4 talary, paradowaliśmy w nim jak najwyborniej. Minąwszy miasto i piękne okolice Krakowa, kazaliśmy naszemu woźnicy prosto jechać do Ojcowa, sądząc, iż tam mieszka p. Indyk, chłop, u którego zwykle wszyscy nocują, gdzie i panna Tańska nocowała także. Nieszczęście chciało, że pan Indyk mieszka o milę od Ojcowa, a nasz woźnica nieświadomy

[1]) Fryderyk roztrzepany jak zwykle, rzadko w którym liście podaje dokładną datę, czasem nawet z r. 1829 robi 1828 itp. Od podróży do Berlina, nie wiele się w tym względzie poprawił.

drogi, wjechał w Prądnik, rzeczkę, raczej przeźroczysty strumień i nie można było znaleźć innej drogi, bo na prawo i na lewo skały. Około godziny 9 wieczorem, spotkało nas tak koczujących i niewiedzących co czynić, jakichciś dwóch ludzi; ci ulitowawszy się nad nami, podjęli się przewodniczyć do pana Indyka. Musieliśmy iść piechotą dobre pół mili, po rosie, pośród mnóstwa skał i ostrych kamieni. Często rzeczkę po okrągłych belkach potrzeba było przechodzić i to wszystko w noc ciemną. Nareszcie po wielu trudach, kuksach i marudach, zaleźliśmy przecie do pana Indyka.

Nie spodziewał się tak późno gości. Dał nam pokoik pod skałą, w domku umyślnie dla turystów zbudowanym. Izabello!... Tam gdzie panna Tańska stała! [1]). Każdy więc z moich kolegów rozbiera się i suszy, przy ogniu rozniecanym na kominku przez poczciwą p. Indykową. Ja tylko usiadłszy w kąciku, mokry po kolana, medytuję czy się rozebrać i suszyć czy nie; aż tu widzę jak pani Indykowa zbliża się do pobliskiej komory po pościel. Tknięty zbawiennym duchem, idę za nią i spostrzegam mnóstwo wełnianych czapek krakowskich. Czapki

[1]) Wykrzyknik ten odnosi się do siostry jego Izabelli, zamężnej Barcińskiej.

te są podwójne, niby szlafmyce. Zdesperowany, kupuję jedną za złoty, rozrywam na dwoje, zdejmuję buty, obwijam nogi, a przywiązawszy dobrze sznurkami, tym sposobem oswobadzam się od niechybnego przeziębienia. Przybliżywszy się do kominka, napiłem się wina, naśmiałem z poczciwymi kolegami, a tymczasem pani Indykowa posłała nam na ziemi, gdzieśmy się wybornie przespali".

Dalej Fryderyk opisuje Ojców, Pieskową Skałę, groty Czarną i Królewską, w której niegdyś pod koniec XIII wieku, jak niesie ludowe podanie, król Łokietek ukrywał się przed nieprzyjaciołmi swymi. Fryderyk unosi się nad tem wszystkiem mówiąc w zachwyceniu: „że choćby dla niczego, to dla tej prawdziwej piękności Ojcowa, warto było zmoknąć". List ten zresztą zapełniony jest w końcu opisem wiedeńskiej galeryi obrazów, jaką naprędce zwiedził, tudzież innemi, mniej mogącemi zająć czytelników szczegółami.

Następujące zaś listy, podajemy w całej ich poufnej, a często naiwnej treści, tak jak były do rodziców pisane.

„Wiedeń 8 sierpnia 1829 r.

Zdrów jestem i wesół. Nie wiem co to jest, ale Niemcy mi się dziwią, a ja im się dziwię, że oni się mają czemu dziwić. Haslinger [1]) dzięki listowi pana Elsnera, nie wiedział gdzie mię posadzić. Kazał zaraz synowi grać przedemną, pokazywał co tylko miał we względzie muzycznym najciekawszego i przepraszał, iż żony przedstawić nie może, bo jej w domu niema. Z tem wszystkiem, jeszcze moich rzeczy nie drukował [2]). Nie pytałem go się o nie, ale pokazując mi najpiękniejszą swoją edycyę, oświadczył, że moje *Waryacye* podobnież za tydzień w *Odeonie* wyjdą. Anim się tego spodziewał.

Zachęca mię ażebym grał publicznie. Tutejsi mówią, że Wiedeń dużoby stracił, gdybym wyjechał nie dawszy się słyszeć. Są to wszystko dla mnie rzeczy niepojęte. Schuppanzigh, do którego miałem także listy, powiedział mi, że chociaż nie daje więcej zimowych kwartetów,

---

[1]) Haslinger właściciel magazynu nut i wydawca.

[2]) Jak sobie zapewne czytelnicy przypominają, Chopin posłał mu poprzednio do druku *Waryacye* „La ci darem la mano“ Op. 2 i *Sonatę* Op. 4.

jednakże będzie się starał urządzić choć jeden, w czasie mojej w Wiedniu bytności [1]).

U Hussarzewskich byłem raz; stary się entuzyazmował grą moją i na obiad prosił. Na obiedzie było dużo wiedeńczyków i jakby się z nimi zmówił, kazali mi wszyscy grać publicznie. Stein chciał mi natychmiast dać jeden z instrumentów swoich do domu, a potem na koncert, gdybym go dał. Graff, który jednakże lepszym od niego jest fabrykantem, powiedział mi to samo. Würfel utrzymuje [2]), iż ażeby pokazać coś nowego i narobić hałasu, koniecznie grać potrzeba. Tutejszy żurnalista p. Blahetka, którego poznałem u Haslingera, także mi każe występować. *Waryacye* im się strasznie podobają.

Hrabia Gallenberg poznał mię tamże; on zarządza teatrem, gdzie już kilka nędznych koncertów słyszałem. Haslinger utrzymuje, że dla kompozycyj moich lepiej będzie, jak je Wiedeń usłyszy, że gazety zaraz pochlebnie napiszą,

---

[1]) Schuppanzigh Ignacy, znakomity skrzypek, później dyrektor orkiestry w nadwornym teatrze, zmarł 1830 r. Jego wieczory kwartetowe, na których wykonywał ostatnie *Kwartety* Beethovena, wielkie miały powodzenie.

[2]) Würfel Wilhelm, Czech rodem, nauczyciel fortepianu przez jakiś czas w konserwatorym warszawskiem, od roku 1826 był w Wiedniu kapellmejstrem Kaerthnerthor'skiego teatru. Zmarł 1832 r.

za co wszyscy ręczą. Słowem kto mię usłyszy, każe grać, a Würfel jeszcze tę uwagę dodał, że kiedy już jestem raz w Wiedniu i rzeczy moje mają wyjść niebawem, ażebym koniecznie wystąpił, bo inaczej chyba umyślnie musiałbym przyjechać. Zaręcza, iż teraz pora najstosowniejsza, bo wiedeńczycy głodni są nowej muzyki. Nie godzi się młodemu artyście porzucać takiej sposobności. Zresztą, gdybym występował jako egzekutor tylko, mniejby to znaczyło, ale ukazuję się ze swojemi dziełami, więc śmiało mogę się odważyć itp. Chce on ażebym grał najprzód *Waryacye*, potem *Rondo z Krakowiaka*, dla uderzenia nowością, a na koniec ażebym improwizował. Czy przyjdzie do czego? jeszcze nie wiem.

Stein bardzo dla mnie grzeczny i przyjacielski, lecz na jego instrumencie grać bym nie mógł, prędzej na Graffa; za nim jest także Haslinger, Blahetka i Würfel. Dzisiaj się decyduję.

Gdzie się obrócę, klekocą mi wszyscy głowę, ażeby grać. Znajomości muzycznych mam już dosyć; Czernego tylko jeszcze nie znam, ale Haslinger obiecał mię z nim poznać.

Oper widziałem trzy: *Białą damę*, *Kopciuszka* i *Krzyżaka* Meyerbeera. Okiestra i chóry doskonałe. Dziś *Józef w Egipcie*.

W Akademii muzycznej słyszałem grającego dwa razy *solo* Maysedera [1]).

Miasto ładne, podoba mi się; namawiają mię, ażebym tu został na zimę.

W tej chwili nadszedł Würfel, idę z nim do Haslingera.

(P. S.)

Jużem się zdecydował. Blahetka powiada, że zrobię *furorę*, bom wirtuoz pierwszego kalibru; iż między Moscheleza, Herza, Kalkbrennera liczyć mię potrzeba. Würfel prezentował mię dziś hr. Gallenbergowi, kapellmejstrowi Seyfriedowi i każdemu kogo spotkał, jako młodzieńca, którego on namówił do dania koncertu, (*nota bene* bez żadnego honoraryum), co się bardzo hr. Gallenbergowi podobało, bo tu idzie o jego kieszeń. Gazeciarze wszyscy dużemi oczyma na mnie patrzą; członkowie orkiestry nisko się kłaniają, bo pan dyrektor opery włoskiej, której już niema, pod rękę się ze mną prowadzi. Istotnie Würfel wszystko mi ułatwił; sam będzie na próbie i szczerze się zajmuje mojem wystąpieniem. On i w Warszawie był dla mnie dobrym; Elsnera najmilej wspomina.

---

[1]) Mayseder Józef, jeden z najznakomitszych ówczesnych skrzypków.

Dziwią się tutaj, jak Kessler, Ernemann i Czapek, mogą siedzieć w Warszawie, kiedy ja tam jestem. Ale ja im tłomaczę, że *bloss aus Musikliebe* gram i że lekcyj nie daję. Wybrałem na koncert instrument Graffa; obawiam się Steinowi przez to uchybić, lecz mu pięknie za jego grzeczność podziękuję.

Mam nadzieję, że mi Pan Bóg dopomoże, — bądźcie spokojni!

Środa 12 sierpnia 1829 r.

Z przeszłego listu wiadomo wam najukochańsi rodzice, że się dałem namówić na danie koncertu; wczoraj więc, to jest we wtorek wieczorem o godzinie 7, na teatrze cesarsko-królewskim opery, na świat wystąpiłem!

To wczorajsze wystąpienie w teatrze, nazywają tu „*eine Musikalische Akademie*“. Ponieważ nie miałem nic z tego i nie starałem się mieć, więc hr. Gallenberg przyspieszył owe wystąpienie, ułożywszy porządek następujący:

Uwertura Beethovena,
Moje *Waryacye*,
Śpiew panny Veltheim [1]),
Moje *Rondo*.

[1]) Panna Veltheim Karolina, nadworna śpiewaczka króla saskiego, pomiędzy r. 1821 a 1840 uchodziła za znamienitą śpiewaczkę koloraturową; była przytem bardzo muzykalną i grała pięknie na fortepianie.

I znów śpiew, poczem mały balet dla zapełnienia wieczoru.

Na próbie orkiestra tak źle akompaniowała, że *Rondo* przemieniłem na *Freie Phantasie* [1]). Skorom się na scenie pokazał, dostałem brawo; po odegraniu każdej waryacyi takie były oklaski, żem nie słyszał *tutti* orkiestry. Po skończeniu tyle klaskano, iż musiałem drugi raz wyjść i ukłonić się. *Freie Phantasie*, lubo nie tak szczególniej mi się udała, jednakże silniej jeszcze bito brawo i znów potrzeba było ukazać się na scenie. Lepiej na niej wyszedłem, dla tego, że Niemcy umieją to cenić. Myśl powziętą w sobotę, Würfel we wtorek do skutku doprowadził, jemu też wiele winien jestem.

W sobotę poznałem Gyrowetza, Lachnera, Kreutzera, Seyfrieda [2]); z Maysederem długo rozprawiałem. Stojąc przed teatrem, widzę hr. Gallenberga; przybliża się on do mnie i proponuje, ażeby grać we wtorek; przystałem na to i nie wygwizdali mię! Jak przyjadę, opo-

[1]) Na improwizacyę.

[2]) Gyrowetz fortepianista i kompozytor. Lachner, Kreutzer Konrad, cenieni bardzo w Wiedniu dyrektorowie i kompozytorowie oper.

wiem wszystko lepiej, niżbym napisać potrafił. Bądźcie spokojni o moją osobę i o moją sławę.

Dziennikarze polubili mię; może przypną łatkę, ale to potrzeba dla odcieniowania pochwały. Gallenbergowi podobały się moje kompozycye. Teatralny reżyser p. Demar, nadzwyczaj dla mnie grzeczny i dobry. Przed wejściem na scenę tyle mię ośmielił swemi zapewnieniami, tyle umysłowi mojemu roztargnienia sprawił, że strachu wielkiego nie miałem, zwłaszcza, że nie było pełno w sali.

Przyjaciele moi i koledzy, rozstawili się po kątach dla słuchania rozmaitych zdań i krytyk. Celiński może powiedzieć, jak mało nagan słyszano; tylko Hube największą słyszał. Jakaś dama powiedziała: „*Schade um den Jungen, dass er so wenig Tournüre hat.*“ Jeżeli taką tylko dano mi naganę, a przysięgają się, że same jedynie pochwały słyszeli i że nigdy brawa nie zaczynali, więc się nie mam czego turbować.

Improwizowałem na temat *Białej damy;* na prośbę zaś reżysera, któremu się moje *Rondo* na próbie nadzwyczaj podobało, tak, że wczoraj po koncercie ścisnąwszy mię mocno za rękę, powiedział: „*ja das Rondo muss hier gespielt werden,*“ ażebym wziął jeszcze polski temat, wybrałem *Chmiela*, co zelektryzowało publiczność, nie przyzwyczajoną do takich pieśni. Moje parterowe szpiegi zaręczają, że aż skakano na ławkach.

Wertheim przypadkiem wczoraj z żoną z Karlsbadu przyjechawszy, poszedł zaraz na teatr, ale nie mógł się zoryentować, że to ja grałem; był już dzisiaj u mnie z powinszowaniem. Widział się w Karlsbadzie z Hummlem; powiada, że Hummel wspominał mu o mnie i że dziś do niego napisze, donosząc o mojem wystąpieniu.

Haslinger drukuje; afisz koncertu schowany.

Powszechny jednakże głos jest, iż za słabo grałem, a raczej za delikatnie, dla przyzwyczajonych do tłuczenia fortepianów tutejszych artystów. Spodziewam się tego zarzutu w dzienniku, zwłaszcza, że córka redaktora, wali strasznie po instrumencie. Nic nie szkodzi; bo przecie nie można nie mieć żadnego *ale*, a wolę takie, aniżeli gdyby powiedziano, że gram za mocno.

Przyszedł wczoraj na scenę hr. Dietrichstein, osoba bliska cesarza; mówił ze mną dużo po francusku; chwalił i zachęcał, żeby dłużej w Wiedniu zostać. Orkiestra piorunowała na moje źle pisane nuty i krzywiła się aż do improwizacyi, po której biła także brawo wśród

oklasków i okrzyków całej publiczności. Widzę, że ją mam za sobą, o innych artystach jeszcze nic nie wiem; nie powinni być nieprzyjaźni, bo wiedzą, że nie dla korzyści materyalnych grałem.

Pierwsze więc moje wystąpienie, o ile było niespodziane, o tyle szczęśliwe. Hube powiada, że człowiek nigdy zwyczajną drogą i podług ułożonego przez siebie planu, nie dojdzie do niczego, potrzeba coś losowi zostawić. Tak też na los szczęścia dałem się na koncert namówić. Jeżeli w gazetach mię tak wychłoszczą, że nie będę mógł się więcej światu pokazać, zdecydowałem się malować pokoje, bo pędzlem przez papierek najłatwiej ciągnąć, a zawsze się jest synkiem Apollina.

Ciekawym co na to wszystko powie pan Elsner; może mu się niepodoba żem grał? Ale tak mię odurzyli, żem się nie mógł wymówić. Zdaje mi się zresztą, iż nic złego nie zrobiłem. Nidecki wczoraj szczególniej, bardzo wiele okazywał mi przyjaźni [1]); przeglądał, poprawiał głosy orkiestrowe i szczerze się cieszył z oklasków.

[1]) Nidecki Tomasz, jeden z najlepszych uczniów konserwatoryum warszawskiego, wysłany był 1822 r. kosztem rządu do Wiednia, dla dalszego w muzyce kształcenia. Następnie zajmował miejsce kapellmistrza w Leopoldsztadzkim teatrze, od roku zaś 1841, przeniósł się do Warszawy dla objęcia takiej samej posady przy teatrach rządowych. Zmarł 1852 roku.

Grałem na instrumencie Graffa.

Dziś mędrszy i doświadczeńszy jestem o jakie 4 lata.

Ah! Dziwiliście się pewno, żem przeszły list *Maderą* przypieczętował; lecz tak byłem roztargniony, iż wziąłem pierwszą lepszą pieczątkę kelnera co leżała pod ręką i prędko list zapieczętowałem.

Czwartek 13 sierpnia.

Jeżeli kiedy, to teraz radbym żebyśmy razem byli. Dziś poznałem hr. Lichnowskiego; nie mógł mię dosyć nachwalić, Würfel mię do niego zaprowadził. Jest-to ten sam, co był największym przyjacielem Beethovena. Głos powszechny utrzymuje, żem się noblessie tutejszej podobał. Schwarzenbergowie, Wrbny itp. nadzwyczaj chwalili delikatność i elegancyę gry mojej; dowodem tego hr. Dietrichstein co był u mnie na scenie. Pani Lichnowska z córką, u których byłem dzisiaj na herbacie, cieszy się nieskończenie, iż w przyszły wtorek dam drugi

koncert. Powiedziała mi ona, że gdy będę przez Wiedeń do Paryża jechać, ażebym nie zapomniał być u nich, a dadzą mi list do jakiejś comtessy, siostry samego Lichnowskiego. Wiele grzeczności.

Czerny dużo mi komplimentów nagadał, Schuppanzigh i Gyrowetz także.

Dziś w *Antiken* gabinecie, widzi mię jakiś Niemiec; gdym słowo przemówił, pyta się Celińskiego czy to Chopin? i z wielkiemi sussami przypada do mnie, cieszy się, że ma przyjemność poznać bliżej takiego *Künstlera*, mówiąc: „*Sie haben mich vorgestern wahrhaft entzückt und begeistert.*“ Był-to ten sam, co obok Maciejowskiego siedząc, strasznie się *Chmielem* cieszył.

Już trzeciego koncertu nie dam i drugiego nie grałbym nawet, gdyby nie to, że koniecznie chcieli, a potem przyszło mi na myśl, iż w Warszawie mogliby powiedzieć: „Cóż tam, jeden koncert dał i wyjechał, może się źle wydał.“ Obiecują mi dobrą recenzyę. Byłem dziś u żurnalisty; podobałem mu się na szczęście.

Nie piszę ile Würfel dla mnie dobry, bo tego opisać nie można.

I drugi raz gram darmo, a to dla ujęcia sobie pana hrabiego, któremu chudo w kieszeni

(ale to w sekrecie). Mam grać *Rondo* i improwizować.

Jestem zresztą zdrów i wesół, jem i piję dobrze. Wiedeń mi się podoba i Polaków w nim dosyć; w balecie nawet jest jeden, który podczas mego wystąpienia tyle się o mnie troszczył, że mi sam wodę z cukrem przynosił, dodawał serca itp.

Panu Elsnerowi proszę to wszystko opowiedzieć i przeprosić go, że nie piszę, ale tak jestem rozerwany, że nie wiem gdzie mi się godziny podziewają.

Panu Skarbkowi co mię głównie namawiał na danie koncertu, dziękuję, bo to już wstęp na świat.

Dnia 19 sierpnia 1829 r.

Jeżeli pierwszą razą zostałem dobrze przyjęty, to wczoraj jeszcze lepiej. Trzy razy brawo się wznawiało, gdym się ukazał na scenie; publiczność liczniej się zgromadziła. Baron .... nie wiem już jak się nazywa, teatralny finansista, dziękował mi za *recetę*, mówiąc: „iż jeżeli zebrano się tak licznie, to z pewnością nie dla baletu, który wszyscy dobrze znają.“ Mojem *Rondem* ująłem sobie wszystkich z professyi muzyków. Zacząwszy od kapellmejstra Lach-

nera, aż do stroiciela fortepianów, dziwią się piękności kompozycyi. Wiem, iż podobałem się damom i artystom. Gyrowetz stojący blisko Celińskiego, krzyczał i bił brawo. Tylko zakamieniałym Niemcom nie wiem czylim dogodził. Wczoraj jeden z nich wraca z teatru, a już siedziałem przy kolacyi; więc pytają go drudzy jak się bawił? „Piękny balet,“ odpowiedział. „Ale akademia?“ Widać, że mię poznał, chociaż byłem do niego tyłem obrócony, gdyż o czem innem zaczął mówić. Czułem się w powinności nie przeszkadzania mu w wylaniu uczuć i poszedłem spać, mówiąc sobie:

„Jeszcze się ten nie urodził,
Coby wszystkim dogodził!“

Dwa razy grałem, drugim razem jeszcze lepiej zostałem przyjęty; idzie to *crescendo*, a zatem tak jak ja lubię.

Ponieważ dziś wieczorem o 9 wyjeżdżam, więc muszę rano wizyty pooddawać. Wczoraj Schuppanzigh wspominał, że kiedy tak prędko Wiedeń opuszczam, to powinienem wkrótce wrócić. Odpowiedziałem, że przyjadę się uczyć; na to ów baron wtrącił: „iż w takim razie nie mam po co przyjeżdżać“ — a co zostało innemi głosami potwierdzone. Są to komplimenta, ale pocieszające. Nikt mię tu za ucznia brać

nie chce. Blahetka powiedział, iż się niczemu tyle nie dziwi, jak że ja się w Warszawie tego nauczyłem. Odpowiedziałem, iż z p. Żywnym i Elsnerem, największy osioł by się nauczył. Przykro mi, że jeszcze żadnym dziennikiem zaświadczyć się nie mogę; wiem, iż recenzya w redakcyi tego pisma które zaprenumerowałem, a które już do Warszawy odsyłać będzie pan Bäuerle redaktor, leży napisana [1]). Nie wiem, może czekali drugiego wystąpienia. Wychodzi ono dwa razy na tydzień: we wtorek i sobotę; może też wprzód odemnie coś pomyślnego albo niepomyślnego na moją stronę czytać będziecie.

Uczonych i czułych ująłem. Będzie o czem gadać.

Chciałem co innego napisać, — ale tak mi w głowie wczorajszy dzień siedzi, że nie mogę myśli zebrać do kupy...

Moje finanse dotychczas dobrze stoją.

---

[1]) Od roku 1828 do 1848, Bäuerle Adolf wydawał w Wiedniu gazetę pod tytułem: „Wiener Theaterzeitung“. Był-to ostry i surowy krytyk, artyści obawiali się jego pióra. Bäuerle jest także autorem wielu sztuk dramatycznych, pomiędzy innemi jego *„Fałszywa Catalani,“* cieszyła się nadzwyczajnem na wszystkich scenach powodzeniem.

Byłem teraz właśnie u Schuppanzigha i Czernego z pożegnaniem. Czerny czulszy aniżeli wszystkie jego kompozycye.

Zapakowałem już mój tłomoczek, jeszcze tylko muszę się udać do Haslingera, a ztamtąd do kawiarni naprzeciw teatru, gdzie Gyrowetza, Lachnera, Kreutzera, Seyfrieda itp. zastanę.

Za dwie noce i jeden dzień, będziemy w Pradze; o 9tej wieczorem siadamy do *eilwagenu*; śliczny będzie wojaż, śliczna kompania.

Praga, sobota 22 sierpnia 1829 r,

Po czułych w Wiedniu pożegnaniach, istotnie że czułe, bo mi panna Blahetka dała swoją kompozycyę z własnoręcznym podpisem na pamiątkę [1]), a ojciec jej, kazał mi uściskać papę, mamę i powinszować takiego syna. Młody Stein płakał, Schuppanzigh, Gyrowetz, słowem wszyscy artyści najczulej mię żegnali.

Po takich więc historyach i obietnicy, że wrócę, wsiadłem do *eilwagenu*. Odprowadzał nas

[1]) Blahetka Leopoldina ur. w Wiedniu 15 listopada 1811 roku, uczennica Czernego i Moschelesa, uchodziła w swoim czasie za wyborną fortepianistkę; mnóstwo też koncertów dawała w Niemczech, doznając wszędzie powodzenia.

Nidecki i jeszcze dwóch Polaków, półgodziną później do Tryestu odjeżdżających. Bawili oni kilka dni w Wiedniu i często się z nami widywali. Jeden z nich, nazywa się Niegolewski z Wielkopolski, młody chłopiec, jadący do wód z guwernerem, a raczej towarzyszem podróży Kopytowskim, akademikiem warszawskim. Pani Hussarzewska, u której byłem na pożegnaniu (poczciwi i godni oboje), chciała mię zatrzymać na obiedzie, ale nie miałem czasu, trzeba było lecieć do Haslingera. Ten także po czułych życzeniach powrotu i uczynieniu *serio* obietnicy, że moje *Waryacye* wyjdą dopiero za pięć tygodni, ażeby na jesień świat niemi zarzucić, poleca się papie i kłania, choć znać nie ma przyjemności.

Wsiadamy do *eilwagenu;* jakiś młody Niemiec z nami. Ponieważ dwie noce i dzień mieliśmy siedzieć koło siebie, więc zabieramy znajomość. Jest-to kupiec z Gdańska, znający Pruszaków, Sierakowskiego z Waplewa, Jawurka, Ernemanna, Gresserów i t. p. Przed dwoma laty był w Warszawie, nazywa się Normann. Mieliśmy z niego doskonałego towarzysza podróży; wracał właśnie z Paryża. Stajemy w jednym hotelu i postanowiliśmy razem, zwiedziwszy Pragę, puścić się do Teplitz i Drezna. Dziecińsktwem byłoby nie korzystać ze

sposobności widzenia Drezna, zwłaszcza, że finanse pozwalają, a w czterech wygodna i tania podróż.

Po wielkich kuksach i kołataniach w *eilwagenie*, wczoraj o 12tej w południe stanęliśmy w Pradze, więc zaraz do *table d'hote*. Po obiedzie, udaliśmy się do Hanki, do którego pan Hube dał Maciejowskiemu list polecający. Żałowałem, że mi nie przyszło na myśl pisać do p. Skarbka, prosząc o list polecający do tego znakomitego uczonego. Zabawiwszy się w katedralnym kościele na zamku, nie zastaliśmy Hanki w domu. W ogóle miasto piękne, jak z zamkowej góry widać; wielkie, stare i niegdyś zamożne. Dostałem sześć listów z Wiednia przed samym wyjazdem, pięć od Würfla, jeden od Blahetki do Pixisa [1]), żeby mi konserwatoryum pokazał. Chcieli też bym tu wystąpił, ale trzy dni tylko zabawię; zresztą, nie mam ochoty popsuć tego, com sobie w Wiedniu pozyskał, (bo i Paganiniego tutaj wywecowali),— dam więc pokój. Te pięć listów od Würfla, są do dyrektora i kapellmejstra teatru, do pierwszych tutejszych muzycznych figur. Oddam je,

---

1) Pixis Fryderyk Wilhelm, urodzony w Mannheimie 1786 r., sławny skrzypek, następnie dyrektor konserwatoryum w Pradze, zmarł tamże 1842 r.

gdyż mię o to usilnie prosił, ale grać nie myślę. Poczciwy Würfel, dał mi także list do Klengla w Dreznie.

Kończę pisać, bo czas pójść do Hanki; zarekomenduję mu się jako chrzestny syn Skarbka, spodziewam się, że nie będzie potrzeba listu.

Drezno 26 sierpnia 1829 r.

Zdrów jestem i wesoluteńki. Dziś tydzień jak w Wiedniu nie wiedziałem jeszcze, iż będę w Dreznie. Piorunem lecz nie bez korzyści zwiedziliśmy Pragę. Hanka ucieszył się, żem mu dał wiadomość o panu Skarbku. Musieliśmy się w jego książkę, poświęconą odwiedzającym Muzeum pragskie, a szczególne jego względy mającym, wpisać. Jest tam już Brodziński, Morawski i t. p. Każdy więc z nas ruszył konceptem; jeden wierszem, drugi prozą. Szwejkowski wpisał perorę. Co tu muzykantowi zrobić? Na szczęście, Maciejowskiemu przyszła myśl zrobienia czterech strof mazurka; dorobiłem muzykę i wpisałem się wraz z moim poetą jak tylko można najoryginalniej. Hanka się ucieszył, był to bowiem *Mazur* do niego, do jego zasług na polu słowiańszczyzny wy-

stosowany. Dał mi dokompletowanie widoków pragskich dla pana Skarbka [1]).

[1]) W czasopiśmie czeskiem *Dalibor* nr. 6 za rok 1879, dr. O. Hostiński w artykule o *Chopinie w Pradze* podaje nutę *Mazurka*, oto jego brzmienie:

Mazur.

Ja-kież kwia ty, ja—kie wian-ki splo-tę na cześć Han—ki,

Co brat-nie-go lu—du pieś-ni za—po-mnie-nia wy-darł pleś-ni

Co brat-nie—go lu—du pieś-ni za—po mnie-nia wy-darł pleś—ni.

Oto śpiewkę polskich błoni,
Przyjmie z naszej dłoni.
Bo to znane jest przed światem,
Że Czech z dawna Lecha bratem.

Gdy się Czechów dziecię ziębi,
Gdy ich obcy gnębi,
Blaskiem zysków się nie łudzisz,
I zwątpiały naród budzisz.

Przyjm więc mężu czułe dzięki,
Z uściśnieniem ręki.
Niech cię uczci w Czeskiej ziemie,
Nadwiślańskich słowian plemie.

W Pradze d. 23 sierpnia 1829 Ignacy Maciejowski.

Nie będę się rozpisywać gdzie nas wodził, po jakich ślicznych widokach; braknie mi miejsca na opisywanie wspaniałego katedralnego kościoła ze srebrnym św. Janem Nepomucenem, pięknej kaplicy Wacława, wykładanej ametystami i innemi drogiemi kamieniami . . . jak przyjadę to opowiem.

Listy do Pixisa od Blahetki i Würfla, zjednały mi jak najgrzeczniejsze przyjęcie. Pixis porzucił lekcye, zatrzymał mię u siebie i wypytywał o wiele rzeczy. Spojrzawszy na biórko, widzę bilet wizytowy Klengla; pytam czy może imiennik tego sławnego drezdeńczyka jest w Pradze? Odpowiedział, że sam Klengel dopiero co przyjechał i nie zastawszy go w domu, zostawił bilet. Ucieszyłem się, bom miał list do niego z Wiednia, o czem gdym wspomniał Pixisowi, prosił na poobiedzie do siebie, bo to była godzina, którą mu Klengel dla widzenia wyznaczył. Jakoś razem zeszliśmy się na schodach Pixisowych. Słyszałem go grającego swoje *Fugi* ze dwie godziny. Ja nie grałem, bo mię nie proszono. Ładnie gra, lecz jabym pragnął lepszego (cicho) [1]).

[1]) Klengel August Aleksander ur. w Dreznie 29 stycznia 1783 roku, mając lat 12 wieku, słynął już w Niemczech jako niepospolity na fortepianie wirtuoz. W roku 1816 został mianowany pierwszym organistą przy kate-

Klengel dał mi list: „*All Ornatissimo Signor Signor Cavaliere Morlaechi, primo maestro della Capella Reale*,“ w którym jak mi powiedział, prosi go, żeby mi pokazał całe *Wesen* muzyczne w Dreznie i zaprowadził do panny Pechwell, jego uczennicy, najpierwszej według jego przekonania tamtejszej fortepianistki. Czuły był bardzo; przed wyjazdem bawiłem u niego ze dwie godziny. Jedzie do Wiednia i Włoch, mieliśmy o czem mówić.

Sliczna znajomość, cenię ją więcej nad Czernego biedaka (cicho!).

W Pradze bawiliśmy wszystkiego trzy dni. Anim się obejrzał jak czas zleciał. Mam zawsze jakieś zajęcia i dlatego w wigilię wyjazdu, wychodzę z gabinetu, nie zapięty wpadam do innej stancyi i dopiero na środku, wesoły jakiś wojażer powiada mi ze zdziwieniem: „*Guten Morgen! — Bitte um Verzeihung!*“ i drapnąłem w nogi. Stancye bowiem były bardzo do siebie podobne.

Wyjechawszy z Drezna *separatwagenem* o 12 w południe, wieczorem przybyliśmy do Teplitz.

Nazajutrz w *Badeliste*, znalazłem nazwisko Ludwika Łempickiego, poszedłem zaraz powie-

---

dralnym kościele w Dreznie. Jako kontrapunkcista, nie miał równego sobie rywala. Zmarł 22 listopada 1852 r.

dzieć mu dzień dobry; ucieszył się i powiedział, że jest tu wielu Polaków, pomiędzy innymi Pruszak stary, Koehler Józef i Kretkowski z Kamionny. Jadają razem „*im deutschen Saale*,“ lecz że on dzisiaj nie będzie na obiedzie, gdyż proszonym jest do zamku, do księstwa Clary. Jest-to znaczna, prawie udzielna familia, ogromne dobra i samo miasto Teplitz posiadająca. Księżna Clary jest siostrą Chotek'a, namiestnika czeskiego. Prosił mię Łempecki, ażebym mu zrobił przyjemność i udał się z nim na wieczór do księstwa, że on tam jest jak w domu i że przy obiedzie wspomni o tem. Ponieważ ten dzień poświęciliśmy na zwiedzenie okolic, więc przystałem.

Chodziliśmy wszędzie, byliśmy także w Dux, w pałacu Walensteinów; jest tam kawałek czaszki tego wielkiego wodza, hallebarda którą był zabity i wiele innych pamiątek. Wieczorem zamiast pójść do teatru, ubrałem się, wdziałem białe rękawiczki z ostatniego w Wiedniu wystąpienia i o wpół do dziewiątej z Łempickim udałem się do księztwa.

Wchodzimy: „*kleine aber honette Compagnie.*“ Jakiś książe austryacki, jakiś generał, którego nazwiska zapomniałem, jakiś angielski okrętowy kapitan, kilku młodych elegantów podobno także książąt austryackich i jeden

generał saski, nazwiskiem Leiser, strasznie orderowy i z kresą na twarzy.

Po herbacie, przed którą dużo z samym ks. Clary rozmawiałem, matka jego prosiła mię, ażebym „raczył“ usiąść do fortepianu, (fortepian dobry Graffa). „Raczyłem“ ale z mojej strony, prosiłem także, ażeby „raczyli“ dać mi temat do improwizacyi.

Zaraz tedy pomiędzy płcią żeńską obsiadłą koło dużego stołu i haftującą, strykującą, dziergającą, gruchnęło „un théme, un théme.“ Trzy nadobne księżniczki zmawiały się, aż jedna odwoławszy się do pana Fritsche (ilem zauważał guwernera młodego Clary), a ten za powszechną zgodą, dał mi temat z *Mojżesza* Rossiniego [1]).

Improwizowałem — i jakoś tak szczęśliwie, że generał Lejser długo potem ze mną rozmawiał, a dowiedziawszy się, że jadę do Drezna, natychmiast napisał do barona von Friesen list następujący:

„Monsieur Frédéric Chopin est recommandé de la part du Général Leiser à Monsieur le Baron de Friesen, Maître de Cérémonie de S. M. le Roi de Saxe, pour lui être utile pendant son séjour à Dresde, et de lui procurer la connaissance de plusieurs de nos premiers artistes.“ Pod spodem po niemiecku: „Herr Chopin ist selbst einer der vorzüglichsten Pianospieler, die ich bis jetzt kenne.“ Wypis słowo w słowo z biletu generała Leisera, ołówkiem pisanego i nie zapieczętowanego.

[1]) Fritsche był autorem kilku udatnych komedyi, grywanych niegdyś z powodzeniem w Wiedniu, Pradze i Dreznie.

Grałem tego wieczora cztery razy, a księżniczki chciały, ażebym jeszcze został w Teplitzach i nazajutrz był u nich na obiedzie. Łempicki nawet podejmował się zabrać mię z sobą do Warszawy, bylebym dłużej zabawił. Lecz nie chcąc opuszczać kolegów, z wielkiem podziękowaniem odmówiłem.

Wczoraj więc o 5tej rano, najętym za dwa talary furmanem wyruszywszy z Teplitz, przybyliśmy do Drezna o 4tej po południu. Spotkałem zaraz Lewińskiego i Łabęckich.

Bardzo mi się podróż szykuje; dziś *Faust* Goethego, a w sobotę jak mi Klengel mówił, opera włoska.

Wczoraj wieczorem list zaczęty, dziś rano kończę.

Ubieram się, idę do barona Friesego i Morlacchiego, bo nie mam czasu do stracenia. Za tydzień myślimy ztąd wyruszyć, wprzód jednak zwiedzimy Szwajcaryę saską jeżeli pogoda posłuży. Zabawiwszy w Wrocławiu dni parę, do-

piero ztamtąd do domu. Tak mi się spieszy do Was najukochańsi Rodzice, żebym nie chciał do pp. Wiesiołowskich wstępować. Dopiero opowiem historyę, awantury, ale ładne, ładne.

(P. S.).

„Maître de Cérémonie“ baron de Friesen, przyjął mię grzecznie, pytał się gdzie stoję; oświadczył, iż żałuje, że szambelana mającego zwierzchność nad kapelą niema teraz w Dreznie, ale że się dowie kto go zastępuje i że jakkolwiek mój pobyt krótki w tem mieście, jednak dołoży wszelkich starań, aby mógł mi się choć w czemkolwiek przysłużyć. Ceremonij, ukłonów pełno. Resztę chowam do listu, który najprędzej za tydzień albo za półtora z Wrocławia napiszę [1].

Widziałem tutejszą galeryę obrazów, wystawę płodów, znaczniejsze ogrody, pooddawałem wizyty, a teraz idę na teatr; spodziewam się, że dosyć na jeden dzień!

(P. S. drugie).

Mój list doczekał się późnej nocy; — wracam z *Fausta*. Od wpół do 5tej stać trzeba

[1]) Nie napisał go; widocznie spieszył do domu, woląc wszystko ustnie swoim opowiedzieć.

było przed teatrem: widowisko trwało od 6tej do 11tej. Devrient [1]), któregom już widział w Berlinie, grał Fausta. Dzisiaj właśnie obchodzono tu ośmdziesiątą rocznicę życia Goethego. Okropna, ale wielka fantazya. W czasie antraktów grano wyjątki z opery tego imienia Spohra [2])... Idę spać... Jutro rano czekam na Morlacchiego, z nim pójdę do panny Pechwell. Nie ja do niego, lecz on do mnie przychodzi! Ha, ha, ha!... Dobrej nocy!

Wasz Fryderyk.“

[1]) Devrient Karol grający główną rolę, był synowcem wielkiego Ludwika Devrienta i najstarszym z trzech sławnych braci artystów dramatycznych niemieckich.

[2]) W dniu tym grano dopiero pierwszy raz *Fausta* Iszą część w Dreznie na nadwornym teatrze. Ludwik Tieck przerobił go i skrócił na scenę.

ROZDZIAŁ VI.

Wpływ ostatniej podróży na Chopina. — Listy do Tytusa Woyciechowskiego. — Pożegnalne koncerta. — Chopin opuszcza kraj.

Z listów powyższych widzimy, jak szczęśliwym był Fryderyk z tej swojej kilko-tygodniowej za granicę wycieczki. Dwukrotne wystąpienie publiczne z koncertami w Wiedniu, w tej siedzibie Haydnów, Mozartów, Beethovenów, napawa go radością, bo nareszcie przekonał się, że na prawdę coś umie, że posiada rzeczywisty talent, który pomyślną przyszłość w dziedzinie sztuki zapewnić mu może. Listy te różnią się już znacznie od poprzednich, przed rokiem z Berlina pisywanych; widać w nich większą dojrzałość sądu, poważniejszy pogląd na ludzi, o karykaturach nic nie wspomina, lubo mu zapewne wzorów do nich nie brako-

wało. Zresztą Fryderyk poznaje się z ludźmi znakomitymi, dziwi się: „że oni się jemu dziwią“ — ale rozprawia z nimi o sztuce, zdumiewa ich talentem swoim. „Tutejsi mówią“ — pisze w jednym z listów — „że Wiedeń dużoby stracił, gdybym wyjechał nie dawszy się słyszeć. Są to wszystko dla mnie rzeczy niepojęte!“ Każdy z tych listów zaczyna pisać drobnym, czytelnym i wprawnym charakterem; ku końcowi zwykle się niecierpliwi, litery przybierają większe rozmiary, nareszcie zaczętego wyrazu nie może już dokończyć, spieszy się widocznie. Polszczyzna w nich wyborna, jędrna, zwroty swobodne, naturalne, a dziwnie czasem niespodzianej humorystycznej oryginalności. Już to dobry humor na chwilę Fryderyka nie odstępuje. W jednym na małej ćwiartce liście, przysłanym przez osobę wcześniej od niego do Warszawy wracającą, taki położył adres: „Wielmożnemu Imć Państwu Chopinostwu, Profesorstwu w Warszawie, a memu kochanemu Rodzicielstwu na ten raz w Dreznie bawiącego syna.“ Oprócz zwykle umieszczonych na końcu każdego listu słów: „całuje rączki i nóżki najukochańszych Papy i Mamy“ lub coś podobnego, często dodaje: „Dzieciom (siostrom) buzi, buzi!“ albo: „Dzieci całować póki dziur nie będzie!“ Dla Żywnego, Elsnera, bliższych

przyjaciół i kolegów, nie zapomina nigdy prosić o przesłanie swoich ukłonów.

Weszło to już w zwyczaj, że kiedy mowa o Chopinie, rozwodzić się o jego wątłej, delikatnej, zdenerwowanej, chorobliwej postaci, aż do zbytku, aż do przesady. Ci co go osobiście nie znali za młodu, gdy piszą o nim, mają sobie za obowiązek objaśniać, iż to była istota dla której „życie było cierpieniem, cierpienie życiem“ — skazana skutkiem nieuleczonej choroby, lada chwila na śmierć przedwczesną itp.“ Liszt w wzmiankowanem już dziele swojem, tak z tego powodu charakteryzuje Chopina, jako młodzieńca mniej więcej piętnastoletniego: „Było coś w nim raczej na podobieństwo owych idealnych wytworów, któremi legendowa poezya średniowieczna lubiła przyozdabiać gotyckie świątyń przedsionki. Niby anioł, wysmukłych w sobie a przeczystych olimpijskich kształtów, z pięknem zasmuconej kobiety obliczem, na którem grał jednocześnie wyraz tkliwy i surowy, dziewiczy i namiętny [1]).

Był przekonany, że lada dzień żyć przestanie — w tej też myśli całem sercem przyjmując troskliwość przyjaciela (?), starannie je-

---

[1]) **Wyjątki z dzieła Liszta, podajemy w tłomaczeniu Felicyana Faleńskiego.**

dnak przed nim ukrywał: jak dalece, zdaniem swojem, czas już niedługi korzystać z niej będzie. W tym względzie powierzchownie zdawał się nawet wielką mieć odwagę i jak bądź przekonania o bliskiej śmierci młodzieńczą nie zbywał niedbałością, niemniej z pewną gorzką rozkoszą spełnienia swych przewidzeń czekał (?!).“

Są to wszystko czułe, poetycznie brzmiące frazesy, ale frazesy tylko, mianowicie w owej epoce życia Chopina najzupełniej niezgodne z prawdą. Ani on wyglądał: „*niby anioł wysmukłych w sobie przeczystych olimpijskich kształtów z pięknem zasmucouej kobiety obliczem*, — ani *był przekonanym, że lada dzień żyć przestanie*. Owszem przeciwnie: jak czytelnicy sami z własnoręcznych listów jego dopiero co przekonać się mogli, Fryderyk jak najzwyczajniejszy ze śmiertelników, miał się wciąż dobrze, był zawsze wesół, biegał za wizytami, oglądał co było ciekawego do widzenia, w ciągu zaś jednego tygodnia grał dwa koncerta publicznie i t. p. Zaiste, potrzeba młodości i niepospolitego zdrowia, ażeby tak jak on naprzykład, w ciągu jednego dnia w Dreznie, zwiedzić galeryę obrazów, wystawę płodów i przemysłu, oglądać znaczniejsze ogrody, oddawać wizyty, od wpół do 5tej po południu stać pod kasą teatru, ażeby dostać bilet na *Fausta*, który się

zaczynał o 6tej a trwał do 11tej, w dodatku wróciwszy do hotelu, zamiast pójść spać, kończyć jeszcze list do rodziców! Był on zawsze delikatnej budowy ciała, to prawda, lecz zdrów i dosyć silny, aby nawet trudy ówczesnych dyliżansowych podróży znosić bez wielkiego zmęczenia. Choroba dopiero w dziesięć lat później, skutkiem nieoględnego i wyczerpującego fizyczne siły w Paryżu życia, zagrażać mu poczęła. Zresztą, czyż rodzice byliby pozwalali na przejażdżki za granicę, gdyby ich ukochany jedynak był chorowitym albo cierpiącym; czyliżby się mogli tak łatwo zdecydować na wysłanie go na wielką, mającą trwać najmniej dwa lata podróż artystyczną, jak to niebawem miało nastąpić? Jeżeli w ostatnich latach życia, ulegał wycieńczeniu sił fizycznych skutkiem rozwinięcia choroby co go do grobu wpędzić miała, w młodości przeciwnie, cieszył się stale dobrem zdrowiem. W ciągu lat wielu, raz tylko przez tydzień chorował i to z zaziębienia, jak nas osobiście Wilhelm Kolberg, współtowarzysz zabaw dziecinnych, a następnie kolega szkolny Fryderyka i mieszkający z nim w jednym domu, zapewniał. Wprawdzie jako jedynak pieszczonym był przez matkę i siostry; nieustannie wołano na niego, aby się szanował, aby starannie okrywał, gdy wychodził w chłodną porę

roku na ulicę. On sam śmiał się nieraz z tej zbytniej o jego zdrowie troskliwości, ale posłuszny był matce, spełniał jej życzenia. Miewał on chwile, w których stawał się więcej zamyślonym, zamkniętym w sobie, unikającym rozmowy, rozrywek; lecz to bywało wtedy, gdy umysł zajęty nową jaką kompozycyą, gdy tworzył dzieło muzyczne. Zresztą lubił wesołe zabawy i chętnie także innym do zabaw dopomagał. Zdarzało się, że gdy nie było komu grać do tańca, a towarzystwo miało ochotę pląsać, albo gdy umyślnie do tego najęty muzykus, nie dobrze wywiązywał się z obowiązku, wtedy Fryderyk zasiadał ochoczo do fortepianu i godzinami całemi grywał do tańca mazury, walce, kontredanse, nie okazując najmniejszego zmęczenia, aby tylko zabawa szła wesoło. Nawet później jeszcze, w Paryżu, chociaż uważanym był już przez świat cały za znakomitego artystę, chociaż imię jego otoczone było blaskiem europejskiej sławy, nie wahał się w polskich domach to samo czynić, gdy widział, iż młodzież ma ochotę potańczyć... ale wróćmy do właściwego toku opowiadania.

Po ostatniej zagranicznej wycieczce, Fryderyk spoważniał już nieco; wszak sam pisał: „iż stał się mędrszym i doświadczeńszym o jakie cztery lata.“ Więc zastanawiał się często

nad okolicznościami towarzyszącemi jego w Wiedniu, Pradze i Dreznie pobytowi. Ludzie, jak zwyczajnie ludzie, na bliższem ich poznaniu, stracili może trochę w oczach jego ten urok, który ich otacza, gdy się na nich patrzy zdaleka; jednakże uprzejmość i dowody bezinteresownej przychylności licznie młodemu współkoledze okazywane, wyrobiły w nim korzystne w ogólności dla nich usposobienie, jakie niestety w dalszym jego artystycznym zawodzie nieraz uległo cierpkiemu rozczarowaniu. Artyści wiedeńscy widzieli w nim młodzieńca muzykalnie bardzo wykształconego, lecz niemającego zamiaru walczyć z nimi o lepsze, lub stawać im na przeszkodzie, współzawodniczyć, a tem bardziej odbierać im chleb powszedni. Więc dla przelatującego wędrowca, okazali się przychylni. Pomimo niepewności i bojaźni cechującej zwykle pierwsze na polu koncertowem kroki każdego niezarozumiałego o sobie artystę, Fryderyk występując publicznie w Wiedniu, w tej siedzibie Haydna, Mozarta, Bethovena, doznaje jak najpochlebniejszego przyjęcia. To go istotnie uderzyło i dało mu wiele do myślenia. Jeżeli jako wirtuoz nie czynił potężnego na słuchaczach wrażenia, jeżeli nawet utrzymywano, iż gra za słabo, to dla kompozycyi jego miano tylko bezwarunkowe pochwały. „Uczo-

nych i czułych ująłem“ powiada; w słowach tych leży cała charakterystyka jego talentu, w samej rzeczy, talent Chopina nie miał i nie mógł nigdy działać na massy; gra jego zbyt wykończona, spokojna, pełna głębokiego melancholicznego uczucia, przytem niewysłowionej wytworności, właściwszą była dla mniejszego, wybrańszego koła słuchaczy. Kompozycye zaś odznaczające się dziwnie oryginalną formą, tudzież poetycznością melodyjnych popomysłów w bogatą harmonię przybranych, musiały zachwycać i zdumiewać prawdziwych znawców muzyki.

Przytaczamy jeszcze dwa listy Fryderyka, pisane w Warszawie w kilka dni po powrocie jego z zagranicy do Woyciechowskiego, w nich bowiem znajdziemy dopełnienie tej ważnej w następstwa dla przyszłej jego karyery podróży.

„Warszawa 12 września 1829 r.

Najdroższy Tytusie!

Jeszczebyś żadnej odemnie nie miał wiadomości, gdyby nie Wincenty Sk.... Spotkałem go i wspomniał, że dopiero ku końcowi tego miesiąca będziesz w Warszawie... Myślałem, że ustnie się dowiesz o moim *wielkim wojażu*, coby mię więcej było ucieszyło, bo szczerze, wolałbym z tobą pomówić. Ale kiedy tak, wiedzże kochanie, żem był w Krakowie, Wiedniu, Pradze, Dreznie, Wrocławiu. Tydzień pierwszy zeszedł nam w Krakowie na samych spacerach i zwiedzaniu okolic. Ojców istotnie ładny, lecz ci nie będę o nim pisać, bo chociaż tam nie byłeś, to wiesz z opisu bardzo wiernego Tańskiej, gdzie co jest i jak jest. W wesołej kompanii zajechałem do Wiednia i jeżeli Kraków mię zajął tak, że mało chwil na myślenie o domu i o tobie poświęcić mogłem, to Wiedeń tyle mię oszołomił, zadurzył, omamił że dwa tygodnie przeszło siedząc bez litery w domu, żadnej nieczułem tęsknoty.

Wystaw sobie, w tak krótkim czasie kazali mi dwa razy grać na cesarsko-królewskim teatrze! Rzeczy tym sposobem się działy. Haslinger mój edytor wspomniał mi, że dla moich kompozycyj lepiej byłoby, gdybym wystąpił w Wiedniu; że moje imię nieznane, a kompozycye trudne i niepozorne. Ja jednak nie myśląc teraz jeszcze na seryo występować, zresztą niegrawszy od paru tygodni, odmówiłem mówiąc, że nie jestem w stanie popisywać się przed tak znakomitą publicznością; — na tem stanęło. Gdy tymczasem nadszedł hr. Gallenberg, co to piękne balety pisze, a który w Wie-

dniu jest na czele teatru i temu mię Haslinger jako tchórza bojącego się wystąpić, zaprezentował. Hrabia był tyle grzeczny, że ofiarował teatr, a ja tyle byłem o sobie przekonany, żem mu podziękował odmawiając. Nazajutrz puka ktoś do stancyi; patrzę, wchodzi Würfel. Zaklina i powiada, że wstydbym zrobił rodzicom, Elsnerowi i zresztą samemu sobie, gdybym mając okazyę, nie dał się słyszeć w Wiedniu. Tyle mię odurzyli, żem przystał na koncert, a Würfel w ten moment wszystkiem się zajął. Nazajutrz ogłoszono o tem na afiszach. Już cofnąć się było trudno, a ja jeszcze nie wiem co mam grać i jak mam grać!

Trzech fabrykantów ofiarowało mi do stancyi fortepiany; podziękowałem, bom za mały miał pokój, i te kilka godzin gry nie byłyby mi wiele pomogły, zwłaszcza, że za dwa dni wystąpić miałem. W jednym więc dniu, zabrałem znajomość z Maysederem, Syrowetzem, Lachnerem, Kreutzerem, Schuppanzighem, słowem ze wszystkimi większymi artystami Wiednia.

Członkowie orkiestry na próbie kwasili mi się. Najwięcej oto im szło, żem dopiero co przyjechał i zaraz ni ztąd ni zowąd, i jeszcze własne kompozycye gram. Zacząłem więc próbę od *Waryacyi* tobie ofiarowanych, które miały być poprzedzone przez *Rondo krakowskie:* prze-

szły dobrze, ale *Rondo* parę razy zaczynałem, a orkiestra okropnie się mięszała i zganiała na złe pismo. Całej tej konfuzyi przyczyną były pauzy inaczej u dołu, a inaczej u góry pisane, lubo zapowiedziało się, że górne tylko numera idą. Była to moja po części wina, alem ię spodziewał, że mię zrozumieją; tymczasem gniewała ich ta nieakuratność. Dosyć, że tyle mi fochów nastroili, że już miałem się na pogotowiu na wieczór rozchorować.

Ale Demar, reżyser teatralny, pomiarkowawszy, że to mała niechęć członków orkiestry (zwłaszcza, że Würfel chciał dyrygować, a oni go nie lubią, nie wiem dlaczego), więc wniósł, żebym zamiast grać *Rondo*, improwizował. Jak to powiedział, orkiestra duże oczy zrobiła! Tak byłem tem zirytowany, że z rozpaczy przystałem na to; i kto wie, czy ten mój nieszczęśliwy humor i ryzyko, nie były mi bodźcem do lepszego wieczorem wystąpienia. Jakoż nic mię nie zatrwożył widok publiczności wiedeńskiej. A ponieważ tam nie ma zwyczaju, żeby orkiestra występowała na scenę, tylko na swoich pozostaje miejscach, więc ja blady, z wyróżowanym kompmanem do przewracania kart (który mi się chwalił, że Moschelesowi, Hummlowi, Herzowi karty przewracał) zasiadłem do

przedziwnego, może wówczas najlepszego wiedeńskiego instrumentu Graffa.

Wierzaj mi, żem grał z desperacyą. Tyle jednak *Waryacye* efektu zrobiły, że prócz tego, iż po każdej waryacyi oklaskiwano, po skończeniu jeszcze raz na scenę pokazać się musiałem. *Intermezzo* śpiewała panna Weltheim, nadworna śpiewaczka króla saskiego. Nareszcie przyszedł czas na improwizacyę; nie wiem, ale jakoś tak mi poszło, że orkiestra klaskać zaczęła i znów po odejściu ze sceny przywołany byłem. Tak się skończył pierwszy koncert.

Gazety wiedeńskie suto mię pochwaliły. W tydzień później grałem drugi raz, bo chcieli, z czego byłem kontent, gdyż nikt nie powie, że grał raz i uciekł; zwłaszcza, że na drugim koncercie uparłem się wykonać to *Rondo*, nad którem Gyrowetz, Lachner i inni tamtejsi mistrzowie, nawet orkiestra (daruj, że tak powiem), unosili się i już nie raz, lecz dwa razy przywołany byłem. Musiałem na drugim koncercie grać powtórnie *Waryacye*, bo się strasznie damom podobały i Hastingerowi. Wyjdą w *Odeonie* [1]).

Lichnowski, ów niegdyś przyjaciel Bethovena, chciał mi swojego fortepianu pożyczyć

[1]) Pod tym tytułem wydawał Haslinger w Wiedniu dzieła znakomitszych fortepianistów.

na koncert (i to wiele), bo mu się zdawało, że mój za słaby. *Ale to mój sposób grania*, który się znowu damom bardzo podobał, a szczególniej pannie Blahetce, pierwszej fortepianistce wiedeńskiej. Musiała być mi życzliwą (notabene 20 lat jeszcze niema, sprytna, a nawet ładna dziewczyna), kiedy mi swoję kompozycyę na odjezdnem z własnym podpisem na pamiątkę dała.

O drugim koncercie powiedziała gazeta wiedeńska: „jest to młody człowiek idący swoją własną drogą, na której wie, jak się podobać, a która znacznie od wszystkich innych koncertowych form się oddala“ i t. p. Spodziewam się, że dosyć! Zwłaszcza, że kończy: „Pan Chopin dzisiaj także podobał się powszechnie.“ Daruj, że przymuszony jestem powtarzać takie zdania o sobie, ale piszę to do ciebie, a mnie one więcej przyjemności robią, niż nie wiem jakie pochwały oddawane w *Kuryerze Warszawskim*.

Z Czernym poznałem się za pan brat; na dwa fortepiany często u niego grywałem. Dobry człowiek, ale nic więcej. Ze wszystkich znajomości artystycznych, najwięcej mnie ucieszył Klengel, którego poznałem u Pixisa. Grał mi swoje *Fugi* (można powiedzieć, że to dalszy ciąg *Fug* Bacha, jest ich 48 i tyleż *Kanonów*);

jakaż to różnica od Czernego! Klengel dał mi list do Morlacchiego w Dreznie. Morlacchi pierwszy kapellmeister króla saskiego, bardzo mię grzecznie przyjął, był u mnie i zaprowadził do panny Pechwell, uczennicy Klengla, która tam uchodzi za pierwszą fortepianistkę. Dobrze gra [1]).

Byliśmy w Szwajcaryi saskiej. Piękności mnóstwo... galerya obrazów cudna! Tylko operę włoską z przed nosa mi wzięto. Tego samego dnia rano wyjechałem, gdy miano grać *Crociatto in Egitto;* tylkom się tem pocieszał, żem już ją w Wiedniu słyszał.

Pani Pruszakowa, Olesia i Kostuś są w Dreznie; na wyjezdnem spotkałem ich, co za radość: „pan Frycek! pan Frycek!“ wołali. Tak mi było przyjemnie, że gdybym był sam, pewno byłbym został. Sam Pruszak w Teplitz, gdziem go też widział. Teplitz śliczne, byłem tam jeden dzień i zaraz na wieczorze u księstwa Clary.

---

[1]) Pechwell Antoanetta, zamężna Pesadori, ur. 6 marca 1799, um. 20 września 1834, już w 10 roku życia występuje w koncertach z grą na fortepianie, doznawała świetnego przyjęcia. Wykształcona wszechstronnie, była później ozdobą towarzyskiego i artystycznego świata w Dreznie.

Tak się rozpisałem, że mi się kończyć nie chce. Ściskam cię serdecznie i całuję w same usta, pozwolisz!

Twój Fryderyk.

Warszawa 3 października 1829.

Najdroższy Tytusie!

Piszesz mi, żeś z dwóch gazet dowiedział się o moich koncertach; jeżeli z polskich, w których nieszczęściem, nietylko tłómaczyć nie umieli, ale nadto umyślnie na dezawantaż mój poprzekręcali zdania wiedeńskie, o czem ustnie lepiej się dowiesz, nie mogłeś mieć zadowolenia. *Sammler* wiedeński i *Zeitschrift für Literatur*, z których mi wyjątki Hube przywiózł, szczegółowo a bardzo pochlebnie (daruj, że ci to piszę), rozbierają grę moją i kompozycye, zowiąc mię na końcu: „*Selbständiger Virtuos*, voll Zartheit und tiefster Empfindung“. Takie wyjątki żeby ci były pod rękę popadły, nie miałbym się czego wstydzić.

Chcesz wiedzieć, co myślę tej zimy z moją osobą począć? Dowiedz się, że nie zostanę w Warszawie, lecz gdzie mnie okoliczności poniosą? nie wiem. Prawda, że książe Radziwiłł, a raczej ona, bardzo grzecznie zapraszali mię

do Berlina, dając nawet mieszkanie we własnym pałacu; ale cóż mi po tem, kiedy mi teraz potrzeba tu siedzieć, gdzie mam tyle dzieł pozaczynanych, zwłaszcza, żem obiecał powrócić do Wiednia i w jednej gazecie tamtejszej napisano, że dłuższy pobyt w Wiedniu byłby korzystnym mojemu wystąpieniu na świat. Sam zapewne uznasz potrzebę mego powrotu do Wiednia, nie dla panny Blahetki, o której, o ile mi się zdaje, pisałem, bo ja już, może na moje nieszczęście, mam mój *ideał*, któremu wiecznie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem *Adagio* do mojego *Koncertu* [1]), który mi inspirował tego *Walca* dziś rano, co ci posyłam. Uważaj jedno miejsce + oznaczone. O tem nikt nie wie, prócz ciebie. Jakżeby mi było słodko zagrać ci go najdroższy mój Tytusie! W *Trio* śpiew bassowy powinien dominować aż do górnego *es* wiolinu w 5 takcie, o czem ci niepotrzebnie zresztą piszę, bo czujesz.

Z wiadomości muzycznych nic prócz tego, że co piątek bywa muzyka u Kesslera. Wczoraj między innemi grali *Octet* Spohra, cudnie piękne dzieło.

---

1) *Adagio* z Koncertu E-moll, Op. 11.

Do Brzeziny co dzień chodzę [1]). Nie ma nic nowego prócz *Koncertu* Pixisa, o którym ja nie mam wiele co powiedzieć; *Rondo* zdaje się być najlepsze.

Nie uwierzysz, jak dla mnie teraz Warszawa smutna; gdyby nie to, że rodzina mi uprzyjemnia pobyt, tobym w niej nie wysiedział. O jakże to przykro nie módz przyjść do kogo, podzielić się z nim smutkiem, radością; jak to niegodziwie, kiedy coś ciąży na sercu, a nie ma gdzie ciężaru złożyć! Wiesz do czego to alluzya. Fortepianowi gadam to, cobym tobie nieraz chciał powiedzieć....

Myśl wycieczki za granicę, powinienbyś do skutku przywieść. Nieposiadałbym się z uciechy, gdybym mógł razem z tobą jechać; ale mnie inaczej droga wypada jak tobie. Pojadę się uczyć z Wiednia do Włoch, a na przyszłą zimę mam być razem z Hubem w Paryżu, lubo to wszystko jeszcze zmienić się może, zwłaszcza, że Papa radby mnie do Berlina wysłać, a czego ja sobie nie życzę [2]).

---

1) Właściciel księgarni i składu nut w Warszawie.

2) Wyrażenie to, widocznie stosuje się do ks. Radziwiłła, który zapraszając Fryderyka do Berlina, miał zdawało się, zamiar dopomódz mu materyalnie do odbycia w celach naukowych podróży.

Gdybym jechał do Wiednia, możebym obrał drogę na Drezno i Pragę, dla widzenia jeszcze raz Klengla, Konserwatoryum pragskiego i t. p.

Dosyć tego, bo cię już znudzić mogę czczemi wiadomościami, a jabym nigdy nic takiego nie chciał czynić, coby ci się niepodobało. Jeżeli będziesz mógł, dwa słowa mi napisz, a ucieszysz mię znowu na kilka tygodni. Daruj, żem ci posłał *Walca*, który cię może i rozgniewa na mnie, ale dalibóg chciałem ci nim przyjemność zrobić...

Twój Fr.“

Rozgłos nadany przez warszawskie gazety o wystąpieniach koncertowych Fryderyka w Wiedniu, publiczność przyjęła z serdecznem zadowoleniem. To nawet skłoniło ojca do naradzenia się z Elsnerem i innymi przyjaciołmi domu, względem dalszego z synem postępowania. Wszyscy zgadzali się na to, ażeby go wysłać na dłuższy pobyt za granicę. W istocie, Warszawa za szczupłą była areną dla niezwykłego jego talentu, pod względem zaś muzykalnym, był już prawie skończonym artystą. Kompozycye jego napisane w Warszawie, mogą być policzone do najlepszych, jakie w ciągu życia utworzył. Bezwątpienia talent jego twórczy zmężniał jeszcze i dojrzał z postępem wieku i artystycznego doświadczenia, lecz ani kierunku swego, ani ducha nie zmienił.

Za poradą Elsnera, zdecydowano, że Fryderyk najprzód pojedzie do Włoch, ztamtąd zaś do Paryża, o czem już w ostatnim liście do Woyciechowskiego pisanym sam wspomina. Trwanie zaś podróży obrachowano na dwa lata.

Jak upływał czas artyście naszemu przez ten rok ostatniego pobytu w rodzinnym kraju, czem się głównie zajmował, co doświadczył, to już najlepiej dowiemy się z listów jego w epoce téj do Woyciechowskiego pisywanych. W nich zarazem znajdą się szczegóły pożegnalnych Fryderyka koncertów, tak silnie na nim samym i na współziomkach jego wywierających wrażenie [1]).

„Warszawa 20 października 1829.

Najdroższy Tytusie.

Pomyślisz może, zkąd mi się wzięła taka mania pisania listów, że już trzeci do ciebie

[1]) Listy te, na dwa lata przed śmiercią swoją przypadłą 25 marca 1879 roku, udzielił nam uprzejmie sam Tytus Woyciechowski. Ze czcią prawdziwie religijną prze-

w tak krótkim przeciągu czasu posyłam. Jadę dziś o 7mej godzinie wieczorem dyliżansem do Wiesiołowskich w Poznańskie i dlatego wprzód piszę, zwłaszcza, że nie wiem jak długo mi bawić tam wypadnie, lubo paszport tylko na miesiąc wziąłem. Moją myślą jest wrócić za dwa tygodnie. Przyczyną mojego wyjazdu jest tam bytność ks. Radziwiłła w swoich dobrach za Kaliszem. Były bowiem oświadczyny, żebym jechał do Berlina, w jego pałacu mieszkał i tym podobne piękne słówka... Ja jednak żadnej w tem nie widzę korzyści, gdyby się nawet ziścić miało, o czem wątpię, bo już niejedną *łaskę pańską na pstrym koniu* widziałem. Ale Papa nie chce wierzyć, żeby to miały być tylko „*des belles paroles*“. I to jest powód mojego wyjazdu, o którym, o ile mi się zdaje, już raz tobie wspominałem. W tym względzie wiesz jak dobrym jestem; dziesięć razy jedno gotowym powtarzać i zawsze za nowość.

Potrzeba ci wiedzieć, że Kessler co piątek daje u siebie małe wieczory muzykalne. Tam się wszyscy schodzą i grają; nie ma nic naprzód układanego, tylko co się z kompozycyi

chowywał on te pamiątki mające dla niego podwójną wartość: jako spuścizna po najdroższym, najserdeczniejszym przyjacielu i po genialnym artyście.

nawinie, to się gra. I tak zaprzeszłego piątku wykonano *Koncert* Riesa *Cis-mol* z towarzyszeniem kwartetu, potem *Trio* Hummla *E-dur*, *Trio* Beethovena ostatnie (coś podobie wielkiego jeszcze nie słyszałem, tam Bethoven szydzi z całego świata); *Kwartet* księcia Ferdynanda Pruskiego *alias* Dusseka i na zakończenie śpiewy [1]).

Moje *Adagio* koncertowe Elsner chwalił; mówił, że jest nowe, a co o *Rondzie*, to jeszcze nie chcę niczyjego wyroku, bo nie jestem dotąd zupełnie z niego kontent. Ciekawym, czy przecie skończę tę pracę, jak wrócę.

Ślicznie ci dziękuję za przysłany list, ucieszyłem się z niego; masz już tę pociechę, że kiedy chcesz, możesz ludzi rozweselać i poprawiać. Nie uwierzysz, jak byłem zły rano, a jaki dobry stałem się po odebraniu twojego listu.

Ściskam cię serdecznie, tak piszą pospolicie na końcu listów, ale nie wiedzą, co piszą; wierzaj mi jednak, że wiem, com napisał, bo cię kocham, jak twój Fryc.

Skomponowałem *Etiudę* w moim sposobie, jak się zobaczemy, to ci ją zagram.

1) Dussek Jan Ludwik, urodzony 1761 roku w Czesławiu w Czechach, znakomity fortepianista i kompozytor, był nauczycielem ks. Ludwika Ferdynanda Pruskiego. Książe zginął w bitwie pod Saalfeldem 1806 roku.

Warszawa, sobota 14 listopada 1829.

Ostatni twój list odebrałem w Antoninie u Radziwiłła. Byłem tam tydzień; nie uwierzysz, jak mi u niego czas mile zeszedł. Co się tyczy mojej osoby, byłbym tam siedział, dopókiby mię nie wypędzono, lecz moje interesa a szczególniej mój *Koncert* jeszcze nie skończony, a oczekujący z niecierpliwością ukończenia *Finału*, przynaglił mię do opuszczenia tego raju. Były tam dwie Ewy, młode księżniczki; nadzwyczaj uprzejme, dobre, muzykalne i czułe istoty. Sama stara księżna wie, że nie urodzenie czyni człowieka, a tak zobowiązuje swojem obejściem się, że niepodobna jej ien uwielbiać. On, wiesz jak lubi muzykę; pokazywał mi swojego *Fausta* i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyślanych, a nawet genialnych, żem się nigdy po *Namiestniku* tego spodziewać nie mógł. Między innemi jest jedna scena, w której Mefistofeles kusi Gretchen grając na gitarze i śpiewając pod jej domem, a jednocześnie słychać śpiewy choralne z pobliskiego Kościoła. Ten kontrast wielki efekt w egzekucyi zrobi. Na papierze widać sztucznie ułożony śpiew, a raczej akompaniament djabelski, podczas gdy chór kościelny trzymanym jest w poważnym bardzo tonie. Z tego

możesz mieć wyobrażenie o jego sposobie pojmowania muzyki; przytem zabity Gluckista. Muzyka teatralna tyle ma u niego znaczenia, ile maluje położenia i uczucia, dlatego nawet *Uwertura* nie ma zakończenia, tylko w *Introdukcyę* wchodzi, a orkiestra wciąż będzie umieszczoną za sceną, aby jej widać nie było. aby poruszeniami smyczków i t. p. rzeczami nie sprawiała słuchaczom dystrakcyi [1]).

Napisałem u niego *Alla Polacca* z wiolonczellą. Nie ma w niem nic, prócz błyskotek, do salonu, dla dam. Chciałem widzisz, żeby się księżniczka Wanda nauczyła. Niby jej przez ten czas lekcye dawałem. Młode to, 17 lat, ładne i — dalipan aż miło było ustawiać paluszki. Ale żart na stronę, wiele ma prawdziwego uczucia muzykalnego i niepotrzeba gadać: a tu *crescendo*, a tu *piano*, a tu prędzej, a tu wolniej i t. dalej. Nie mogłem się wymówić od przysłania im *Poloneza* mojego *F-mol*, który zajął księżniczkę Elizę; proszę cię więc przyszlij mi go pierwszą pocztą, bo nie chcę być poczytanym za niegrzecznego, a z pamięci

---

[1]) Mimowolnie przychodzi na myśl orkiestra umieszczona niewidzialnie przez Wagnera w Bayreucie 1876 r., podczas wykonywania cyklu *Nibelungów*. Tak, tak: „Original, fahr'hin in deiner Pracht.“ (Goethe, *Faust* II część).

pisać nie chcę kochanku, bobym inaczej może napisał, niż jest w istocie. Możesz sobie wystawić charakter tej księżniczki, kiedy jej codzień tego *Poloneza* grać musiałem, a nic tak nie lubiła, jak *Trio As-dur* [1]).

Księżna Radziwiłłowa życzy sobie, żebym był w Maju w Berlinie, zatem nic mi nie przeszkadza jechać na zimę do Wiednia. Ile myślę, to przed grudniem nie wyjadę; 6go Papy imieniny, więc chybabym ku końcowi grudnia wyruszył, zatem mam nadzieję widzenia się z tobą.

Nie uwierzysz, jak mi teraz w Warszawie czegoś niedostaje; nie mam komu dwóch słów powiedzieć, na nikogo spojrzeć z zaufaniem. Chciałeś mego portretu; żebym mógł był ukraść jeden księżniczce Elizie, tobym go był tobie posłał; dwa razy mię w sztambuchu zrobiła, o ile mi ludzie gadali, bardzo podobnie. Moje życie... tyś za dobry... a potem wierzaj mi, że ja prawie zawsze przy tobie; ja ciebie nie odstępuję i tak będzie aż do śmierci.

Jeszcze ci raz przypominam *Poloneza F-mol*; przyślij go moje życie pierwszą pocztą. Napisałem także parę *Etudów;* przy tobie dobrzebym je zagrał. Kessler wykonał w ostatnią

[1]) Polonez ten wyszedł w zbiorze dzieł pośmiertnych Chopina jako *Opus* 71.

sobotę w Resursie *Koncert E-dur* Hummla; na przyszłą sobotę może ja grać będę; grałbym twoje *Waryacye.*

Warszawa 27 marca 1830.

Nigdy mi tak ciebie nie zbywało, jak teraz; nie mam komu się wylać. Twoje jedno spojrzenie po każdym koncercie, byłoby dla mnie więcej warte, aniżeli wszystkie pochwały gazeciarzów. Zaraz po odebraniu listu od ciebie, chciałem opisać ci pierwszy koncert, ale tak byłem roztargniony i zajęty przygotowaniami do drugiego, który zaraz w poniedziałek dałem, żem nie był w stanie myśli zebrać. I dziś wprawdzie taki sam jestem, ale nie będę czekał chwili spokojnego umysłu, chwili tak rzadkiej zawsze dla mnie, bo poczta odejdzie.

Pierwszy więc koncert lubo był pełny, bo od trzech dni naprzód ani lóż, ani krzeseł nie było, nie zrobił na ogóle publiczności takiego wrażenia, jakiegom się spodziewał. Pierwsze *Allegro* dla małej liczby przystępne, zyskało brawo, ale jak mi się zdaje dlatego, że trzeba się było dziwić co to jest! i niby udawać konesserów. *Adagio* i *Rondo* największy efekt sprawiło. Tu już szczerze oklaski i okrzyki dały się słyszeć. Ale co *Potpouri* z polskich

pieśni [1]), zupełnie podług mnie celu nie dopięło. [Dano brawo, lecz w tem przekonaniu, że trzeba mu dać na odchodnem znać, żeśmy się nie nudzili. Kurpiński [2]) zauważał tego wieczora nowe piękności w moim *Koncercie;* Ernemann był zupełnie kontent, a Elsner żałował, że mój fortepian głuchy i że bassowych passaży słychać nie było. Tego wieczora, o ile paradysowi i ci co w orkiestrze stali, byli zadowoleni, o tyle parter narzekał na ciche granie, i chciałbym być pod *Kopciuszkiem* [3]), żeby słyszeć rozprawy, jakie się tam musiały toczyć o moją osobę. Dlatego to Mochnacki w *Kuryerze Polskim,* wychwaliwszy mię pod niebiosa, a szczególniej *Adagio,* na końcu radzi więcej *energii.* Domyśliłem się, gdzie ta energia siedzi i na drugim koncercie, nie na swoim ale na wiedeńskim grałem instrumencie. Dopiero jeszcze liczniéj jak na pierwszym zgromadzona publiczność, zadowolnioną była; dopiero oklaski, pochwały, że każda nutka jak perełka wybita i zaokrąglona; że na drugim lepiéj grałem

[1]) Grande Fantaisie sur des airs polonais, Op. 13.

[2]) Kurpiński Karol, dyrektor opery polskiéj i kompozytor wielu oper narodowych ur. 1785 um. 1857 w Warszawie.

[3]) Pod *Kopciuszkiem* była kawiarnia, w któréj zwykle przesiadywali literaci.

niż na pierwszym i t. p. Kiedy mię wywoływano, krzyczano ażebym jeszcze trzeci dał koncert. *Rondo Krakowiak,* ogromny efekt zrobiło; cztery razy ponawiano oklaski. Kurpiński żałował żem na wiedeńskim fortepianie niegrał *Fantazyi,* czego się nawet nazajutrz w *Kuryerze Polskim* Grzymała domagał. Elsner powiedział, że po drugim koncercie dopiero mogą o mnie sądzić, lubo ja ci szczerze powiem, że wolałbym był na swoim grać. Głosem to jest jednak powszechnym, że instrument lepiéj był zastosowany do miejscowości.

Program pierwszego koncertu był tobie wiadomy [1]); drugi koncert zaczął się od *Sym-*

[1]) Koncert ten odbył się w teatrze dnia 17 marca 1830 roku: program jego był następujący:

Część pierwsza.

1. *Uwertura* Elsnera z opery *Leszek Biały.*
2. *Allegro* z *Koncertu F-mol,* skomponowane i wykonane na fortepianie przez Chopina.
3. *Divertissement* na waltornię, komponowane i wykonane przez Goernera.
4. *Adagio i Rondo* z koncertu *F-moll,* skomp. i wyk przez Chopina.

Część druga.

1. *Uwertura* Kurpińskiego z opery *Cecylia Piaseczyńska.*
2. *Waryacye* Paera, odśpiewane przez panią Meierowę.
3. *Pot-pourri* z pieśni polskich, kompozycyi Chopina i przez tegoż wykonane.

fonii Nowakowskiego (*par complaisance*) [1]), poczem znowu 1 *Allegro* z Koncertu. Następnie Bielawski, koncertmeister teatru, zagrał *Waryacye* Beriota. [2]), ponim ja *Adagio i Rondo*. Drugą część, rozpocząłem *Rondem krakowskiem*; Meierowa śpiewała aryę Soliwy z opery *Helena i Malwina*, nareszcie improwizowałem na temat pieśni ludowéj: „W mieście dziwne obyczaje“ — co się pierwszo-piętrowym lożom bardzo podobało. Jeżeli ci mam szczerze powiedzieć, to improwizowałem nie tak jak miałem ochotę, bo to nie dla takiego świata było. Mimo to jednak dziwię się, że *Adagio* tak powszechny efekt zrobiło, bo gdzie się obrócę, tylko mi *Adagio* przypominają. Pewno masz gazety wszystkie, albo przynajmniéj główniejsze, z nich możesz miarkować że publiczność była zadowoloną. Przysłano mi do domu ogromny bukiet; ktoś wiersze na moją cześć ułożył, z tematów mojego *Koncertu* układają *mazury* i *walce*. Brzezina prosił o mój portret, ale już tego nie mogłem pozwolić,

[1]) Nowakowski Józef, fortepianista i kompozytor; kolega studjów muzycznych Chopina, ur. 1800, zmarł w Warszawie 1865 r.

[2]) Bielawski Józef, dzielny bardzo skrzypek, professor Konserwatoryum, zakończył życie w 1837 r.

boby za wiele było naraz i nie mam ochoty, żeby we mnie masło obwijano, jak to się z portretem Lelewela stało.

Żądają powszechnie, ażebym dał jeszcze jeden koncert; ale ja niechcę. Nie uwierzysz co za męka na kilka dni przed wystąpieniem. Zresztą przed świętami mam nadzieję skończyć 1 *Allegro* 2go *Koncertu*, a zatem zaczekam, aż po świętach, chociaż wiem, że i teraz jeszcze więcej mógłbym mieć słuchaczów, bo cały wielki świat mało mię słyszał. Między głosami parterowemi na ostatnim koncercie wołającymi abym grał jeszcze, odezwał się jeden: „na Ratuszu!“ tak głośno, żem sam na scenie słyszał; ale wątpię, żebym go usłuchał, bo jeżeli dam, to pewno znów w teatrze. Nie idzie mi o dochód, bo i w teatrze niewiele mi przyniósł, ponieważ kasyer robił co chciał, gdyż jemu się wszystko zdało. Z obu koncertów odtrąciwszy koszta, nie było 5000 złotych, lubo redaktor *Kuryera Warszawskiego* Dmuszewski wspomniał, że fortepianowego koncertu nie było jeszcze tak licznego jak pierwszy, a tem bardziej drugi. Lecz idzie mi o to, że w ratuszu nie z mniejszym ambarasem, niewiele większym efektem, grałbym także nie dla wszystkich.

Jeżeli kiedy, to teraz czuję, że jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził. Do-

brzyński się na mnie kwasi, żem jego *Symfonii* nie wziął; pani W. się gniewała, żem jej loży nie zatrzymał i t. p.

Nie chce mi się odrywać od papieru, zwłaszcza, że mi się zdaje, żem jeszcze nic nie napisał, cobym chciał, żeby cię interesowało. Wszystko chowałem na deser, a tymczasem nie mam żadnego deseru, jak tylko uściśnienie cię najserdeczniejsze.

Warszawa 10 kwietnia 1830.
(Rocznica śmierci Emilii [1]).

Jeszcze w przeszłym tygodniu miałem ochotę pisać do ciebie, ale mi tak zeszło, iż ani wiem, gdzie się czas podział. Trzeba ci wiedzieć, że się świat nasz straszliwym sposobem rozmuzykował, nie szczędzono nawet wielkiego tygodnia. W przeszły poniedziałek był wieczór duży u Filipeusa [2]), gdzie pani Sauran ładnie śpiewała duet z *Semiramidy*, a duet *buffo* z *Turka* wykonany przez Solivę i Gressera, na żądanie powtórnie akompaniować musiałem. Mam już program gotowy na mający się dać

[1]) Najmłodszéj siostry Fryderyka.

[2]) Filipeus generał, był intendentem dworu W. Ks. Konstantego.

wieczór u Lewickich, gdzie między innemi książę Galicyn będzie grać *Kwartet* Rodego; ja wykonam *Sentinellę* Hummla i na końcu mojego *Poloneza* z wiolonczellą, do którego dorobiłem *Adagio* na *introdukcyę*. Probowałam go już i ujdzie. To są nowości salonowe muzykalne; teraz przystępuję do nowości muzyczno-gazetowych, które mię nie mniéj od salonowych obchodzą tem bardziéj że na mnie wydają łaskawe wyroki: — chciałbym ci je posłać!

W jednym artykule półarkuszowym *Gazety Warszawskiéj*, musi być dosyć przycinków dla Elsnera, kiedy Soliva mi powiedział, że gdyby nie to, że ma elewki na wystąpieniu i boi się szukać zaczepki, samby odpisał [1]). Trudno dać ci wyobrażenie w krótkości o tem wszystkiem; żebym mógł, tobym ci gazety posłał, abyś rzecz zrozumiał należycie. Ale że mądréj głowie dość na słowie, więc ci tak lekko napomknę o co idzie.

Po moich koncertach, sypnęło się mnóstwo recenzyi; szczególniéj w *Kuryerze Polskim* jak-

[1]) Soliva, rodem Włoch, był od 1821 roku nauczycielem śpiewu w Konserwatoryum warszawskiem. Po zamknięciu tego instytutu w 1832, przeniósł się najprzód do Petersburga, a następnie do Paryża, gdzie umarł 1851 roku. Soliva skomponował opery: *la Testa di bronzo*, *Elena e Malvina* i wiele pomniejszych do śpiewu utworów.

kolwiek już przesadzonemi tchnęły pochwałami, jednakże jeszcze unieść takowe można było. *Dziennik Urzędowy* także kilka stronnic poświęcił moim panegirikom, ale między innymi w jednym ze swoich numerów, takie głupstwa mimo najlepszéj chęci poklecił, żem był w desperacyi do chwili, w któréj przeczytałem odpowiedź w *Gazecie Polskiéj*, jak najsprawiedliwiéj odejmującéj mi to, co tamten w egzageracyi przydał. Trzeba ci wiedzieć, że w tym artykule *Dziennik Urzędowy* utrzymuje: iż jak Mozartem Niemcy, tak Polacy mną się kiedyś szczycić będą, — nonsens bardzo jasny. Lecz co więcéj, powiada daléj: że gdybym się był dostał w ręce jakiego pedanta albo rossinisty (co jest głupiem wyrażeniem), nie byłbym nigdy tem, czem niby jestem. Jakkolwiek niczem nie jestem, przecie ma racyę, że gdybym był się od Elsnera nie uczył, który mi umiał do przekonania trafić, pewnobym mniéj jeszcze umiał jak dzisiaj umiem. Ten przycinek *rossinista* i wychwalanie obok Elsnera „który już (niby) ucznia wystawił“, oburzyło wiesz kogo [1]), tak dalece, że w *Gazecie Warszawskiéj* zacząwszy niby od komedyi *Przyjaciele*, Fredry, a skończywszy na operze *Hrabia Ory*, w środku uderza na to: zkąd ma należeć się wdzięczność *Elsnerowi*, kiedy on z rękawa przecie uczniami sypać nie będzie i pokazał obok mnie (trzeba ci wiedzieć, że na drugim moim koncercie grano *Symfonię* Nowakowskiego) dodając, iż „z piasku bicza sam nawet djabeł nie ukręci!“ Elsner przed 35 laty napisał *Kwartet*, który ma na tytule: „*dans le meilleur goût polonais*“, dodatek naówczas przez edytora uczyniony z powodu *Mennetu* polskiego. Wyśmiewa się więc recenzya dzisiaj z tego *Kwartetu*, nie wymieniając jednak autora. Soliva powiada, że temi samemi wyrazami wyśmiałby się z *Cecylii* [1]), tem bardziéj, że w tym artykule zawsze z miłością i jak najdelikatniéj o mnie mówiąc, kilka nosów mi daje i radzi, żebym się Rossiniemu przysłuchiwał, ale go *nie przepisywał*. Radę tę daje mi wskutek tamtego artykułu, który powiedział, że mam dużo oryginalności, czemu *Gazeta Warszawska* nie chce zresztą przeczyć.

Jestem proszony po jutrze na święcone do Minasowicza [2]); będzie tam Kurpiński. Cieka-

[1]) Kurpińskiego zato, że wystawiał wciąż na teatrze same opery Rossiniego, przezywano podówczas powszechnie *rossinistą*.

[1]) „Cecylii Piaseczyńskiéj“, opery Kurpińskiego.

[2]) Minasowicz Dyonizy ur. 1792 w Warszawie i umarły 1849 r., wysoki urzędnik i poeta zarazem, był

wym co mi powie, bo nieuwierzysz jak on mię czule zawsze wita. Widziałem go na koncercie Leśkiewicza w środę tydzień minął. Mały Leśkiewicz bardzo dobrze gra, ale jeszcze po największéj części z łokcia. Ile mi się jednak zdaje, to lepszy z niego gracz będzie jak z Krogulskiego — zdanie, z którem się jeszcze odezwać nie śmiałem, choć już kilka razy za język ciągniony byłem [1].

Ach bryftreger! — list — od ciebie! O najdroższy, jaki ty poczciwy! Bo iż ja o tobie myślę, to niedziw. Ile widzę z twojego listu, to tylko *Kuryera Warszawskiego* czytałeś; jeżeli możesz, czytaj *Kuryera Polskiego* i nr. 91 *Gazety Warszawskiéj*. Twoje rady względem wieczorów, są słuszne i dla tego już kilka odmówiłem jakbym cię przeczuwał, bo nieuwierzysz jak mi stoisz na myśli przy każdym nieledwie uczynku. Niewiem czy to dla tego, żem się przy tobie czuć nauczył, ale kiedy co komponuję, radbym wiedzieć czy ci się podoba i zdaje mi się, że mój drugi *Koncert E-moll*, póty w mojem przekonaniu wartości mieć nie

najlepszym tłomaczem dzieł Schillera. On także przełożył wzorowo na polski język *Preciozę, Otella i Ntemę z Portici*

[1]) Krogulski Józef uczeń Eisnera, założyciel chóru Pijarskiego, zdolny kompozytor muzyki kościelnéj, zmarł 1842 r.

będzie, póki go ty nie usłyszysz i nie pochwalisz.

Co się tyczy trzeciego koncertu, którego tu oczekują, teraz jeszcze tem bardziéj nie dam, aż krótko przed wyjazdem. Myślę grać nowy, ten nowy jeszcze nieskończony; grałbym także *Fantazyę z polskich pieśni*, któréj żądają, i *Waryacye* tobie ofiarowane, na które czekam z niecierpliwością, albowiem już jarmark w Lipsku się rozpoczął to i Brzezina dostanie nowy transport nut.

Ten co mię na drugim koncercie szampanem koniecznie chciał częstować, ów Francuz z Petersburga co go za Fielda miano, jest to jeden z uczniów konserwatoryum paryskiego, zowie się Dunst. Dawał on koncerta w Petersburgu i wiodły mu się dobrze; — musi więc grać niepospolicie. Dziwno ci pewno, że Francuz z Petersburga i niemieckie nosi nazwisko.

A propos, do smutniejszych nowin należy ta, że Orłowski z moich tematów mazurki i galopady porobił, które atoli prosiłem żeby nie drukował.

Warszawa, 17 kwietnia 1830.
(Papy urodziny).

Jakąś ulgę czuję w nieznośnéj tęsknocie, skoro list od ciebie odbiorę. Właśnie dziś tego

trzeba mi było, bom się stał nudniejszy niż kiedykolwiek. Radbym odrzucał trujące mi wesołość myśli, ale pomimo wszystkiego, rozkosz czuję z niemi się pieścić; sam niewiem czego mi brak... może po skończeniu listu spokojniejszym będę.

Wspominasz, iż może przyjedziesz, — to mię ucieszyło, bo też i ja jeszcze na sejm zostanę. Już zapewne wiesz z gazet o otwarciu w dniu 28 b. m. sejmu, który cały miesiąc trwać będzie. *Kuryer Warszawski* zaanonsował przyjazd panny Sonntag. Redaktor jego Dmuszewski, zawsze ten sam; komponuje sobie rozmaite awantury i takowe drukuje. Wczoraj go spotkałem i pocieszną nowinę mi powiedział, że jakiś *Sonet* do mnie w *Kuryerze* umieści. Prosiłem go na miłość boską, aby tego głupstwa nie robił: „już wydrukowany!“, odpowiedział z uśmiechem, myśląc żem się zapewne radować powinien z zaszczytu jaki mię spotkał. Oj te przyjacielskie przysługi! Znowu będą mieli pole do szydzenia ci, którym zawiniłem. Co się tyczy mazurów z moich tematów, kupiecka chęć zysków przemogła... Już niechcę czytać co ludzie o mnie piszą, ani słuchać co gadają....

W przeszłym tygodniu zrobiłem projekt jechania do ciebie na tydzień, ale na niczem

się skończyło, bo mię nagli rozpoczęta robota; trzeba komponować i pisać na gwałt. Niezawodnie, jeżeli będziesz podczas sejmu w Warszawie, trafisz na mój koncert — mam jakieś przeczucie, — a jeszcze jak mi się wyśni, zupełnie wierzyć będę. Ileż to razy biorę ja noc za dzień, a dzień za noc; ileż razy żyję we śnie a śpię w dzień, gorzéj jakbym spał, bo zawsze jednakowo czuję; — a zamiast sił nabrać w tem odurzeniu, tak jakby we śnie, jeszcze się więcéj męczę i słabnę... Proszę cię kochaj mię...

Warszawa 15 maja 1830.

Dziwno ci było zapewne, że Fryc zaraz na twój list odpowiedzieć nie raczył, ale nie wiedziałem tego, o co mię się w tamtym liście pytasz, zatem musiałem się zatrzymać z odpisaniem. Dowiedz się więc moja duszo, że panna Sonntag niezawodnie w czerwcu, a może ku końcowi maja przyjeżdża do Warszawy. Już też myślę, że nie opuścisz sposobności słyszenia takiéj śpiewaczki; — jakże ja jéj za to dziękuję. Już ma być w Gdańsku, a ztamtąd do nas jedzie [1]).

---

[1]) Sonntag Henrietta, jedna z najsławniejszych śpiewaczek swojego czasu, wyszedłszy za mąż za hrabie-

Na mnóstwo muzyk zabiera się tutaj. Pan Vorlitzer, pianista nadworny króla pruskiego, jest tu już od dwóch tygodni. Ładnie bardzo gra malec. Jest to żydek, a zatem z natury wielce pojętny; dobrze się wyuczył kilku rzeczy, które nam dał słyszeć. Był u mnie; jest to nawet jeszcze dziecko, ma lat 16. Jego *fort* są Waryacye Moschelesa na temat Marsza Aleksandra. Gra je doskonale, zdaje się że nic niepozostaje do życzenia. Dwa razy dał się słyszeć publicznie, oba razy grał te *Waryacye*. Jak go usłyszysz, będziesz z jego gry kontent, chociaż między nami mówiąc, jeszcze wiele mu brak na tytuł jaki nosi. Jest tu jeszcze drugi pianista, Francuz pan Standt, myślał dać koncert; był u mnie i zdecydował się odstąpić od swego zamiaru. Ale jedna z pocieszniejszych muzycznych nowości jest ta, że pan Blahetka, ojciec fortepianistki pisał do mnie z Wiednia, że przyjedzie z córką, jeżeli ja mu radzę, w czasie sejmu, dla dania koncertów.

go Rossi, posła sardyńskiego przy dworcu pruskim w Berlinie, opuściła w roku 1830 scenę, występując już tylko publicznie jako śpiewaczka koncertowa. Skutkiem nieszczęść wszelkiego rodzaju, zmuszona powtórnie rozpocząć karyerę sceniczną, pośród największych tryumfów w Europie i Ameryce, zmarła nagle na cholerę 5 maja 1854 r. w Meksyku.

Delikatna materya. Chce mu się pieniędzy; a jeżeli przypadkiem nadzieja go omyli, miałby żal do mnie. Odpisałem zatem natychmiast, że już od dawna byłem zapytywany, czyli on tego wojażu nie przedsięweźmie i że wiele osób, a szczególniéj ze świata muzykalnego, pragnie córkę jego słyszeć. Lecz zarazem dodałem, iż panna Sontag będzie, że Lipiński przyjeżdża, że jest jeden tylko teatr, w nim koszta przenoszą 100 talarów, że bale będą dawać i t. d. i t. d., żebym nie miał sobie nic do wyrzucenia. Może być że przyjedzie; jabym się cieszył, a dla jego córki wszystkobym z mojéj strony zrobił, chociażby przyszło grać na 2 fortepiany, bo nieuwierzysz ile ten Niemiec był dla mnie dobrym w Wiedniu.

Co z moją podróżą, to teraz niewiem co się stanie. Ja myślę iż czerwiec i lipiec a może i dłużéj, przesiedzę na miejscu dla wielkich upałów. Opera włoska w Wiedniu, dopiero we wrześniu rozpoczyna przedstawienia, a zatem nie ma poco się spieszyć, tem bardziéj, że *Rondo* do nowego *Koncertu* nieskończone, a do tego trzeba natchnienia; nawet się z nim nie spieszę, bo mając pierwsze *Allegro* i *Adagio*, o resztę się nietroszczę. *Adagio* jest w tonie *E-dur*; charakter jego romansowy, spokojny, melancholiczny; powinno czynić wrażenie miłego

spojrzenia w miejsce, gdzie stawa tysiąc lubych przypomnień na myśli. Jest to jakieś dumanie podczas pięknéj wiosennéj nocy, oświetlonéj księżycem. Dla tego też akompanjament skrzypcowy jest z *surdinkami*. Może to będzie źle, ale czemu się wstydzić źle pisać pomimo swéj wiedzy? Skutek dopiero błąd okaże. W tem zapewne miarkujesz właściwość moją do czynienia źle pomimo woli. Tak też pomimo woli przez oczy wlazło mi coś do serca i ciśnie, chociaż się tem lubuję i pieszczę... Może to źle...

Pisz mi więc, kiedy z pewnością będziesz w Warszawie, bo jużby mi przykrzéj było niż pierwszym razem, żebym miał bez ciebie odbyć mój koncert. Nie, ty niewiesz ile ja cię kocham niczem ci tego okazać nie mogę, a już tak dawno pragnę żebyś o tem wiedział. Ach żebym ci mógł rękę uścisnąć, cobym dał za to!...

Warszawa 5 czerwca 1830.

Straciłeś 5 koncertów panny Sonntag! Ale się jéj jeszcze nasłuchasz, jeżeli prawda że 13 przyjeżdżasz. Trzynastego wypada podobno w niedzielę; właśnie zjedziesz kiedy ja będę probować w domu pierwsze *Allegro* IIgo *Koncertu*, korzystając z niebytności panny Sonntag

która mi sama ślicznemi swojemi usteczkami mówiła, że wyjeżdża do Fischbach na wezwanie króla Pruskiego, lecz wraca do nas jeszcze. Nieuwierzysz ile miałem przyjemności w poznaniu bliższem tego *„posłańca boskiego“* jak ją tu słusznie niektórzy zapaleńcy tutejsi nazywają. Książe Antoni Radziwiłł prezentował mnie jéj, za co serdecznie wdzięczny mu jestem. Przez ten jednakże tygodniowy jéj pobyt u nas nie bardzo korzystałem z mojéj znajomości, ponieważ widziałem jak umęczoną zawsze była dziwnie nudnemi wizytami senatorów, kasztelanów, wojewodów, ministrów, generałów i adjutantów, którzy na to tam siedzieli, by jéj w ślepki patrzeć i o pogodzie rozmawiać. Ona ich wszystkich jak najgrzeczniéj przyjmuje, bo jest tak dobrą z duszy, że nie mogłaby być niegrzeczną. Wczoraj jednakże, ażeby na próbę do teatru pojechać, musiała się aż zamknąć w pokoju dla włożenia kapelusza na głowę, gdyż lokaj w przedpokoju nie mógł sobie dać rady z meldowaniem. Nie byłbym u niéj ani razu, ale żądała mię widzieć z powodu jednego śpiewu, który jéj Radziwiłł aranżował, a mnie polecił do napisania. Są to waryacye na *Dumkę* ukraińską; temat i zakończenie ładne, lecz środek nie podoba mi się (ani też pannie Sonntag); zmieniłem go cokolwiek, ale zawsze

nie tęgo wygląda. Kontent jestem że po dzisiejszym koncercie wyjeżdża, ponieważ kłopot mi z głowy spadnie, a tymczasem może Radziwiłł na koniec sejmu nadjedzie i *zrenonsuje* od swoich waryacyi.

Panna Sonntag nie jest piękną, ale miłą do najwyższego stopnia. Czaruje wszystkich swoim głosem który nie bardzo jest wielkim, lecz nadzwyczajnie wyrobionym. Jéj diminuenda są *non plus ultra*; jéj portamenta śliczne; gammy, szczególniéi chromatyczne do góry — przepyszne. Śpiewała nam Mercadantego aryę bardzo, bardzo, bardzo, ładnie; *Waryacye* Rodego, mianowicie ruladową ostatnią, przedobrze. *Waryacye* na temata szwajcarskie tak się podobały, że wywołana, na podziękowanie zamiast wielkich dygów, jeszcze raz je zaśpiewała. Jest to dobroć uosobiona. Wczoraj z waryacyą ostatnią Rodego toż samo było. Śpiewała nam *Cavatiny* z *Cyrulika* i ze *Sroki;* możesz się domyśleć różnicy od wszystkiego co się dotąd słyszało. Śpiewała także aryę z *Freischütza*, nadcudnie. Byłem też raz u niéj, kiedy przyszedł Soliva z pannami Gładkowską i Wołków; wykonały przed nią *Duet* jego kompozycyi co to w nim „*barbara sorte*“ na końcu, zapewne sobie przypominasz? Mówiła mi panna Sonntag, że ich głosy są piękne lecz przekrzyczane; że metodę mają dobrą, ale trzeba żeby innym sposobem głos wydobywały, jeżeli niechcą go zupełnie po dwóch latach takiéj nauki stracić. W oczy przy mnie powiedziała Wołkównie, iż ma wiele łatwości, wiele gustu lecz „*une voix trop aigue*“. Prosiła je bardzo żeby częściéj u niéj bywały, obiecując im ile możności pokazać swoje sposoby śpiewania. Jest to grzeczność nie pospolita; — jest to kokieterya do tego stopnia posunięta, że zupełnie już w naturalność przechodzi. Bo niemożna przypuszczać, aby człowiek mógł zostać tak naturalnym nieznając wszystkich resursów kokieteryi.

W rannym negliżu, panna Sonntag jest milion razy ładniejszą i przyjemniejszą jak w sukni galowéj w wieczór, chociaż ci co ją rano nie widzieli, przepadają za nią. Jak wróci, będzie dawać koncerta aż do 22go. poczem myśli się udać, jak to z jéj ust wiem, do Petersburga. Spiesz więc, przyjeżdżaj, żebyś więcéj nie stracił nad tych 5 koncertów które już dała. Mówią bardzo, że Pasta przyjeżdża; mają razem śpiewać! Jest tu też nijaka panna Belleville francuzka, bardzo ładnie gra na fortepianie, nadzwyczaj lekko, elegancko, dziesięć razy lepiéj od Worlitzera; w przyszłą środę daje koncert. Znajdowała się u dworcu na tym

sławnym wieczorze muzykalnym, na którym śpiewała panna Sonntag; tak więc dwie panny popisywały się. Grał tam także Worlitrer, ale nie bardzo się podobał, co wiem od Kurpińskiego, który u dworu pannie Sonntag akompanjował. Dziwili się ludzie czemu ja nie grałem, — ale ja się nie dziwiłem...

Lecz jeszcze trochę o pannie Sonntag.

Ma ona niektóre broderye zupełnie w nowym rodzaju, któremi ogromne robi wrażenie, nie takie jednak jak Paganini. Może to dla tego, że rodzaj mniejszy. Zdaje ci się, iż ona chucha na parter jakąś wonią z najświeższych kwiatów i pieści rozkoszami głosu, głaszcze, lecz rzadko wzrusza do płaczu. Radziwiłł powiedział jednakże, iż Desdemony scenę ostatnią w *Otellu* tak gra i śpiewa, że nikt się od łez wstrzymać nie może. Właśnie jej o tem mówiłem czyby nie chciała téj sceny nam w kostiumie zaśpiewać (ma być przytem doskonałą aktorką); odpowiedziała mi, że prawda, widziała często łzy w oczach spektatorów, ale ją męczy granie na scenie i dała sobie słowo jak najrzadniéj w rolach występować.

Przyjedź tylko wytchnąć po wiejskich mozołach; panna Sonntag ci zaśpiewa, a odżyjesz, nabierzesz nowych sił do zatrudnień

twoich. Jaka szkoda że zamiast listu, sam się do ciebie posłać nie mogę...

Panna Belleville grała w Wiedniu moje drukowane *Waryacye* i jednę nawet umie na pamięć. Panna Sonntag dzisiaj coś z *Semiramidy* śpiewa. Jej koncerta są krótkie, zwykle 4 razy występuje; między tem nikt nie gra prócz orkiestry i istotnie, potrzeba odpoczynku po jej śpiewie, tak silne robi wrażenie, tak zajmuje...

Warszawa 21 sierpnia 1830.

Drugi to list mój, co do ciebie piszę. Nie wierzysz, powiesz, że Fryc łże? ale tą razą mówi prawdę szczerą.

Szczęśliwie wróciwszy od was do Warszawy, zaraz pisałem do ciebie, lecz ponieważ Rodzice byli w Żelazowej Woli, u hr. Skarbków, więc bardzo naturalnie, że i ja napisawszy list, pojechałem do nich, zapomniawszy oddać go na pocztę. Z powrotem do domu, zastałem list szczęśliwie leżący na tem samem miejscu, gdziem go odjeżdżając zostawił. Nie ma jednak złego, coby na dobre nie wyszło. może w liście dzisiejszym nie będę ci tyle wymyślać ile w poprzednim, gdym świeżo wróciwszy od ciebie, miał ciągle na oczach obraz twego wiejskiego życia. Szczerze ci powiem,

że mi niezmiernie przyjemnie o tem wspominać; jakąś tęsknotę zostawiły mi twoje pola; ta broza płacząca nie może mi wyjść z pamięci. Owa Arbaleta! Oj, pamiętam ja tę Arbaletę, coś ty mię za nią namęczył, za wszystkie grzechyby wystarczyło. Ale trzeba ci zdać sprawę z upłynionego czasu, trzeba ci donieść kiedy niezawodnie wyjeżdżam.

Najprzód zajęła mnie mocno *Agnese* opera Paëra, bo w niej wystąpiła po raz pierwszy Gładkowska. Lepiej jest ona na scenie jak w sali. Nie mówię o grze tragicznej wybornej, bo niema co powiedzieć; co się zaś śpiewu tyczy, żeby nie te *fis* i *g* u góry, nie trzebaby nam w tym rodzaju nic lepszego. Jak frazuje tobyś się rozkoszował; cieniuje głosem przecudnie, a chociaż z początku głos jej się trząsł ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała. Opera była skróconą; może dlatego nieznalazłem w niej błędu nudzącej długości. Romans, który w drugim akcie przy harfie śpiewa Gładkowska, bardzo ładnie wykonała. Byłem zadowolony. Na końcu ją przywołano i rzęsistemi okryto oklaskami [1]). Od dziś za

[1]) Czytelnicy nie będą się zapewne dziwić zajęciu Fryderyka wystąpieniem tej młodej śpiewaczki, gdy im powiemy, iż ona to właśnie jest tym *ideałem*, o którym

tydzień, panna Wołków wystąpi w roli Fiorilli w *Turku we Włoszech*, Rossiniego. Śpiewaczka ta lepiej się zapewne podoba publiczności [1]). Trzeba ci wiedzieć, że opera *Agnes*, strasznie ma wielu antagonistów, którzy nie wiedzą sami dlaczego ganią muzykę. Nie przeczę, iż Soliva mógł był wybrać coś lepszego dla Gładkowskiej. *Westalka* możeby jej więcej szczęścia przyniosła; ale i to jest ładne, muzyka ma wiele rzadkich piękności i przez debiutantkę wybornie zostały oddane.

Ja co robię? Na przyszły miesiąc dnia X wyjeżdżam; wprzód jednakże muszę mój *Koncert* sprobować. bo już *Rondo* skończone...

Warszawa 31 sierpnia 1830.

Już też potrzeba było twego listu; katar straciłem odebrawszy go. Oby moje listy takie zbawienne skutki wywierać mogły!

w jednym z poprzednich listów pisał. O niej myślał, gdy komponował do *Adagic E-mol Koncertu*; ona sercem jego zawładnąwszy, stała się powodem owej tęsknoty i troski, o której czasami wspomina; dla niej zresztą stracił chęć do wyjazdu z Warszawy. Konstancya Gładkowska w rok 1832, wyszła za mąż i opuściła scenę narodową.

[1]) Panna Wołków, koleżanka studyów naukowych Gładkowskiej, także w roku 1836 wyszedłszy za mąż z wielkim żalem publiczności zachwyconej zawsze jej występami, porzuciła zawód teatralny.

Siedzę dotąd w Warszawie, a jak cię kocham, nic mię za granicę kraju nie ciągnie. możesz mi wierzyć, że w przyszłym miesiącu wyjadę, a wyjadę dla zadosyć uczynienia memu powołaniu i rozsądkowi, który musi być bardzo mały, kiedy niema dosyć siły na zniszczenie wszystkiego innego w mej głowie!

W tym tygodniu jeszcze mam cały *Koncert F-moll* z kwartetem probować, dlatego aby się z nim oswoić, porozumieć, bez czego Elsner powiada, próba z orkiestrą nie przyszłaby do razu do ładu. *Trio* probowałem w przeszłą niedzielę; nie wiem, może dlatego, żem go dawno nie słyszał, alem był dosyć *kontent z siebie* (szczęśliwy człowiek powiesz nieprawda?). Tylko mi jeden koncept przyszedł do głowy: żeby zamiast skrzypców użyć altówki, albowiem u skrzypców kwinta najwięcej rezonuje, a w mojem *Triu* najmniej się na niej gra. Altówka więc będzie mocniejszą przeciwko wiolonczelli, która jest we właściwej sobie sferze pisana. I to do druku gotowe. Tyle o mnie; teraz o drugich muzykantach.

Soliwa przeszłej soboty wypuścił na scenę pannę Wołków, która swoją naturalną gracyą, kokieteryą, ładną grą, a ładniejszemi jeszcze oczkami i ząbkami, wszystkie fotele i parter oczarowała. Tak była piękną, jak żadna z na-

szych aktorek, ale w 1 akcie głosu jej poznać nie mogłem od wzruszenia. Grała jednakże tak wybornie, że niktby nie uwierzył, iż to debiutantka. Pomimo ogromnych oklasków i krzyku tak się zlękła, żem ją dopiero w 2 akcie poznał w aryi, odśpiewanej jeszcze nie tak dobrze jak było na próbie i na drugiej onegdajszej reprezentacyi. Co się tyczy śpiewu, Gładkowska jest bez porównania wyżej i widząc Wołkównę na scenie, nie spodziewałem się nawet takiej różnicy. Z Ernemannem zdecydowaliśmy, że nie będzie z niej drugiej Gładkowskiej, co się tyczy czystości intonacyi i wyższego uczucia na scenie. Wołkównie czasami zdarza się spudłować, gdy tamta występując dwa razy w *Agnes*, ani jednej nutki wątpliwie nie wzięła. Widząc ją onegdaj, twoje komplimenta odczytałem, za co bardzo ci podziękować kazała.

Przyjęcie Wołkówny było świetniejsze, aniżeli przyjęcie Gładkowskiej, co musi Włocha obchodzić, bo mi wczoraj powiedział, iż nie życzy sobie, aby się Wołkówna lepiej od tamtej podobała, ale widzi, że tak było. To jednakże w znacznej części przypisać należy operze Rossiniego, którego muzyka na naszej publiczności oczarowanej jeszcze do tego urodą młodej dziewczyny, większe czyni wrażenie od

wszelkich żalów nieszczęśliwej córki i czułych uniesień Paëra. Gładkowska ma wkrótce w *Sroce Złodziej* wystąpić; to *wkrótce*, pewno już wtenczas nastąpi, kiedy ja za rogatkami będę! Ty może wówczas znajdziesz się w Warszawie, to powiesz twoje zdanie. Trzecia jej rola ma być w *Westalce*...

Warszawa, podobno 4 września 1830.

Powiadam ci, że już mię szały napadają mocniejsze jak zwykle. Jeszcze siedzę, — nie mam dosyć sił do wybrania dnia na wyjazd. Myślę, że opuszczam Warszawę po to, żebym nigdy już nie wrócił do domu; myślę, że jadę umrzeć; — a jak to przykro musi być umierać gdzieindziej, pomiędzy obcymi! Jak mi to okropnie będzie widzieć zamiast rodziny, zimnego doktora albo najętego sługę przy łożu śmiertelnem! Wierzaj mi, że nieraz poszedłbym szukać przy tobie spokojności; lecz ponieważ to być nie może, wychodzę z domu, idę na ulicę, tęsknię i wracam do domu, po co? — po to, żeby znowu tęsknić!...

Jeszcze nie probowałem *Koncertu;* jakkolwiekbądź, przed świętym Michałem porzucę wszystkie moje *skarby* i będę w Wiedniu skazany na wieczne wzdychania. Co to jest, gdy

serce obałamucone? Ty, co tak dobrze znasz siłę jego, wytłomacz mi, czemu się to człowiekowi zdaje, iż dzień jutrzejszy lepszym będzie od dzisiejszego? Nie bądź głupim! — to cała odpowiedź, na jaką się zdobyć mogę; — jeżeli masz inną, przyślej mi...

Moje zamiary względem zimy są takie, że w Wiedniu zabawię dwa miesiące, a potem jadę do Włoch, choćby do lata siedzieć w Medyolanie.

Soliva ciągle dyryguje operami, w których jego elewki występują. Powoli, zobaczysz, iż wysadzi z siodła Kurpińskiego; już ma jedną nogę w strzemieniu, a popiera go wąsaty kawalerzysta [1]).

Dziś na niczem kończę list; jeszcze gorzej jak na niczem, bo już na tem com napisał, a to z przyczyny, że wpół do 12tej, a ja nieubrany siedzę i piszę, gdy tymczasem Mariolka na mnie czeka, potem do C. na objad, później u Magnuszewskiego być obiecałem. Nie miałbym więc czasu powrócić przed czwartą do domu dla dokończenia tej ćwiartki aż do dołu... nad jej próżnością boleję.... Egzaltować się w dzisiejszym dniu nie powinienem, bo czuję,

---

[1]) Generał Rożniecki, prezes ówczesny dyrekcyi rządowej teatru.

jakbym się puścił, Mariolkaby mię nie widziała, a ja lubię i drugim poczciwym ludziom zrobić przyjemność, jeżeli przekonany jestem o ich życzliwości. Jeszcze nie byłem u niej po powrocie, a przyznam ci się, że nieraz przyczynę smutku mego na nią zwalę i tym sposobem zdaje mi się, że ludzie wierzą i — spokojny jestem po wierzchu [1]). Ojciec się rozśmieje, coby może, gdyby wszystko wiedział, zapłakał; i ja się rozśmieję, ale tylko powierzchownie, podczas gdy w sercu....

Pojadę kochanie do Włoch; od dziś za miesiąc z Warszawy listu mieć nie będziesz; dopóty, dopóki się nie zobaczymy, niczego się odemnie nie dowiesz. Duby, androny, to jedno co potrafię, ale ruszyć się z Warszawy!... I tobie tak będzie.... doczekasz się przecie tego!...

Niezawsze człowiek szczęśliwy; może tylko kilka chwil w życiu przeznaczonych mu jest, więc czemuż odrywać się jeszcze od tych złudzeń, które i tak długo trwać nie mogą? Jak za najświętszą rzecz uważam związki towarzy-

[1]) Mowa tu o pannie Aleksandrze de Moriolles, córce guwernera, o którym wyżej było wspomniane. Fryderyk ofiarował jej swoje *Rondo à la Mazur* Op. 5, wydane w Warszawie u Brzeziny.

skie z jednej strony, tak z drugiej utrzymuję, że to dyabelski wynalazek i lepiejby było żeby ludzie... ale dosyć już tego... Czas leci, muszę się iść umywać... nie całuj mię teraz... Ale ty, chociażbym się bizantyńskiemi olejkami wysmarował, nie pocałowałbyś mię, gdybym ja ciebie magnetycznym sposobem do tego nie przymusił. Jest jakaś siła w naturze tajemna... Bywaj zdrów!

Warszawa 18 września 1830.

Nie wiem dla jakich przyczyn siedzę, ale mi dobrze; ojciec i matka z tego kontenci.

Probowałem zeszłéj środy mój *Koncert* z kwartetem; kontent byłem ale nie bardzo. Ludzie mówią, że *Finał* najładniejszy (bo najzrozumialszy). Jak się wyda z orkiestrą, napiszę ci w przyszłym tygodniu, bo w tę środę go sprobuję. Jutro jeszcze raz z kwartetem próbę chcę zrobić. Potem jadę, ale dokąd? Kiedy jakoś nigdzie mię nic nie ciągnie. W Warszawie jednak siedzieć nie myślę; jeżeli masz jakie podejrzenie iż mię tu coś serdecznego trzyma, toś w błędzie jak wielu ludzi. Zaręczam ci, że umiałbym być wyższym nad wszystko tam, gdzie idzie o moje *ja*

i gdybym był rozkochanym, parę lat dłużéjbym potrafił ukryć nędzne i niedołężne zapały.

Nie chciałbym z tobą razem jechać. Niezmyślam, ale jak cię kocham, tak zginęłaby ta chwila przyjemniejsza nad tysiące dni jednostajnie razem spędzonych, wktóréj byśmy się pierwszy raz za granicą uścisnęli. Jużbym nie mógł cię oczekiwać, nie mógł gadać jak się to mówi wtenczas, kiedy ukontentowanie zamknie przystęp wszystkim innym wymuszonym wyrazom, a serce jedno z drugiem jakimś boskim rozmawia językiem. Wtedy możebym nie wytrzymał i wygadałbym co mi się zawsze śni, co mam wszędzie przed oczyma, co nieustannie słyszę, co mi najwięcéj w świecie przyjemności sprawia i najwięcéj zasmuca!...

Zacząłem *Poloneza* z orkiestrą, ale dopiero go czuję; kiedy wyjdzie na świat? nie wiem. Gazeta wideńska piękną recenzyę o moich *Waryacyach* napisała. Krótko ale tak bujno, wysoko, głęboko a przytem filozoficznie, że tłomaczyć tego nie można. Kończy, że te *Waryacye* prócz ozdób zewnętrznych, mają wewnętrzną zaletę, która zawsze zostanie. Niemiec mi kompliment napisał; jak go zobaczę to mu pięknie podziękuję. Jednakże niema nie przesadzonego i tak jest, jak ja sobię życzę, bo mi i tu samodzielność przyznaje. Żeby nie tobie, tobym się tak nierozwodził nad sobą, ale że ty mię obchodzisz, a ja bym chciał ciebie obchodzić, więc się zachwalam, jak to kupcy przy towarach zwykli czynić.

Dziś dają poraz pierwszy nowy balet Orłowskiego z ogromnemi machinami; rozpowiadają awantury o zaletach tego baletu [1]). Wczoraj byłem u grubego Ç. na imieninach; grałem *Kwintet* Spohra na fortepian, klarnet. fagot, waltornię i flet. Prześliczny, ale strasznie nie w palce. Wszystko co Spohr chciał wybitniejszego na fortepian napisać, jest niezmiernie trudnem i nie można często palców dobrać [2]). Ten *Kwintet* miał być granym o godzinie 7éj, a zaczęliśmy go o 11téj. Dziwisz się żem nie zasnął? A kiedy taka ładna panna tam była, co mi mój ideał bardzo przypominała. Wystaw sobie, do 3éj po północy siedziałem tam...

Już miałem od dziś za tydzień ruszyć dyliżansem krakowskim do Wiednia, alem dał

---

[1]) Orłowski Antoni, urodzony w Warszawie 1811 r., współkolega Chopina, później dyrektor opery w Rouen, zmarł tamże 1861 r.

[2]) Chopin nie wiedział wtedy, że znakomity ten skrzypek i kompozytor, nie grał sam wcale na fortepianie; ztąd to jego fortepianowe utwory są tak trudne i niepraktyczne w palcowaniu.

pokój; wiem iż mię masz za zupełnie *wyperswadowanego* w tym względzie. Proszę cię tylko, bądź przekonany że i ja o mojem dobru także myślę a jak cię kocham, wszystko dla ludzi poświęcę. Dla ludzi! — to jest dla oka ludzkiego, żeby opinia publiczna która wiele u nas znaczy, nie przyczyniała się do mojego nieszczęścia, nigdy wewnętrznego, tylko powierzchownego; albowiem ludzie nazywają nieszczęściem dziurawy surdut, kapelusz wytarty i tym podobne rzeczy. Jak nie będę miał co jeść, musisz mię do Poturzyna za pisarka przyjąć; będę tam koło stajni mieszkać tak dobrze przy tobie, jak tego roku w samym dworze. Byle mi zdrowie służyło, pracować całe życie pragnę. Zastanawiałem się parę razy nad tem, czy ja istotnie jestem leniwy; czy też ja więcéj pracować powinienem? Bez żartów, przekonałem się, że jeszcze nie jestem z tych ostatnich wałkoniów, że potrafię pracować kiedy potrzeba przymusi i to jeszcze drugie tyle co dziś. Przyznasz, iż nie mogę się lepiéj przed tobą okazać, jak uniewinniając się. Darmo, ja wiem że cię kocham; chciałbym żebyś ty mię także ciągle i coraz więcéj kochał, więc dla tego bazgrzę tyle. Często kto sobie chce polepszyć, pogorsza. Ale ja myślę, że ja u ciebie niczem sobie ani polepszyć ani pogorszyć

nie potrafię. Sympatya jaką mam dla ciebie, zmuszą nadnaturalnemi środkami serce twoje do uczucia podobnejże sympatyi. Ty nie jesteś panem tego co myślisz, ale ja jestem panem myśli mojéj i nie dam się jéj porzucić, tak jak się dają opuszczać drzewa téj zieleni, co im cechę wesołości i życia nadaje... I w zimie nawet będzie u mnie zielono. Zielono w głowie; ale dalibóg zato w sercu największy upał, więc nie ma się czemu dziwić że taka wegetacya!... Dosyć... Twój na zawsze...

Teraz dopiero widzę żem coś nadto naplótł andronów. Widać że jeszcze wczorajsza imaginacya działa, żem się nie wyspał, żem się może zmęczył, bom dużo tańczył mazura...

Twoje listy chowam razem z wstążeczką. Cieszy mie że dwie martwe rzeczy, listy i wstążeczka, mogą się z sobą znosić: Bo chociaż się znają, to czują że z najdroższych mi rąk pochodzą.

Warszawa 22 września 1830.

Przez okazyę łatwiéj ci mogę wytłomaczyć dla czego jeszcze siedzę. Ojciec istotnie nie życzył sobie mojego przed paru tygodniami wyjazdu, a to z powodu zaburzeń jakie w całych Niemczech panują jak to: w prowincyach

nadreńskich, Darmsztadzie, Brunświku, Kasselu i Saksonii, gdzie już także nowy król zasiadł na tronie. Słychać było u nas, że i w Wiedniu parę tysięcy ludzi zaczęło się dąsać z powodu mąki. Co chciano od mąki, nie wiem, ale że coś chciano, to pewna. W Tyrolu także niespokojnie. Włochy wrą jak w ukropie i lada moment oczekują wszyscy jakich ważnych z tamtąd wiadomości. Jeszczem się nie starał o paszport, ale ludzie utrzymują, że go niedostanę tylko do Austryi i Pruss; o Włoszech i Francyi ani myśleć. I to wiem, iż kilku już osobom zupełnie paszportów odmówiono, coby mię jednak spotkać nie powinno. Wyjadę więc pewno w przeciągu kilku tygodni przez Kraków do Wiednia, bo tam znowu sobie odświeżyli pamięć o mnie, co zatem trzeba z tego korzystać.

Wczoraj był u mnie P., jutro bardzo rano wyjeżdża, a ponieważ ja dziś probuję mój drugi *Koncert* z kompletną orkiestrą prócz trąb i kotłów, więc żeby tobie przyjemność zrobić, zaprosiłem go na próbę; niechże ci opowie jak i co było. Wiem iż najmniejsze w tym względzie szczegóły interessują cię. Żałuję iż ciebie tu niema; będą i Kurpiński i Soliva i cały najlepszy świat muzykalny. Lecz tym wszystkim panom wyjąwszy jednego Elsnera,

nie bardzo ja wierzę. Ciekawy jestem jak się patrzeć będzie kapellmeister na Włocha, Czapek na Kesslera, Filipeus na Dobrzyńskiego, Molsdorf na Kaczyńskiego, Ledoux na Sołtyka i wreszcie pan P. na nas wszystkich [1]) Nie było przykładu żeby tych panów wszystkich razem zgromadzonych widziano; mnie jednemu się to uda zrobić i ja to robię dla *osobliwości*!

Szkoda że w taki dzień wypadło mi pisać, w którym myśli do kupy zebrać nie mogę. Jak się nad sobą zastanowię, tak mi się żal robi że jakoś przytomność umysłu często tracę. Jeżeli coś mam przed oczyma co mię zajmuje, mogą mię i konie roztratować. O mało nie miałem tego przypadku onegdaj na ulicy. Uderzony jednem niespodzianem *ideału* mojego spojrzeniem w kościele, właśnie w chwili jakiegoś lubego odrętwienia, natychmiast wybiegłem na ulicę i z kwadrans nie wiedziałem co się zemną stało. Taki czasem waryat się ze mnie robi że aż strach!

Chciałbym tobie posłać kilka bezdusznych rzeczy, które świeżo skomponowałem, lecz nie wiem, czy dziś będę miał czas przepisać.

---

[1]) Czterej ostatni, cenieni w Warszawie amatorowie muzyki; szczególniej Molsdorf i Kaczyński jako wiolonczeliści, uchodzili za bardzo utalentowanych ludzi.

Za dzisiejszy list serdecznie cię przepraszam, ale innego mieć nie możesz. Muszę jeszcze lecieć do Elsnera, aby się zapewnić o jego na próbie bytności, postarać się o pulpity i o surdinki dla orkiestry, o których wczoraj na śmierć zapomniałem; bez nich albowiem *Adagio* upadłoby zupełnie. I tak sądzę, iż powodzenie jego, o ile mi się zdaje, nie będzie zbyt wielkie. *Rondo efektowe*, pierwsze *Allegro mocne*. O przeklęta miłości własna! Ale jeżeli komu, to tobie egoisto winien jestem zarozumiałość o sobie: kto z kim przestaje, takim się staje. Jeszcze w jednem cię naśladuję, to jest: w prędkiem decydowaniu się... lecz mam szczerą chęć po cichu, nie mówiąc nic nikomu, zdecydować się wyjechać od soboty za tydzień, bez pardonu, mimo lamentów, płaczu, narzekania i padania mi do nóg. Nuty w tłomok, wstążeczka na sercu, dusza na ramieniu i w dyliżans. Łzy jak groch padać będą ze wszech stron, wzdłuż i wszerz miasta, od Kopernika do Zdrojów, od Banku do kolumny króla Zygmunta. A ja jak kamień zimny i nieczuły, śmiać się będę z biednych ludzi, co mię tak czule żegnać będą... Słowa posiłkowego za często używam, ale to dziś tylko; bo żeby nie to, iż ty daleko, daleko, het gdzieś za Hrubieszowem, to byłbym ci *kazał* przyjechać, a wiem,

że lubiłbyś (choć za pokutę za inne twoje grzechy), drugim ludziom pociechę przynieść, choćbyś ich nawet nie cierpiał...

Warszawa 5 października 1830.

Twojego listu trzeba mi było, abym mógł się trochę uspokoić. Nie uwierzysz, jak mię tu już wszystko niecierpliwi, nudzi, z powodu przeklętego bałamuctwa, na które nic poradzić nie mogę!..

Po próbie orkiestrowej mojego 2go *Koncertu*, stanęła decyzya, żeby go publicznie grać i w przyszły poniedziałek, to jest 11 tego miesiąca występują z nim w teatrze. Jak z jednej strony nierad jestem temu, tak z drugiej ciekawym ogólnego efektu. Myślę, że *Rondo* na wszystkich zrobi dobre wrażenie. Na to bowiem *Rondo* powiedział do mnie Soliva: „*il vous fait beaucoup d'honneur*". Kurpiński o oryginalności, Elsner o rytmie prawił. Żeby jednakże (ponieważ mogę złożyć co się zowie piękny wieczór) nie było owych nieszczęśliwych klarnetów albo fagotów między fortepianem, więc w pierwszej części Gładkowska, w drugiej Wołkówna śpiewać będą. Na uwerturę nie dam ani *Leszka* ani *Lodoiski* zwykle grywanych, ale *Wilhelma Tella*. Com miał biedy, nim te panny pozwo-

lenie uzyskały śpiewania, nie uwierzysz. Włoch najchętniej pozwolił, ale wyżej kazali mi się udać aż do ministra Mostowskiego, który najchętniej (bo mu to wszystko jedno) pozwolił [1]). Co będą śpiewać, jeszcze nie wiem, to tylko mi mówił Soliva, że chóry potrzebne do jednej aryi.

Najdalej w tydzień po koncercie, nie ma mię już w Warszawie. Już kuferek do drogi kupiony, już cała wyprawa gotowa, partycye poprawione, chustki do nosa obrębione, nowe spodnie przymierzone i t. d. i t. d. Tylko się żegnać... a to najprzykrzejsze!..

Warszawa 12 października 1830.

Kochany mój! — Wczoraj koncert udał się, — pospieszam z tem doniesieniem. Powiadam aspanu, żem się wcale a wcale nie bał, a grałem tak, jak kiedy sam jestem. Dobrze było. Sala pełna. Goernera *Symfonia* zaczęła; potem moja mość wykonała 1 *Allegro E-moll Koncertu*, które jak z płatka wywinąłem na Streicherowskim fortepianie. Brawa były hu-

[1]) Gładkowska i Wołkówna były kształcone na śpiewaczki kosztem rządu, ztąd zależność ich od ministerstwa spraw wewnętrznych.

czne. Soliva kontent; dyrygował z powodu swojej Aryi z chórem, którą panna Wołków ubrana niebiesko i wyglądająca jak aniołek, odśpiewała. Po tej Aryi *Adagio* i *Rondo* nastąpiło, poczem pauza między pierwszą a drugą częścią.

Gdy wrócono z bufetu i poschodzono ze sceny, gdzie wielu przybyło dla zdania mi korzystnego raportu o sprawionym efekcie, zaczęła się 2 część od *Uwertury z Wilhelma Tella*. Soliva doskonale nią dyrygował i wielkie zrobiła wrażenie. Istotnie, tą razą Włoch tyle dla mnie grzeczności okazał, że trudno mu nie być wdzięcznym. Dyrygował potem Aryą panny Gładkowskiej, biało z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubranej, która odśpiewała *Cavatinę* z *la Donna del Lago* z recitatiwem, tak jak (prócz aryi w *Agnes*) nic jeszcze nie śpiewała. Znasz to: „*O! quante lagrime per te versai*“. Powiedziała „*tutto detesto*“ aż do *h* dolnego tak, że Zieliński utrzymywał, że to jedno *h* tysiąc dukatów warte! Po odprowadzeniu panny ze sceny, wziąłem się do odegrania *Potpourri* z polskich pieśni. Tą razą i ja się zrozumiałem i orkiestra się zrozumiała i parter się poznał. Teraz dopiero ostatni *Mazur* wzbudził duże brawo, po którym (zwyczajna facecya), wywołano mię i — ani razu nie syknięto;

a ja miałem czas cztery razy się ukłonić, ale już po ludzku, bo mię Brandt nauczył. Gdyby był Soliva nie wziął moich partytur do domu, nie przejrzał i nie dyrygował tak, że nie mogłem lecieć na złamanie karku, nie wiem, jakby wczoraj było. Ale tak nas umiał zawsze wszystkich utrzymać w karbach, że nigdy, powiadam ci, jeszcze nigdy z orkiestrą tak mi się spokojnie grać nie zdarzyło. Fortepian bardzo się miał podobać, a panna Wołków jeszcze bardziej!

Ja już o niczem nie myślę, tylko o pakowaniu rzeczy; w sobotę albo we środę ruszam w świat!...

Twój
Fryderyk“.

Tak ten ostatni koncert, jako i dwa poprzednie, stał się powodem do gorących i pochlebnych dla Chopina w dziennikach ówczesnych warszawskich artykułów. Porównywano go z najznakomitszymi europejskimi wirtuozami, przepowiadano mu przyszłość najświetniejszą i mówiono: „że Polska szczycić się kiedyś będzie jednym z największych wykonawców i kompozytorów w Europie“ i t. p. i t. p.

Nadszedł nareszcie smutny i w życiu młodego artysty stanowczy dzień rozstania; miał

opuścić na długo wszystko, co najmocniej kochał: kraj, rodzinę, przyjaciół i tę, dla której zapłonął idealną miłością! Dnia 2 listopada, okryty błogosławieństwy ojca i matki, łzami i czułemi uściskami wielbiących go sióstr, wyjechał z Warszawy na Kalisz, gdzie miał się połączyć z Tytusem Woyciechowskim, który na wielką radość Fryderyka, zdecydował się w ostatniej chwili, odbyć z nim wspólnie tę podróż za granicę. Liczne grono przyjaciół, z szanownym Elsnerem na czele, oczekiwało go już w Woli, gdzie koledzy w sztuce i uczniowie Konserwatoryum, wykonali na pożegnanie *Kantatę*, umyślnie w tym celu przez Dmuszewskiego i Elsnera napisaną; oto jej treść:

Zrodzony w polskiej krainie,
Niech twój talent wszędzie słynie.
A gdy będziesz nad Dunajem,
Spreją, Tybrem lub Sekwaną,
Niechaj polskim obyczajem,
Ogłaszanemi zostaną,
Przez twe zajmujące tony,
Co umila nasze strony,
Mazur i *Krakowiak* luby.
Ztąd szukaj zaszczytu, chluby,
Nagrody, talentu, trudów,
Że głosząc pieśń naszych ludow,
Jako ich współziomek prawy,
Przydasz wieniec do ich sławy.

CHÓR.

Choć opuszczasz nasze kraje,
Lecz serce twoje w pośród nas zostaje;
Pamięć twego talentu istnieć u nas będzie,
Życzymy ci serdecznie pomyślności wszędzie.

W czasie biesiady wyprawionej na cześć odjeżdżającego, wręczono Fryderykowi puhar srebrny z odpowiednim napisem, napełniony rodzinną ziemią. Na widok tej pięknej symbolicznej pamiątki, łzy zrosiły oblicze jego.

Uścisnąwszy po raz ostatni dłonie przyjaciół, Fryderyk puścił się w świat daleki!

ROZDZIAŁ VII.

Treściwy pogląd na stan muzyki w Niemczech i we Włoszech pomiędzy rokiem 1827 a 1830. — Pobyt Chopina w Wrocławiu, Dreznie, Pradze i Wiedniu.

W chwili gdy Chopin udawał się zagranicę dla dalszego kształcenia w swéj sztuce, muzyka w Niemczech jakkolwiek ogólnie biorąc dosyć wysoko stała, przecie instrumentalistom brakło jeszcze owego rozwinięcia technicznego, które późniéj pozwalało im do takiéj świetności wykonania doprowadzić muzykę koncertową i tak nazwaną *Kammermusik*. Z głośniejszych fortepianistów, Field, Cramer, Klengel, uczniowie Clementiego; Hummel uczeń Djonizego Webera, schodzili już z pola, na którem szczególniéj Field jako wykonawca, Hummel jako wykonawca i kompozytor, zasłużonym cieszyli się rozgłosem. Kalkbrenner,

mianowicie po ostatniéj swojéj koncertowéj po Niemczech podróży 1827 roku, będącéj istnym dla niego tryumfem, uchodził powszechnie za najznakomitszego fortepianistę, za nim podążali z większem lub mniejszem powodzeniem Moscheles, Alojzy Schmitt, Henryk Herz, późniéj Thalberg, Mendelssohn i wielu innych. Nie byli to więc z wyjątkiem Kalkbrennera, zbyt groźni dla Chopina współzawodnicy.

Co się zaś tyczy utworów fortepianowych i orkiestrowych Beethovena, nigdzie już z małemi bardzo wyjątkami, słyszeć takowych nie można było. Największy ten geniusz muzyczny naszego wieku, od lat trzech spoczywał w grobie; ani publiczność nie czuła potrzeby słuchania nieporównanych utworów jego, ani też muzycy fachowi chcieli do nich ręki swojej przykładać. Przygniatani od lat tylu wielkością geniuszem Beethovena, wszyscy prawie kompozytorowie tudzież kapellmeistrzy, zionęli dla niego zazdrością lub nienawiścią dziwnie zapalczywą. Świat zdawało się, zapomniał o Beethovenie; to było im na rękę; oni ostatni byliby mu go przypomnieli. Bjograf jego Schindler powiada, iż około 1830 roku, muzyka twórcy *Fidelia*, wyrzuconą została z teatru i repertoaru koncertowego, najwięcéj jeżeli czasami jego większe dzieło wykonano w to-

warzystwie tak nazwanem *Concerts spirituels* [1]), albo jeżeli Schuppanzigh ośmielił się zagrać który z większych *kwartetów* jego i to zazwyczaj, publiczność wykrzywiała się nieukontentowana, jakby ją zmuszano do zażycia cierpkiego lekarstwa. *Sonaty* zniknęły z pulpitów fortepianowych, jakby z mistrzem co je do życia powołał, położyły się na wieki do grobu. Owe wspaniałe arcydzieła, chlubne pomniki wielkości muzycznéj XIX wieku: *Missa solennis*, *Koncerta* na fortepian i skrzypce, uważano podówczas za rzeczy dziwaczne, monstrualne, pod względem technicznym za nie podobne prawie do wykonania. Tylko mała bardzo liczba wybranych wirtuozów, odważała się i to pomiędzy sobą jedynie, przeglądać takowe jako *curiosum*, lecz ogół publiczności właśnie z tego powodu ani mógł, ani był w stanie wielkich i wspaniałych tych utworów należycie pojmować i oceniać. Beethoven za życia jeszcze, był świadkiem odstręczenia się ogółu od dzieł swoich, a kiedy muzyka włoska pomiędzy 1825 a 1830, zapanowała powszechnie na scenach

---

[1]) Od roku 1827 do 1831, a zatem w ciągu lat czterech, raz tylko w sali *Gesellschafts Concerten* w Wiedniu, wykonano *C-moll* Symfonię Beethovena. *(Geschichte des Concertwesen in Wien.* G. Hanslicka).

niemieckich, twórca 9téj *Symfonii* widząc co się dzieje, zawołał razu jednego: „Nikt mi jednak nie zabierze miejsca, jakie posiadam w historyi muzyki! „Wyrażenie to dowodzi, iż Beethoven wierzył w przyszłość i ta myśl pocieszała go w chwilowem niepowodzeniu.

Lepiéj pod tym względem działo się w teatrach niemieckich, ale i tu nawet dzieła Mozarta, Karola Maryi Webera, że już pominiemy Weigla, Wintera, Spohra, ustępowały miejsca operom Rossiniego. Było bowiem wtedy modą, należało do dobrego tonu, słuchać tylko muzyki włoskiéj albo zresztą francuskiéj, gdyż Auber stawał się także w Niemczech coraz więcéj popularnym, jego dzieła poczynały być wszędzie z uniesieniem przyjmowane.

We Włoszech jednakże, chociaż muzyka instrumentalna powstała znacznie w tyle, lubo ojczyzna Corellich, Tartinich, Scarlatich, Clementich, przestała dostarczać reszcie Europy owych wielkich wirtuozów i przewodników pięknego a szlachetnego na skrzypcach i fortepianie stylu, istniał przecie jeszcze największy bieżącego stulecia skrzypek Paganini, co sam jeden starczył za całą plejadę wirtuozów. Paganini w roku 1829 występował z koncertami w Warszawie, a cudowna gra jego tak olbrzymie wywarła na Fryderyku wrażenie, iż przez

resztę życia swojego wspominał o nim z najwyższem uwielbieniem. Na tejże samej włoskiej ziemi, obok tego tytana instrumentalnej muzyki, dojrzał na wielkiego artystę ziomek nasz Karol Lipiński. Lecz co było głównym zawsze powodem wędrówek w tamte strony artystów całego świata, to niezrównana piękność dramatycznego włoskiego śpiewu, co od najdawniejszych czasów tam jedynie słyszeć było można. Podobnie świetny w historyi sztuki muzycznej peryod, jaki jeszcze miał miejsce we Włoszech pomiędzy 1825 a 1835 rokiem, może się już nigdy nie powtórzy. Tradycya bowiem wielkiego w śpiewie stylu, pod wpływem społecznych i politycznych przemian, pod wpływem wreszcie nowożytnych kompozytorskich i teatralnych wymagań, niknie z dniem każdym.

W epoce, gdy Chopin zamierzał udać się do Włoch, prześliczne głosy: Catalani, Pasty, Grisi, Garcii-Malibran, Rubiniego, Tamburiniego, Lablacha, Gallego i niektórych innych, uczuciem niewysłowionych rozkoszy napełniały dusze italskiego półwyspu miłośników muzyki. Ponieważ życie polityczne nie istniało tam prawie, a nawet wszelkiemi sposoby tłumiono jego objawy, więc wszystkie uczuć zapały, przynosili Włosi do sztuki, do teatru, wielbiąc namię-

tnie artystów, co dusze ich w zachwycenie wprawiać byli w stanie.

Obok dramatycznych utworów Rossiniego, panujących dotąd wszechwładnie na scenach włoskich znamienitszych, poczęły się ukazywać nowe, pisane przez młodych utalentowanych kompozytorów, jakimi byli: Bellini, Donizetti i Mercadante. Jednem słowem, sztuka była tam w pełnym rozkwicie i postępie, a kto chciał słyszeć śpiew wielki, piękny i skończony, tylko w ojczyznie Cimarosy mógł go posłyszeć. W ślad więc za innymi i nasz Fryderyk, do tej kolebki sztuk pięknych podążał.

Któż dzisiaj może przesądzać, jak wielkie ziemia włoska, wraz z jej muzyką i jej mistrzami, na czułej i wrażliwej duszy Chopina uczyniłaby wrażenie? Już sam rozkoszny klimat, tak sprzyjający organizacyi naszego młodego ziomka, przy innych artystycznych powabach, jakich nigdzie w równym stopniu doznaćby nie mógł, byłby go zapewne zniewolił do dłuższego tam pobytu. Jako wirtuoz, Chopin nie miałby wprawdzie godnych siebie zapaśników, lecz znalazłby tam wielkich mistrzów melodyi, a chęć naśladowania ich, wyrównania albo też współzawodniczenia z nimi, bardzo łatwo mogła się w nim rozbudzić. Jako ukształcony dostatecznie muzyk, potrzebował tylko

oswoić się z mechanizmem głosu ludzkiego z warunkami kompozycyi scenicznej, nabrać wprawy i doświadczenia we władaniu całym tym materyałem, jakiego nowożytna sztuka muzyczno dramatyczna na teatralne posługi używa. We Włoszech nastręczała mu się właśnie wyborna sposobność, bo takich jak tam kompozytorów, śpiewaków; takiej publiczności, któraby z równą namiętnością kochała muzykę i uwielbiała artystów, nigdzie na świecie nie było. Kto wie, czy łatwe tryumfy, jakichby niechybnie doświadczył Chopin we wszystkich miastach półwyspu jako fortepianista tylko, nie byłyby mu spowszedniały; czyliby nie zapragnął wyższą jaką i efektowniejszą kompozycyą przemówić do tego żywego a pełnego muzykalnych uczuć ogółu i zyskać tym sposobem jego poklask i uznanie? Scena była ku temu najstosowniejszem polem, a raz tylko sprobowawszy na niej sił swoich twórczych, niepodobna przewidzieć, gdzieby geniusz takiego jak Chopin artysty mógłby się oprzeć i zatrzymać. Niegdyś, 14 letni Mozart także jako wirtuoz na fortepianie, udał się do Włoch, by tam dać się poznać i nawzajem, by posłyszeć, co było godnego słyszenia; i otóż nie poprzestając na łatwem powodzeniu, jakie mu cudowna i nad wiek doskonała gra na fortepianie spro-

wadzała, zapragnął napisać operę i szukać dla siebie tryumfu na scenie. Napisał więc w Medyolanie pierwsze swoje teatralne, poważne dzieło pod tytułem: *Mitridate*, *Re di Ponto* (1770), a powodzenie jakiego doznało, zaszczepiło w nim gorące pragnienie poświęcenia się głównie teatrowi. Mozart udał się do Włoch jako fortepianista, powrócił z nich kompozytorem dramatycznym.

Dla artysty muzycznego, tryumfy sceniczne były zawsze najświetniejszemi ze wszystkich, jakich tylko można było doznać we Włoszech. Wieść o nowej z powodzeniem wystawionej operze, rozchodziła się natychmiast po całym kraju z tą samą gorączkową, namiętną gwałtownością, z jaką lud włoski przysłuchiwał się i podziwiał kompozytorów i śpiewaków swoich. Dosyć tam było napisać jedną operę, aby cały półwysep napełnić rozgłosem swego imienia, aby od stu teatralnych przedsiębierców, otrzymać tyleż wezwań i próśb o jej wystawienie. Meyerbeer, ów głośny później twórca *Roberta Djabła*, w początkach swojego zawodu probował znaleść powodzenie na scenie niemieckiej, wystawiając kilkakrotnie mniejszego rozmiaru operetki; ale ani publiczność, ani krytyka nie były z nich zadowolone. Zrażony i zniechęcony, porzucił swą ojczyznę, przybył

do Wiednia, niepewny co dalej z sobą czynić. Już nawet zamierzał porzucić zupełnie zawód kompozytorsko-dramatyczny, a poprzestać na kształceniu gry fortepianowej, ile że na tym instrumencie biegle bardzo grywał, gdy Salieri, sławny podówczas twórca wielu oper przedstawianych w Wiedniu z powodzeniem, poradził mu udać się do Włoch, a nierzucając fortepianu, przysłuchiwać się operom i śpiewakom włoskim. Jakoż w lat kilka, ośmielił się napizać operetkę, która tamże dobrego doznała przyjęcia; to zachęciło go do dalszej pracy, aż w końcu przyswoiwszy sobie zupełnie styl włoski i nabrawszy niepośleniej wprawy do tworzenia dzieł dramatycznych, napisał sławną operę *Crociato in Egitto*, która imię jego uczyniła głośnem na całym półwyspie i następnie otworzyła mu wrota wszystkich teatrów europejskich.

Otóż to samo mogło się stać z Chopinem. Nie inaczej też zapewne myślał w tym względzie Elsner, kiedy głównie wpływem swoim skłonił ojca Fryderyka do wysłania go przedewszystkiem do Włoch... Ale czas już wrócić do naszego młodego artysty.

Pożegnawszy w Woli przyjaciół, opuszczał Fryderyk Warszawę z wiarą i nadzieją świetnej dla siebie przyszłości, lecz zarazem z głę-

boką raną w sercu. Tęsknota do istoty przez niego uwielbianej, tem więcej się wzmagała, im więcej od niej się oddalał. Szczęściem, unosił na palcu pierścień Konstancyi, podarowany mu przez nią jako pamiątka na drogę. Okrywając go namiętnemi pocałunkami, czynił niejako ulgę stroskanej duszy swojej, wydzierającej się gwałtem do tych, co kochał, a do których niestety nie miał już nigdy powrócić!

Przybywszy do Kalisza, zajechał wprost do doktora medycyny Helbicha, dawnego domu Chopinów przyjaciela, gdzie oczywiście doznał jak najgościnniejszego przyjęcia. Namawiano go, aby dał w Kaliszu koncert; on jednak nie chciał słyszeć o czemś podobnem. Raz dlatego, że wstępne przygotowania zebrałyby mu wiele czasu, a potem licha i szczupła miejscowa orkiestra, zniechęcała go do podobnego przedsięwzięcia. Skoro Woyciechowski nadjechał, nie tracąc czasu, ile że pogoda była bardzo przyjazna, zgodzili zaraz furmana za 12 talarów i dnia 5 listopada, udali się w drogę do Wrocławia.

Niechże teraz Chopin sam opowie czytelnikom dalszy ciąg przygód z tej epoki życia doznanych.

„Wrocław, wtorek 9 listopada 1830 r.

Najukochańsi Rodzice i Siostry moje!

Jak najwygodniej i przy najlepszej pogodzie zajechaliśmy w sobotę o godzinie 6tej z wieczora. Stanęliśmy *zur goldenen Gans*. Poszliśmy zaraz na teatr, gdzie dawano *Króla Alpejskiego*, który u nas ma być dopiero wystawionym. Dziwił się parter nowym dekoracyom, ale my nie mieliśmy ich za co podnosić. Artyści grali nieźle. Onegdaj dawano tu operę *Mularz i Ślusarz* Aubera — źle. Dziś *Przerwana Ofiara* Wintera; ciekawy jestem jak się powiedzie. Nie tęgich mają śpiewaków; teatr zresztą bardzo tani, miejsce na parterze kosztuje 2 złp. Tym razem Wrocław lepiej mi się podobał.

List do Sowińskiego oddałem; zaledwie raz widzieć się z nim mogłem; był on u nas wczoraj, lecz nie zastał. Znajdowaliśmy się właśnie w tutejszej resursie, gdzie Schnabel kapellmeister prosił, ażebym był obecny próbie z mającego się dać wieczorem koncertu. Takich koncertów dają tu trzy na tydzień. Zastałem tam nielicznie jak zwykle zebraną na próbę orkiestrę, fortepian i jakiegoś Referendarjusza amatora, nazwiskiem Hellwig, gotującego się

do odegrania pierwszeeo *Es-dur Koncertu* Moschelesa. Nim on zasiadł do instrumentu, Schnabel, co mię od czterech lat nie słyszał, prosił, ażebym sprobował fortepian. Trudno było odmówić, siadłem i zagrałem parę waryacyj. Schnabel się niezmiernie ucieszył, pan Hellwig stchórzył, inni zaczęli mię prosić, ażebym wieczorem dał się słyszeć. Szczególniej Schnabel tak szczerze nalegał, że nie śmiałem staremu odmówić. Jest to wielki przyjaciel pana Elsnera; alem mu powiedział, że uczynię to tylko dla niego, bo anim grał przez parę tygodni, ani się myślę w Wrocławiu popisywać. Stary mi na to: że wie o tem wszystkiem i że chciał mię już wczoraj widząc w kościele o to prosić, ale nie śmiał. Pojechałem tedy z jego synem po nuty i zagrałem im *Romans i Rondo* z II *Koncertu*. Na próbie dziwili się Niemcy mojej grze: „*Was für ein leichtes Spiel hat er*“, mówili, a o kompozycyi nic. Nawet Tytus słyszał, jak jeden mówił: „że grać mogę, ale nie komponować“. *Nota bene*, onegdaj *à table d'hote*, siedział naprzeciwko nas jakiś jegomość miłej

[1]) Schnabel Józef Ignacy, urodzony w Naumburgu na Szląsku 1767, umarł 1831 r. Jako dyrektor i kompozytor muzyki kościelnej, Schnabel w Wrocławiu wielce był cenionym.

bardzo powierzchowności. Wdawszy się z nim w rozmowę, poznałem że jest znajomym Scholtza z Warszawy i przyjacielem tych panów, do których mam od tegoż listy. Był to kupiec imieniem Scharff, nadzwyczaj grzeczny; oprowadzał nas po całym Wrocławiu; zgodziwszy sam fiakra, woził po piękniejszych spacerach. Nazajutrz zapisał nas do Bursy i nakoniec wystarał nam się o *Fremdenkarten* na wczorajszy koncert i przed próbą nam takowe przysłał. Jakie musiało być jego i tych panów co mi kartę się wystarali zdziwienie, gdy ten *Fremder* stanowił główną figurę muzykalnego wieczoru. Prócz *Ronda*, improwizowałem jeszcze dla znawców na temat z *Nieméj z Portici*. Poczem na zakończenie odegrano *Uwerturę*, a po niej nastąpiły tańce. Schnabel chciał mię traktować kolacyą, alem nic prócz bulijonu nie przyjął.

Poznałem się naturalnie z tutejszym *Oberorganistą* panem Köhler; dziś obiecał mi pokazać organy; poznałem także jakiegoś barona czy kiego djabła, nazwiskiem Nesseczy Neisse, ucznia Spohra, sławnie jak powiadają na skrzypcach grającego. Drugi miejscowy znawca i muzyk, co po całych Niemczech podróżował nazwiskiem Hesse, także mi komplimenta gadał, ale prócz Schabla na którym widać było pra-

wdziwą radość, który mię co chwila brał pod brodę i głaskał, żaden z Niemców niewiedział co robić. Tytus miał uciechę patrząc na nich. Ponieważ ja jeszcze nie mam ustalonéj reputacyi, więc dziwiono się i bano dziwić; nie wiedzieli czy kompozycya dobra, czy też im się tak tylko wydaje. Jeden z tutejszych znawców przybliżył się do mnie i chwalił nowość formy mówiąc, że mu się nic jeszcze w téj formie nie zdarzyło słyszeć. Nie wiem kto to był, ale ten mię może najlepiéj zrozumiał. Schnabel pełen największych grzeczności, ofiarował mi nawet powóz, aleśmy się po 9 tej, jak zaczęli tańcować, wynieśli do domu.

Kontent jestem żem staremu zrobił przyjemność.

Jakaś dama, któréj mię jako pierwszéj tutaj fortepianistce prezentował dyrektor po koncercie, bardzo mi dziękowała za przyjemną niespodziankę i żałowała, że się publicznie nie dam słyszeć. Referendarjus pocieszając się, śpiewał aryę Figara z *Cyrulika*, ale — nędznie.

O Elsnerze dużo wczoraj mówiono i chwalono jakieś jego *Waryacye* na orkiestrę z *Echem*; powiedziałem, że gdyby jego koronacyjną *Mszę* usłyszeli, dopieroby mogli powiedzieć co to za kompozytor. Straszne tu Niemcy,

przynajmniéj wczorajsze towarzystwo; nasz pan Scharff jest wyjątkiem.

Jutro o 2giej wyjeżdżamy do Drezna.

Buzi! buzi! buzi!

Panom: Żywnemu, Elsnerowi,
Matuszyńskiemu, Kolbergowi,
Marylskiemu, Witwickiemu,
najprzyjemniejsze zasyłam ukłony.

Drezno, 14 listopada 1830.

Ledwom znalazł momencik, ażeby wam słów kilka donieść o sobie. Wracam z objadu polskiego to jest: na którym sami Polacy się znajdowali. Jeszczem ich zostawił, sam wróciłem pisać, gdyż poczta o 7méj odchodzi, a ja pragnąłbym dzisiaj jeszcze słyszeć powtórnie *Niemę z Portici*.

Z Wrocławia nie chciało nam się bardzo wyjeżdżać; bliższa znajomość z tymi panami do których mi Scholz dał listy, wiele nam to miasto uprzyjemniła. Tutaj zaś pierwsza moja wizyta była do panny Pechwell. Grała ona w piątek w tutejszéj resursie i wyrobiła mi tam wejście. Tego samego wieczora dawano w teatrze *Niemę;* trudny był wybór, ale ponieważ pannie należało koniecznie nadskoczyć, a zatem udałem się na wieczór. Druga ważna

przyczyna która mię tam powiodła, była wiadomość, że na nim da się słyszeć najlepsza tutejsza śpiewaczka, włoska rodem, nazwiskiem Palarresi. Ubrawszy się więc jak najładniéj, posłałem po lektykę; wsiadłem w to dziwne pudło i kazałem się zanieść do domu Kreissiga, miejsca gdzie ten muzykalny wieczór miał się odbyć. Przez drogę śmiałem się z siebie, gdy mię nieśli owi liberyjni lektykarze; miałem wielką ochotę wybić dno, ale dałem pokój. Dorożka ta, aż na same schody mię poniosła. Wysiadłem, kazałem się pannie Pechwell zameldować; wyszedł więc gospodarz z ukłonami, wielkiemi grzecznościami i mnóstwem komplimentów wprowadził mię do sali, w któréj po obu stronach ośmiu ogromnych stołów, mnóstwo siedzących dam spostrzegłem. Nie tyle brylanty jakie je zdobiły, ile druty w oczach mi się migały. Bez żartów, liczba dam i drutów była tak wielką, że można się było obawiać jakiego przeciwko mężczyznom powstania, które chyba okularami i łysinami przyszłoby zwalczyć; szkieł bowiem mnóstwo, a coraz to goła skóra.

Szczęk tych drutów, jako też i filiżanek od herbaty, przerwała raptem z drugiego końca salonu dochodząca muzyka. Grano najprzód *Uwerturę z Fra Diavola*, poczem włoszka owa

śpiewała — nie źle. Wdałem się z nią w rozmowę; poznałem także jéj akompanjatora p. Rastrelli, drugiego dyrektora tutejszéj opery i pana Rubiniego, brata tego sławnego śpiewaka, z którym mam nadzieję zjechać się w Medyolanie. Grzeczny Włoch, obiecał mi list do brata; więcéj nie trzeba. Tak dalece był on uprzejmym, iż wczoraj zaprowadził mię na próbę nieszporów kompozycyi Morlacchego, tutejszego nadwornego kapellmistrza. Przypomniałem mu się przy téj sposobności; posadził mię natychmiast obok siebie i dużo ze mną rozmawiał. Nieszpory te śpiewane dzisiaj były przez sławnych neapolitańskich sopranistów nazwiskiem: Sassarolli i Tarquinio; na skrzypcach zaś *obligato* grał Rolla, głośny tutejszy koncertmeister, do którego miałem kartkę od Solivy. Poznałem go, obiecał mi list do swego ojca, dyrektora medyolańskiéj opery. Ale wróćmy do wieczoru.

Panna Pechwell grała na fortepianie, a ja pogadawszy z tym i owym, udałem się na *Niemę*. Nie mogę o niéj sądzić, bom jéj całéj nie słyszał. Dziś dopiero wieczorem będę mógł o niéj coś stanowczego powiedzieć.

Idąc rano do Klengla, spotkałem go przed domem; poznał mię od razu i tyle był uprzejmym, że aż mię ujął za serce. Szanuję go

bardzo. Prosił (zapytawszy wprzód jednakże o moje mieszkanie), żebym go jutro rano odwiedził. Zachęcał do publicznego wystąpienia, ale ja na to głuchy. Nie mam czasu do stracenia, a Drezno nie da mi ani sławy ani pieniędzy.

Generał Kniaziewicz, któregom widział u pani Pruszakowéj, mówił takie o koncercie, lecz zapowiedział że nie wiele przyniesie.

Wczoraj byłem na włoskiéj operze, ale źle wykonanéj; gdyby nie *solo* Rolli i nie śpiew panny Hähnel z wiedeńskiego teatru, która wczoraj jako Tancredi debiutowała, to nie byłoby co słyszeć. Król otoczony całym dworem, znajdował się w teatrze, równie jako i dzisiaj na wielkiéj Mszy w kościele. Grano *Mszę* barona Miltitza, jednego z tutejszych panów, pod dyrekcyą Morlacchego. Głosy Sassarolli, Muschetti, Babnigga i Zezi, najlepiéj mi się podobały. Sama zaś kompozycya — nietęga. Dotzauer i Kummer, sławni tutejsi wiolonczelliści, mieli kilka *sol*, które pięknie odegrali; zresztą nic szczególnego. Oprócz mojego Klengla, przed którym jutro zapewne będę się musiał popisywać, nie ma tu nie godnego uwagi. Lubię z nim rozmawiać, bo od niego można się coś nauczyć.

Prócz galeryi obrazów, nic powtórnie w Dreznie nie oglądałem; *grüne Gewölbe* dosyć raz widzieć.

Praga 21 listopada 1830.

W Dreznie tak mi tydzień zeszedł, żem się nie spostrzegł. Jak rano z domu wyszedłem, tak nie wracałem jak na noc. Klengel, gdym się z nim bliżéj poznał to jest: gdym mu zagrał moje *Koncerta*, powiedział, żem mu przypomniał grę Fielda, że mam rzadki sposób uderzenia, że wprawdzie wiele słyszał o mnie, ale nic spodziewał się nigdy ażebym był takim wirtuozem. Nie były to czcze komplimenta, bo mi się przyznał iż nie lubi nikomu podchlebiać, ani też przymuszać się do pochwał. Więc natychmiast skorom od niego wyszedł (a siedziałem u Klengla całe rano do 12 tej), poszedł do Morlacchiego i do Lüttichau *generał-direktora* teatru, dowiedzieć się, czyby nie można żebym się dał słyszeć, w przeciągu czterech dni które jeszcze miałem zabawić w tem mieście. Mówił mi potem, że to uczynił dla Drezna a nie dla mnie i że radby mię zmusić do koncertu, jeżeli zbyt długiego czasu ułożenie nie będzie wymagać. Nazajutrz rano przyszedł do mnie i oświadczył, że sam

był wszędzie i że aż do niedzieli (a to było w środę), nie ma ani jednego wolnego wieczoru w piątek bowiem miano dać po raz pierwszy tutaj *Fra-Diavola*, a w sobotę to jest wczoraj, *La donna del lago* Rossiniego po włosku. Przyjąłem Klengla tak, jak mało ludzi w mojem życiu bym przyjął; wyraźnie polubiłem go jakbym znał od lat trzydziestu. On też okazuje mi wiele współczucia. Prosił o partycyę moich *koncertów* i zaprowadził mię do pani Niesiołowskiéj na wieczór. Tego samego dnia było przyjęcie u pani Szczerbinin, alem się tak długo u Niesiołowskiéj zabawił, że całe zaproszone towarzystwo już się rozjechało, gdy mię Klengel do pani Szczerbinin odprowadził. Za to, musiałem tam być nazajutrz na objedzie. Łapano mię wszędzie jak psa. Byłem także tego samego dnia u pani Dobrzyckiéj [1]) która z powodu swoich urodzin prosiła mię do siebie nazajutrz. Zastałem tam księżniczki saskie, córki nieboszczyka króla to jest, siostrę królewską i żonę brata obecnie panującego monarchy. Grałem w ich obecności; obiecały mi listy do Włoch, ale jeszcze wszystkich nie mam, dopiero od jednéj przysłano mi do ho-

---

[1]) Pani Dobrzycka była damą dworu (*Oberhofmeisterin*) księżniczki saskiej Augusty.

telu dwa na samem wyjezdnem, resztę spodziewam się otrzymać w Wiedniu, za pośrednictwem pani Dobrzyckiéj, gdyż ona wie jak mię tam szukać. Listy te, są adressowane do królowéj Obojga Sycylii w Neapolu i do jakiejś księżny Ulasino z domu ks. Saskiéj w Rzymie. Mam także obiecane do panującéj ks. Lukki i do wicekrólowéj medjolańskiéj. Odesłaniem tych listów zatrudni się Kraszewski, do którego ztąd piszę dzisiaj umyślnie w tym interesie, w Dreznie byłem jeszcze na obiedzie u Komarów. Klengel dał mi list do Wiednia, gdzie później sam także przybędzie; u pani Niesiołowskiéj pił za moje powodzenie szampana, ona sama pieściła i nie wiedziała gdzie mię posadzić, a koniecznie Szopskim nazwać mię chciała.

Rolla skrzypek przedni; resztę z Wiednia gdzie będziemy we wtorek o 9tej rano.

Generałowi Kniaziewiczowi podobałem się bardzo; mówił mi, że jeszcze żaden fortepianista tak miłego na nim nie uczynił wrażenia.

Wiedeń 1 grudnia 1830.

Maleńko się serduszko zaśmiało z listu, odebranego po raz pierwszy od czterech tygodni, czyli od czasu jakiem się z wami poże-

gnał. Lepiéj się jadło objad. *Dziki człowiek* (tak się bowiem nazywa doskonała oberża w któréj jadamy), wziął odemnie za apetyczne konsumowanie strudlów, całego reńskiego i krajcarów kilka. Uciecha była ogólna, bo i Tytus miał listy od swoich. Celińskiemu dziękuję za przyłączony bilecik; przeniósł on mię na wasze łono. Wyobrażałem sobie, iż siedzę przy fortepianie; Celiński stoi naprzeciwko mnie i patrzy na pana Żywnego, co z Linowskim tabaczką się częstuje. Tylko Matuszyńskiego brakło do kompletu; ja myślę że on ma jeszcze febrę... Ale dosyć romansów; przyjdzie na mnie ta kanikuła, bo tu dużo ładnych Niemek, ten kiedy przyjdzie, kiedy!..

Wystawcie sobie, panna Blahetka z rodzicami w Stuttgardzie; może na zimę wrócą. Wiadomość tę odebrałem od Haslingera, który mię przyjął jak najgrzeczniéj, ale dla tego *Sonaty* ani *Waryacye* drugich nie wydrukował. Dostanie on swój pieprzyk, tylko ja stancyę z Tytusem mieć będę. Najęliśmy na pryncypalnéj ulicy, na Kohlmarkcie, trzy pokoje, wprawdzie na trzecim piętrze, ale ślicznie, przepysznie, elegancko umeblowane, na miesiąc za małe pieniądze. Na mnie wypada 25 reńskich. Jakiś generał-admirał Anglik teraz jeszcze w nich siedzi, lecz dziś albo jutro ztamtąd się wyniesie. Admirał! a ja będę *admiracya*, więc nic nie straci stancya [1]), tem bardziéj że gospodyni a raczéj pani tego mieszkania, jest jakaś baronowa, wdowa i ładna, dosyć młoda, która długo jak nam mówiła w Polsce siedziała, o mnie zaś słyszała już w Warszawie. Zna Skarzyńskich, bywała na wielkim świecie; pytała się Tytusa czy nie zna młodéj, ładnéj pani Rembielińskiéj i t. p. Otóż choćby nie więcéj, to taka zacna jejmość warta 25 reńskich, tem bardziéj, że Polaków lubi, Austryjaków nie afektuje, jest Prusaczką i bardzo rozsądną kobietą.

Skoro się tam przeniesiem, Graff, fabrykant fortepianów, przyśle nam instrument do domu. Würfel skoro mię obaczył, zaraz o daniu koncertu począł mówić. Sam jest bardzo słaby i nie wychodzi, tylko w mieszkaniu daje lekcye; miał krwią pluć, co go wielce osłabiło. Ale o koncercie wciąż bajdurzy i mówił mi, że tutejsze gazety dużo o moim koncercie *F-moll* pisały, o czem ja nie wiem i nie byłem dosyć ciekawym dowiadywać się.

Dam koncert ale kiedy, gdzie, jak, co, nic nie wiem.

---

[1]) Listu tego wszystkim nie czytać, żeby nie myślano żem spyszniał. (Przypisek Chopina).

Opuchły nos mój, nie dozwolił mi dotychczas ani prezentować się w ambasadzie, ani być u pani Rzewuskiéj, u której cały świat bywa, a mieszka obok Hussarzewskiego, u którego z moim nosem bez żeny, byłem już parę razy. On mi nie radzi tak jak i Würfel darmo grać. Malfatti [1]) przyjął mię jak swego kuzyna najserdeczniéj, najgrzeczniéj. Skoro tylko nazwisko moje przeczytał, uściskał mnie i powiedział, że do niego pisał już o tem pan Władysław Ostrowski; że w czem tylko może mi być użytecznym, wszystko uczyni. Dodał jeszcze, iż mię pani Tatyszczewowéj zaanonsuje [2]), że mi wszelkie potrzebne znajomości porobi, że nawet przy dworze, o czem jednak wątpi żeby się dało co zrobić, będzie się starał być mi użytecznym, bo teraz dwór po królu Neapolitańskim w żałobie. Obiecał także poznać mię z baronem Dunoi, naczelnikiem tutejszego muzycznego *Vereinu*; to podobno będzie najlepsza znajomość.

Drugą również może użyteczną, zabrałem przez list Klenglowski z panem Mittag'iem. Ten człowiek tak widzi rzeczy jak mi potrzeba

---

[1]) Znakomity medyk i nadworny lekarz cesarsko-austryacki.

[2]) Małżonka ambassadora Ces. Ros.

i zdaje się, że najwięcéj ze wszystkich panów muzykantów będzie mi użytecznym. Czerny, u którego byłem już (uniżony jak zawsze i dla każdego), pytał mię czym „*hat fleissig studirt?*“ Znów na 8 fortepianów a 16 ludzi przełożył jakąś uwerturę i kontent. Zresztą, nie widziałem jeszcze żadnego tutejszego fortepianisty.

U pani Weyberhein, siostry Wolfowéj, byłem już dwa razy, jutro proszony tam jestem na wieczór: *un petit cercle des amateurs*, zkąd udam się z wizytą do Rozalii Rzewuskiéj co między 9-tą a 10-tą przyjmuje i jest już o mojem przybyciu przez Hussarzewskiego zawiadomioną. Tam mam poznać ową sławną panią Cibini, dla któréj to Moscheles 4-ręczną *Sonatę* napisał. [1])

Byłem onegdaj w Comptoirze u Stametza; tak mię tam przyjęto z mojemi listami, jak każdego co po pieniądze przychodzi; dali mi kartkę zaręczenia do policyi dla odebrania karty pobytu i — koniec. Ale późniéj może będzie inaczéj. Byłem także onegdaj u pana Geymül-

---

[1]) Pani Cibini, córka Leopolda Kozelucha, będącego po śmierci Mozarta nadwornym c. k. koncertmeistrem, uchodziła za dobrą pianistkę; następnie była pierwszą damą dworu cesarzowéj Anny Maryi.

lera, bo tam Tytus miał swoje sześć tysięcy. Pan Geymüller przeczytawszy moje imię i nazwisko, nieczytając reszty, odezwał się: „że bardzo mu przyjemnie poznać takiego jak ja *Künstlera*, ale że nie życzy dać się słyszeć, bo tu jest tylu dobrych fortepianistów, iż trzeba mieć wielką reputacyę ażeby coś zyskać“. Dodał w końcu: „że on nie może mi w niczem dopomódz, bo czasy są ciężkie i t. p. „To wszystko musiałem łykać z wytrzeszczonemi na niego oczyma. Jak on swoją tyradę skończył, dopierom mu powiedział, że istotnie nie wiem czy warto dać się słyszeć, ponieważ jeszcze u żadnego z tutejszych możnych panów nie byłem, ani u ambassadora do którego mam rekomendacyę z Warszawy od W. Księcia i t. p. Dopiero on inne oczy zrobił, a ja pożegnawszy, przeprosiłem go za oderwanie od interesów. Poczekajcie h.... żydy!

U Lachnera dyrektora orkiestry jeszcze nie byłem, albowiem nie mam gdzie wizyt przyjmować. Ze *Stadt London* gdzie było nadzwyczaj *słono*, przenieśliśmy się do *Lama* na Leopoldstadt i tutaj tymczasem koczujemy, za nim Anglik z wąsami, wychudły, wynędzniały, zielono-fioletowo-żółtawy *majtek*, wyniesie się od baronessy. W tem to mieszkaniu na *wielką skalę* (wyrażenie Tytusa, który ze

mnie jakiegoś zarozumialca koniecznie tworzy), będzie się dopiero grać i o koncercie myśleć, ale nie darmo. Zresztą zobaczymy.

Ani u pani Raszek, ani u pani Elkan, ani u Rotszylda, ani u państwa Voigt, ani u wielu innych osób nie byłem. Dziś idę do ambassady; ma tam być baron Meindorf, do którego Husarzewski kazał mi się pytać, a ten mi powie, kiedy najlepiéj Tatyszczewa zastać. Z pieniędzy odebranych onegdaj u bankiera, nic jeszcze nie ruszyłem. Spodziewam się że umiem je szanować. Z tem wszystkiem prosiłbym, ażebym na końcu tego miesiąca mógł mieć coś na drogę do Włoch, gdyby mi moje koncerta nic nieuczyniły. Teatr mię najwięcéj kosztuje, ale nieżal, bo panna Heinefetter i pan Wild, zawsze prawie śpiewają. Przez ten tydzień, już trzy zupełnie nowe opery słyszałem. Wczoraj dawano *Fra Diavolla*, *Niema lepsza*; przedtem *Tytusa* Mozarta, dziś *Wilhelma Tella*. Nie zazdroszczę Orłowskiemu, że Lafontowi akompanjuje; może przyjdzie czas, że mi Lafont będzie akompanjował. [1]) To trochę zaśmiało? ale dalibóg może być. Nidecki jeszcze całą zimę myśli tu zabawić.

---

[1]) Lafont, znakomity niegdyś skrzypek urodzony w Paryżu 1781, zmarł 1839 r.

Cały ten tydzień zeszedł mi już to na nosie, na teatrze i Graffie, u którego co dzień po obiedzie grywam, ażeby sztywne palce z drogi trochę rozruszać. Wczoraj prezentowałem Graffowi Nideckiego.

Istotnie nie wiem jak mi ten tydzień zleciał; aniśmy się obejrzeli, a ja jeszcze żadnych stanowczych kroków do koncertu nie uczyniłem. *Questia?* który *Koncert* grać *F.* czy *E?* Würfel utrzymuje że F piękniejszy od *As-dur* Hummla, co teraz u Haslingera wyszedł. Haslinger mądry, on mię grzecznie ale lekko chce zbywać, żebym mu darmo kompozycye dawał. Klengel się dziwił, że mi nic za *Waryacye* nie zapłacił. Może myśli, że napozór ważąc sobie lekko moje rzeczy, ja to wezmę na seryo i dam mu je darmo? Ale już się darmo skończyło, teraz *bezahl* bestyo!

Radzi mi Graff, ażebym w *Landständischen Saal*, gdzie bywają *Spirituel-koncerta*, to jest w najpiękniejszem i najlepszem miejscu dał się słyszeć. Lecz na to potrzeba mieć pozwolenie od Dietrichsteina, o co mi przez Malfattego nie będzie trudno.

Ludzie znajdują żem utył...

Dobrze mi się wszystko dzieje. Mam nadzieję w Bogu i w Malfattim, (paradnym Malfattim), że jeszcze lepiéj będzie."

Tutaj wypada nam zwrócić uwagę czytelników na znaczną przerwę, jaka istnieje w korrespondencyach Fryderyka z rodzicami. Wypadki zaszłe podówczas w Warszawie, wywarły na nim wpływ wielki, zachwiały jego postanowieniami, obróciły w niwecz wszystkie jego zamiary, wpływając fatalnie na całe przyszłe jego życie. Na pierwszą wieść o nich, Tytus Woyciechowski opuścił zaraz Wiedeń i wrócił do kraju. Fryderyk chciał to samo uczynić, nie mogąc znieść takowego i w podobnych okolicznościach rozłączenia. Tylko usilne nalegania najprzód rodziców, którzy pragnęli ażeby ich syn, raz już obranéj a do tego kosztownéj podróży muzykalnéj nie przerywał, a potem przyjaciół jego w Wiedniu, skłoniły Fryderyka przecie do pozostania na miejscu. Jednakże przejęty tęsknotą ogromną za swoimi i pełen o ich los obawy, porwał pocztę i gonił Tytusa całą stacyę za Wiedniem, i gdyby go był doścignął, niema wątpliwości że zabrałby się wraz z nim do Warszawy. Wróciwszy po bezowocnéj gonitwie do Wiednia, począł myśleć o koncertach, ale mu jakoś nie szło. Ludzie stali się dlań obojętnymi, usłużnych przyjaciół pomiędzy artystami zbrakło. Kiedy za pierwszéj swojéj bytności w Wiedniu, grając darmo i w przelocie, znalazł tylu

chętnych sobie, teraz gdy zapragnął jakiegokolwiek za swój talent wynagrodzenia, ujrzał się niejako opuszczonym, zostawionym własnym siłom, a nie miał on dosyć energii na łamanie się z trudnościami ze wszech stron na urzędzenie koncertu napotykanemi. Artyści widocznie unikali go; jedni znajomi mu z dawniejszych czasów chorowali, drudzy powyjeżdżali, inni znów byli zbyt zajęci własnemi interessami. Może nawet tak istotnie było, lecz nie ma wątpliwości, iż reszta obawiając się, aby ten miły, dobrze wychowany i niezwykle utalentowany wirtuoz, nie zechciał czasem w skutek powodzeń osiedlić się w Wiedniu i stać się dla nich niebezpiecznym rywalem, przerzedziła znacznie szeregi dawniejszych jego wielbicieli, a powodzeniom artystycznym, jakie tu i owdzie miewał w niektórych salonach stolicy, umiano zręcznie, kłaść pewne granice. Wypadki polityczne zaszłe w jego ojczyznie, silnych i wpływowych owych protektorów, do których Chopin miał listy polecające, zraziły i odwróciły od niego; zresztą umysłem zajmował się więcéj polityką aniżeli muzyką. To nawet stało się powodem tak znacznéj przerwy pomiędzy listami, gdyż wielu z nich rodzice nie uważali za stosowne przechowywać, inne znów z powodu rozruchów niedochodziły wcale.

W tych zaś co pozostały, brak widoczny owego dobrego i wesołego humoru, który Fryderyka dotąd nigdy nie odstępował, a pewien rodzaj smutku, zniechęcenia i sarkazmu nawet z zawiedzionych na ludziach i rzeczach nadziei, przejmuje wyraźnie strapioną i bolejącą duszę naszego artysty.

Uwagi powyższe uważaliśmy za konieczne w tem miejscu, ażeby lepiéj pojąć ducha następnych Chopina korrespondencyi.

„Najukochańsi rodzice i siostry moje!

(Wiedeń, środa przed świętami Bożego Narodzenia; nie mam kalendarza, więc nie wiem którego).

Siedm tygodni wczoraj minęło, jakem was opuścił. Po co?.. Już się stało! Właśnie wczoraj, o tej godzinie we wtorek, jak mię do Woli odprowadzono, byłem u państwa Weiberrheim, na tańcującym wieczorze. Pełno tam było młodzieży, ładnej, wcale *niestarożytnej*. Chciano, ażebym tańczył, wybierano mię gwałtem do kotyliona; obróciłem się kilka razy i poszedłem do siebie. Sama pani domu i jej grzeczne córki. sprosiły na ten wieczór wiele muzykalnych osób, ale ja nie grałem, bom nie

miał do tego usposobienia. Prezentowała mi pana Likt, którego Ludwika zna; dobry, grzeczny, poczciwy Niemiec; miał się za coś wielkiego i dlatego nie chciałem go moją grą z terminu zbijać. Tam także poznałem synowca Lampiego, którego znów papa zna; śliczny i miły chłopiec, maluje sławnie. A propos malowania, wczoraj rano był u mnie Hummel z synem; kończy mój portret, ale tak podobny, że niemożna lepiej. Siedzę na stołku w szlafroku, z miną inspirowaną, nie wiem zkąd. Ołówkiem, a raczej kredką i w formacie ćwiartkowym, zdaje się, że sztych. Grzeczny to nadzwyczajne ten stary Hummel. Ponieważ się zna dobrze z Duportem niegdyś sławnym tancerzem, a teraz antreprenerem Kärnthnerthorskiego teatru, więc mię wczoraj prezentował. Pan Duport ma być skąpym; przyjął mię bardzo pięknie, bo może myśli, że ja mu darmo grać będę, ale się myli. Było pomiędzy nami lekkie *avant propos*, ażebym chciał grać, lecz kiedy, co i jak, o tem cicho. Jeżeli mi mało będzie dawał, wtedy dam koncert w dużej sali redutowej.

Würfel zdrowszy; w przeszłym tygodniu poznałem u niego Slawika, sławnego skrzypka, chociaż młodego chłopca, mającego najwięcej

26 lat wieku[1]). Bardzo mi się on podobał. Gdyśmy razem wracali, pyta mię: „czy ja idę do domu? — Do domu, odpowiedziałem. — Oto lepiej pójdź ze mną do twojej rodaczki pani Bayer“. Do niej właśnie przysłał mi list Kraszewski z Drezna, wraz z listem do wicekrólowej Medyolanu; nie mogłem tego listu dotychczas oddać, bo miejsca mieszkania nie wiedziałem, a Bayerów w Wiedniu tysiące. — „Dobrze, odpowiedziałem Slawikowi, tylko się wrócę po list“. Istotnie była to ta sama pani. Mąż jest Polakiem z pod Odessy, sąsiadem Chomentowskiego. Jego żona, która już niby wiele o mnie słyszała, prosiła nas nazajutrz, to jest w niedzielę na obiad, gdzie Slawik jak zagrał, tak mi się podobał, jak nikt po Paganinim. Jemu się także moja mość podobała i postanowiliśmy razem napisać duet na skrzypce i fortepian, myśl, którą już miałem w Warszawie. Wielki i prawdziwie genjalny to skrzy-

---

[1]) Slawik Józef, urodził się w Ginczy w Czechach 1806 roku, gdzie ojciec jego był nauczycielem szkoły publicznéj. Kosztem hrabiego Wrbna uczył się grać na skrzypcach w pragskiem konserwatorium, pod kierunkiem Pixisa. Wielkiego talentu i ogromnych nadziei ten wirtuoz zmarł w Peszcie 1833 roku na nerwową gorączkę w chwili właśnie, gdy rozpoczął artystyczną podróż na większą skalę po Europie.

pek. Skoro poznam Merka, to dopiero *Trio* utniemy [1]), a poznam go lada dzień u Mechettego. Czerny był wczoraj ze mną u Diabellego, który mię na przyszły poniedziałek, na wieczór z samych muzyków zebrany, zaprosił. W niedzielę wieczór u Likta, gdzie będzie wielki świat muzykalny i ośmio-ręczna uwertura, a w sobotę ma być wykonana stara kościelna muzyka u Hofrata Kiesewettera, autora dzieła o muzyce.

Trzeba wam wiedzieć, że ja teraz stoję na czwartem piętrze. Jacyś Anglicy dowiedziawszy się od mojego antecessora o mojem ślicznem mieszkaniu, zapragnęli jeden pokój odnająć; ale przyszedłszy pod pozorem widzenia jednego, zrewidowali wszystkie trzy i tak im się podobały, że ofiarowali mi zaraz 80 reńskich miesięcznie, bylebym takowe im odstąpił, z czegom się niezmiernie ucieszył. Pani baronowawa Lachmanowicz, bratowa Uszakowowej, a teraz moja młoda i dobra gospodyni, posiadała także na czwartem piętrze podobne do mojego mieszkanie; pokazano mi takowe, nająłem i teraz stoję za 10 złr. miesięcznie tak, jakbym 70 płacił. Myślicie pewno, biedak pod

[1]) Merk Józef, znakomity wiolonczellista urodzony w Wiedniu 1795, zmarł tamże 1852 roku.

strychem siedzi! Otóż wcale nie, bo nademną jest jeszcze piąte piętro i dopiero nad niem dach, a co sześćdziesiąt reńskich w kieszeni, to w kieszeni. Ludzie odwiedzają mię i pan hr. Hussarzewski musi leźć tak wysoko. Ale ulica nieopłacona, w środku miasta, blisko wszystkiego. Na dole najpiękniejszy spacer, Artaria na lewo, Mechetti i Haslinger na prawo, w tyle teatr, czegóż więcej potrzeba? [1]).

Do pana Elsnera jeszcze nie piszę, ale u Czernego byłem; *Kwartet* dotąd nie wyszedł.

Malfatti wyłajał mię, że obiecawszy przyjść do pani Schaschek na obiad o 2giej, przyszedłem o 4tej; w tę sobotę znów się mam z nim zejść na obiad, a jeżeli się spóźnię, to Malfatti obiecał mi jakąś bardzo bolesną operacyę zrobić; nie piszę jaką, bo brzydka. Widzę, jak się papa gniewa za moje roztrzepanie i nieprzyzwoitość względem ludzi; ale to się wszystko naprawi; bo Malfatti mię lubi, z czego się bardzo cieszę.

Nidecki bywa u mnie co rano i gra. Jak napiszę *Koncert* na 2 fortepiany, to zagramy razem publicznie; wprzód jednak muszę *solo*

[2]) Mechetti, Diabelli, Artaria, właściciele magazynów nut i nakładcy.

wystąpić. Haslinger ciągle grzecznie, lecz cicho [1]).

Nie wiem, czy mam zaraz jechać do Włoch, czy co? Proszę was, byście mi o tem napisali. Mama kontenta, że mię nie ma, ale ja niekontent jestem. Stało się... Uściskajcie odemnie Tytusa i proście go na miłość boską, ażeby pisał... Nie! tej przyjemności, jaką mam, gdy od was list odbiorę, nie możecie sobie wystawić. Czemuż to poczta idzie tak długo! Wszak nie bierzcie mi za złe, że się o was turbuję...

Poznałem tu bardzo grzecznego chłopca, Leibenfrosta, przyjaciela Kesslera; bywa on często u mnie, chociaż ja raz dopiero byłem u niego. Jeżeli nie jestem gdzie proszonym na obiad, to z nim jadam w mieście. Zna on cały Wiedeń i jak tylko jest gdzie jaka osobliwość do widzenia, zaraz mię tam prowadzi. Wczoraj naprzykład był śliczny spacer na *Bastei*, arcyksiążęta w surdutach, noblessa, słowem cały Wiedeń. Spotkałem tam Slawika, z którym ułożyłem się dzisiaj widzieć, w celu wybrania Beethovenowskiego motywu na *waryacye*. Z jednej strony kontent jestem, iż się tu znajduję, ale z drugiej!...

---

[1]) Alluzya do kompozycyi Chopina, które Haslinger pragnął wydać, lecz nie miał ochoty za takowe płacić.

Jak mi tu dobrze w pokoju. Naprzeciwko dach, a na dole pigmeje. Jestem wyższy od nich! Najlepiej mi, kiedy nagrawszy się na nudnym fortepianie Graffa, idę spać z waszemi listami w ręku. To też nawet we śnie was tylko widzę.

Wczoraj u Bayerów tańczono mazura. Slawik jak baran leżał na ziemi, a jakaś stara niemiecka *Contessa*, z dużym nosem i dziurawą fizjognomią, trzymając się (jak to dawniej bywało) zgrabnie dwoma paluszkami za sukienkę, z głową sztywnie do tancerza zwróconą, tak że aż kości od szyi gdzie która mogła wylazły, dziwne jakieś walcowe *pas*, długiemi a chudemi *mamrotała* nogami. Godna to jednak osoba, poważna, uczona, dużo gada i ma *usage du monde*.

Pomiędzy licznemi wiedeńskiemi zabawami, sławne są wieczory po oberżach, gdzie przy kolacyi Strauss albo Lanner (są to tutejsi miejscowi Swieszewscy) walce grywają. Za każdym walcem dostają ogromne brawo; a jeżeli grają *Quodlibet*, czyli mięszaninę z oper, pieśni i tańców, to słuchacze są tak zadowoleni, że nie wiedzą co z sobą robić. Dowodzi to zepsutego smaku wiedeńskiéj publiczności.

Chciałem wam posłać *Walca* mojéj kompozycyi, ale już późno; odbierzecie go zawsze.

Mazurków nie posyłam także, bom ich jeszcze nie przepisał: nie do tańca.

Nie chcę mi się z wami rozstawać, jeszczebym rad pisać. Fontanę jak zobaczycie, powiedzcie mu, że się do niego pisać zabieram. Matuszyński jeżeli nie dziś, to na przyszłą pocztę odbierze list ogromny [1]).

---

[1]) Jan Matuszyński, kolega szkolny Fryderyka i najpoufniejszych jego zwierzeń powiernik, urodził się 9 grudnia 1809 roku w Warszawie. Skończywszy nauki w Liceum, wszedł następnie do uniwersytetu na wydział lekarski. Po trzech letnich kursach, w roku 1830 otrzymał posadę lekarza pułkowego w 5 pułku strzelców konnych W cztery lata później, doktoryzował się Tübindze. Zyskawszy stopień *cum laude peracta examina* i patent doktora medycyny i chirurgii, udał się do Paryża, napisawszy wprzód rozprawę o *Kołtunie Nadwiślańskim.* Matuszyński większą część wolnego od nauk czasu, przepędzał zwykle w domu rodziców Fryderyka, zabawiając się z nim wspólnie muzyką, grał bowiem na flecie i to tak biegle, iż w dziesiątym roku życia, wystąpił w publicznym koncercie, danym na cel dobroczynny, o czem ówczesne gazety pochlebnie o młodziutkim fleciście wspominały. Później, z powodu cierpień piersiowych nabytych skutkiem trudów wojennych, Matuszyński musiał stopniowo wyrzec się grywania na tym ulubionym przez siebie instrumencie. Jako wyborny medyk, posiadający ogromny zapas gruntownéj nauki, zwrócił niebawem po przybyciu do Paryża na siebie oczy wielu tamtejszych uczonych znakomitości skutkiem czego, otrzymał posadę professora w *l' Ecole de Médicine.* Dumny z takowego zaszczytu, poświęcił się z zapałem wykładowi medycyny, nieszczędząc sił i zdrowia; to też wpadł w nieuleczone suchoty i zmarł 20 kwietnia 1842 roku. (Szczegóły niniejsze wraz z listami Chopina, udzielił nam łaskawie brat Jana, Leopold Matuszyński, obecnie reżyser opery polskiéj w Warszawie.)

Do Jana Matuszyńskiego.

Wiedeń. Dzień Bożego Narodzenia. Niedziela rano. (Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów. Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek gryzę i piszę).

Najukochańszy Jasiu!

Właśnie wracam od Slawika, sławnego skrzypka, z którym się zaprzyjaźniłem. Po Paganinim nic podobnego nie słyszałem; 96 nut *staccato* bierze na jeden smyczek i t. p. Nie do uwierzenia! U niego powziąłem myśl, wróciwszy do domu tęsknić sobie po fortepianie i wypłakać *adagio* do *waryacyi* Beethovena, które z nim razem piszemy. Ale krok jeden na pocztę, której nigdy przechodząc nie opuszczam, inny nadał kierunek uczuciu: łzy co

na klawisze padać miały, twój list zrosiły. Spragniony byłem twego pisma, wiesz czemu? ale nietylko dla *mego anioła pokoju*. Bo jak go kocham... Gdybym mógł, wszystkiebym tony poruszył, jakieby nietylko ślepe, wściekłe, rozjuszone nastało uczucie, aby choć w części odgadnąć te pieśni, których rozbite echa gdzieś jeszcze po brzegach Dunaju błądzą, a które wojsko Jana Sobieskiego śpiewało. Każesz mi wybierać poetę!.. Wiem żem istota najniezdecydowańsza w świecie i raz tylko w życiu dobrze wybrać umiałem. Gdyby nie to, że może teraz byłbym ojcu ciężarem, natychmiastbym wrócił. Przeklinam chwilę wyjazdu! Przyznaj znając moje stosunki, że po odjeździe Tytusa, zawiele razem na głowę mi spadło.

Wszystkie objady, wieczory, koncerta, tańce, których mam po uszy, nudzą mię. Tak mi tu smutno, głucho, ponuro! *Lubię ja to*, ale nie w tak okrutny sposób. Nie mogę czynić jak mi się podoba; muszę się stroić, fryzować, chaussować! W salonie udaję spokojnego, a wróciwszy do domu piorunuję po fortepianie!..

Z nikim poufałości, ze wszystkiemi grzecznie obchodzić się muszę. Mam ludzi co mię niby lubią, co mię malują, mizdrzą się, przymilają; cóż mi po tem, kiedy pokoju nie mam? Chyba jak sobie wszystkie wasze wydobędę

listy, otworzę widok króla Zygmunta [1]), na pierścionek spojrzę... Daruj Jasiu że ci się tak skarżę, ale zdaje mi się że mi lżej o połowę, żem spokojniejszy. Z tobą ja zawsze uczucia dzieliłem. Odebrałeś kartkę? Pewno sobie nic z mojego pisma nie robisz, boś w domu; ale ja czytam i czytam list twój bez końca. Freyer doktór był u mnie parę razy, (choć ja u niego ani razu być nie mogłem); dowiedział się od Schucha że jestem w Wiedniu. Opowiadał mi mnóstwo interesujących szczegółów z ostatnich czasów, cieszył się z twego listu, który mu aż do *pewnego* peryodu do czytania dałem.

Ten *pewny* peryod, zasmucił mię mocno. Czy doprawdy choć trochę zmiany? czy nie chorowano? Przypuściłbym łatwo coś podobnego na takiem czułem stworzeniu. Czy ci się nie zdawało? może przestrach... bo niechaj Bóg broni mojej przyczyny! Uspokój, powiedz, że póki sił starczy... że do śmierci... że po śmierci jeszcze mój popiół będzie się słał pod nogi! Ale to wszystko mało cobyś ty mógł powiedzieć... ja napiszę! Jużbym był dawno napisał, nie męczyłbym się tak długo; ale lu-

---

[1]) W pobliżu kolumny króla Zygmunta istniało Konserwatoryum Warszawskie, a w niem mieszkała panna Gładkowska jako pensyjonarka.

dzie!... Gdyby to przypadkiem w cudze ręce wpadło, jej sławie szkodziłoby mogło! Więc lepiej ty bądź moim tłomaczem, mów za mnie „et j'en conviendrai". Te twoje francuzkie wyrazy mię dobiły. Niemiec co szedł za mną ulicą kiedym list twój odczytywał, ledwo mię pod rękę utrzymał i nie mógł wcale pomiarkować co mi się stało. Miałem ochotę wszystkich przechodzących łapać i całować, a tak mi miło było na duszy, jak jeszcze nigdy! bo to pierwszy list od ciebie! Nudzę cię Jasiu głupim szałem moim, ale mi się trudno ocknąć żeby ci coś obojętnego napisać.

Onegdaj byłem na objedzie u jednéj damy Polki nazwiskiem Bayerowéj, imieniem *Constance*. Lubię tam bywać przez *reminiscencyę*; wszystkie nuty, chustki do nosa, serwety, znaczone jéj imieniem. Zresztą ze Slawikiem tam chodzimy, do którego ona coś cierpi. Wczoraj graliśmy całe przed i poobiedzie, a ponieważ to była wigilia i piękny (wyraźnie wiosenny czas), więc gdyśmy w nocy wyszli od Bayerowéj, pożegnawszy Slawika który do kaplicy cesarskiej iść musiał, sam jeden o 12 tej wolnym krokiem udałem się do kościoła Św. Szczepana.

Gdym przyszedł, jeszcze ludzi nie było. Nie dla nabożeństwa, ale dla przypatrzenia się

o téj porze temu olbrzymiemu gmachowi, stanąłem w najciemniejszym kącie u stóp gotyckiego filaru. Nie da się opisać ta wspaniałość, ta wielkość tych ogromnych sklepień. Cicho było; — czasem tylko kroki zakrystyana zapalającego kagańce w głębi świątyni, przerywały mój letarg. Za mną grób, podemną grób! tylko nademną grobu brakowało! Ponura roiła mi się harmonia... czułem więcéj niżeli kiedy, osierociałość moją. Chętnie poiłem się tym widokiem, aż dopóki ludzi i światła przybywać nie zaczęło. Wtenczas zasłoniwszy się kołnierzem od płaszcza (jak to nieraz pamiętasz przez Krakowskie Przedmieście), udałem się na muzykę do kaplicy cesarskiej. Przez drogę już nie sam, ale z mnóstwem wesołych ludzi idących kompaniami, przebiegłem piękniejsze ulice Wiednia aż do zamku, gdzie posłuchawszy trzech numerów nie najtęższej, zaspano granej mszy, wróciłem po 1ej w nocy spać. Śniło mi się o tobie, o was, o nich, o moich dzieciach kochanych [1]). Nazajutrz obudzono mię z inwitacyą na obiad do pani Elkan, Polki, żony bankiera. Wstałem, zagrałem sobie smutno... przyszedł do mnie Nidecki, Leibenfrost,

---

[1]) Siostry swoje, Fryderyk często swojemi *kochanemi dziećmi* nazywał.

Szteinkeller; pożegnaliśmy się i udałem się na obiad do Malfattego. Szaniasio dzisiaj Polak zabity, zajadał zrazy i kapustę jak zaręczam żaden u Karczewskiéj; nie ustępowałem mu. Trzeba ci wiedzieć, że ten rzadki człowiek (w całem znaczeniu tego wyrazu *człowiek*) doktór Malfatti, tak o wszystkiem pamięta, że kiedyśmy u niego na obiedzie, wyszukuje nam polskie potrawy. Po obiedzie przyszedł Wild, sławny, nawet dziś najpierwszy niemiecki tenorzysta. Zaakompaniowałem mu na pamięć aryę z *Otella*, którą po mistrzowsku odśpiewał. On i panna Heinefetter, utrzymują całą operę tutejszą; reszta bowiem tak mizerna, że wcale na Wiedeń nie przystoi. Pannie Heinefetter zbywa nieledwie zupełnie na czuciu. Głos jakiego mi się nie zdarzy tak prędko słyszeć, wszystko dobrze odśpiewane, każda nuta wytrzymana akuratnie, czystość, gibkość, portamenta! ale to tak zimna, żem sobie ledwo nosa nie odmroził, jakiem w krzesłach w pierwszym rzędzie blisko sceny siedział. Ładna ze sceny, szczególniéj po męzku. W *Otellu* lepsza niż w *Cyruliku*, gdzie zamiast niewinnej, żywej zakochanej dziewczyny, przedstawia na wszystkie strony wyćwiczoną kokietę; w *Tytusie* Mozarta jako Sextus, ładna. Wkrótce wystąpi w *Sroce*, ciekawość mię bierze! Wołków *Cyru-*

lika lepiej zrozumiała, tylkoby trzeba jej gardła Heinefetter. Niezawodnie jest ona jedną z pierwszych śpiewaczek, ale nie pierwszą[1]).

Miałem jechać by Pastę słyszeć. Wszak wiesz, że mam listy od dworu saskiego do wice-królowej Medyolanu. Ale jakże jechać? rodzice każą mi to robić co ja chcę, a ja tego nie lubię!. Do Paryża? tutejsi radzą mi jeszcze czekać. Wrócić, siedzieć tutaj? zabić się? nie pisać do ciebie? Radź co mam zrobić. Spytaj się tych ludzi co mną rządzą i napisz mi ich zdanie, a tak będzie.

Przyszły miesiąc jeszcze tu zostanę, pisz więc nim wyjdziesz... *poste restante* do Wiednia. a nim wyjdziesz bądź u rodziców i u *Const..*, Zastąp im mnie póki tam siedzisz, bywaj często niech, siostry cię widzą, niech myślą że ty do mnie przychodzisz, a ja w drugim pokoju;

O koncercie nie myślę.

Jest tu Alois Smidtt, fortepianista z Frankfurtu, znany z *etiudów* bardzo dobrych; człowiek przeszło 40 letni. Poznałem go, obiecał

[1]) Heinefetter Sabina ur. w Moguncyi 1805, rozpoczęła swoją artystyczną karyerę od grywania po ulicach na arfie. Pewien amator muzyki, zajął się jej wykształceniem. Najświetniejsza jej epoka jako śpiewaczki dramatycznej, poczyna się od roku 1827. W dziesięć lat później opuściła scenę.

mię odwiedzić; myśli grać koncert, trzeba mu pierwszeństwo dać. Zdaje mi się człowiek do rzeczy i mam nadzieję, że się muzycznie zrozumiemy. Bo Thalberg tęgo gra, ale nie mój człowiek! Młodszy odemnie, damom się podoba; z *Muetty potpourri* robi, forte i piano pedałem nie ręką oddaje, decymy bierze jak ja oktawy; ma brylantowe guziki od koszulek. Moschelesowi się nie dziwuje, a zatem nie dziw, że tylko *tutti* od *Koncertu* mojego mu się podobało. Pisze on *także Koncerta*.

List ten kończę 3 dni później. Odczytałem banialuki, którem ci pobzdurzył; daruj Jasiu, jeżeli za nie płacić musisz. Dziś bowiem na objedzie w traktyerni włoskiej słyszałem: „*Der liebe Gott hat einen Fehler begangen, dass er die Polen geschaffen hat*“; nie dziw się więc, że dobrze pisać tego co czuję nie umiem. Nowin się też nie spodziewaj od Polaka, bo drugi na to się odezwał: „*Aus Polen ist nichts zu holen*“.

Przyjechał tu Francuz kiełbaśnik; pełno ludzi przed jego sklepem eleganckim się zbiera, już od miesiąca, i zawsze coś nowego upatrzą. Jedni mówią, że to są skutki rewolucyi francuzkiej i miłosiernie patrzą się na te kiszki wywieszone na obrazach, drudzy się gniewają, że Francuzowi rebellantowi wolno było założyć

sklep z szynkami, kiedy oni sami dosyć świń w własnym kraju mają.

Gdzie się ruszysz, o Francuzie mowa i bać się należy, jeżeliby coś być miało, żeby się od Francuza nie zaczęło!

Kończę Jasiu, bo kończyć muszę. Uściskaj odemnie wszystkich drogich kolegów. Daj buzi! ja ciebie chyba razem z życiem, z rodzicami, chyba razem z *nią* kochać przestanę. Mój drogi pisz do mnie! nawet pokaż *jej* ten list, jeżeli ci się zdaje. Dziś jeszcze idę na wieczór do Malfattego, a wprzód na pocztę. Rodzice może wiedzą, że ja do ciebie piszę; powiedz im to, ale listu nie pokazuj. Jeszcze nie mogę się oderwać od lubego Jasia! Idź paskudniku! jeżeli cię tak W... szczerze kocha jak ja, to *Konst...* Nie mogę nawet nazwiska napisać, ręka moja niegodna.... Ach! włosy sobie wyrywam, kiedy wspomnę, że mogą o mnie zapomnieć!.. Ze mnie dziś *Otello!*..

Chciałem ten list złożyć i bez koperty zapieczętować, a zapomniałem, że u was po polsku czytać umieją. Tymczasem, kiedy mi papieru jeszcze zostało, pozwól, niech ci moje tutejsze życie opiszę. Stoję na 4tem piętrze, wprawdzie na najpiękniejszej ulicy, ale dobrze musiałbym przez okno wyjrzeć, gdybym chciał widzieć, co się na dole dzieje. Pokój mój (zo-

baczysz go u mnie w nowym sztambuchu jak wrócę na łono wasze, młody Hummel mi go rysuje), jest duży, zgrabny, o 5ciu oknach. Łóżko stoi naprzeciw okien, pantalion cudny po prawej, a kanapa po lewej stronie. Między oknami zwierciadło, na środku piękny, duży, mahoniowy, okrągły stół, posadzka polerowana. Cicho!... po objedzie pan nie przyjmuje... a zatem mogę się zupełnie przenieść myślą do was. Rano budzi mię nieznośnie głupi służący; wstaję, przynoszą mi kawę, gram i często zimne piją śniadanie. Potem około 9tej przychodzi metr niemieckiego języka; później najczęściej gram, poczem jak dotąd, rysował mię Hummel, a Nidecki mojego *Koncertu* się uczył. To wszystko w szlafroku do 12tej. Teraz dopiero przychodzi bardzo godny niemczyk Leibenfrost, pracujący w kryminale, i jeżeli czas piękny, idziemy na *glacis* w koło miasta na spacer; poczem ja udaję się na objad, jeżeli jestem gdzie zaproszony, a jeżeli nie, idziemy razem do miejsca, gdzie cała tutejsza młodzież akademicka jada, to jest *zur böhmischen Köchin*. Po obiedzie pije się w najpiękniejszym *Kaffehausie* (taka tu moda) czarna kawa; poczem ja za wizytami, a o szarej godzinie wracam do domu, fryzuję się, *chaussuję* i na wieczór. Około 10tej, 11tej, czasem 12tej (później nigdy) wra-

ram, gram, płaczę, czytam, patrzę, *śmieję się*, idę spać, gaszę świecę i — śnicie mi się zawsze.

List ten miał odejść we środę, ale zapóźno było; więc w sobotę odchodzi. Elsnera ucałuj.

Mój portret, o którym ty i ja tylko mamy wiedzieć, podobniuteńki; jeżelibyś myślał, że choć trochę przyjemności zrobi, przez Schucha ci go przyślę, który może z Freyerem około 15 przyszłego miesiąca, gdyby okoliczności kazały, wyjedzie.

Zacząłem pisać czysto, a skończyłem tak, że mnie może nie przeczytasz. Magnusia, Alfonsa, Reinszmidka ucałuj [1]). Jeżeli będzie można, każ się któremu do twego listu przypisać.

Do Tegoż.

W dzień Nowego Roku (1831).

Najdroższa istoto! Masz coś chciał. Odebrałeś list? Oddałeś?.. Żałuję dziś tego, com zrobił. Rzuciłem promyk nadziei tam, gdzie tylko same ciemności i rozpacz widzę. Może ona zadrwi, może zażartuje!... Może!... Takie

---

[1]) Magnusia — Dominika Magnuszewskiego; Reinszmidka — Józefa Reinschmitta, współkolegów Chopina.

myśli przychodzą mi do głowy wtenczas, kiedy najweselej w moim pokoju rozprawiają twoi dawni koledzy: Rostkowski, Schuch, Freyer, Kijewski, Hube i t. p. I ja się śmieję, śmieję się, a w duszy, właśnie kiedy to piszę, jakieś mię okropne dręczy przeczucie. Zdaje mi się, że to sen, że to odurzenie, że ja u was, a to mi się śni, co słyszę. Te głosy, do których dusza moja nie przyzwyczajona, żadnego innego wrażenia na mnie nie robią, tylko takie, jak jak owo turkotanie powozów na ulicy, albo inny hałas obojętny. Twój głos albo Tytusa, ocuciłby mię z tego martwego stanu odrętwiałości. Żyć, umrzeć, dziś mi wszystko jedno się zdaje!

Listu od ciebie nie mam! Rodzicom powiedz, żem wesół, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. *Jej* to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła! Jeżeli zaś nie, to jej powiedz, żeby była spokojną, że się wszędzie nudzę. Słaby jestem, nie piszę tego rodzicom. Każdy mię się pyta, co mi jest? Humoru nie mam; Hube mię pielęgnuje. Zresztą ty wiesz najlepiej, co mi jest!

Biedni rodzice nasi! Moi przyjaciele co robią?

Czemuż ja tak dzisiaj opuszczony, czy tylko my macie być razem w tak okropnej chwili!

Flet twój będzie miał co jęczyć, ale niech się wprzód fortepian wyjęczy.

Do Paryża może za miesiąc wyjadę, jeżeli tam będzie cicho.

Nie zbywa tu na rozrywkach, ale chęci rozerwania się, jeszczem w Wiedniu nie doznał. Merk, pierwszy tutejszy wiolenczellista, obiecał mi swoją wiolonczellową wizytę.

Dziś Nowy Rok; jakże go smutnie zaczynam! Uściskaj mię, kocham was nad życie, — pisz jak najwięcej. *Ona* czy w Radomiu? Kopaliście... Piszesz, że wychodzisz z pułkiem w pole, jakże więc oddasz bilecik? Nie przesyłaj — ostrożnie... może rodzice... możeby źle sądzono!

Jeszcze raz uściskaj mię... ty idziesz na wojnę, wróć pułkownikiem! Niech wam... Czemuż nie mogę być z wami, czemuż nie mogę być choć doboszem!!!

Przebacz za nieład w tym liście, ale piszę jak pijany [1]).

Twój Fryderyk".

---

[1]) List ten kreślony na dwóch luźnych kartkach, załączony był do listu przysłanego do rodziców, który nie znajdował się w kollekcyi i zapieczętowany kroplą laku; przy adresie zaś, Fryderyk uczynił dopisek do sióstr: „Prosi się o nienaruszanie herbu i zaleca się nie być ciekawemi jak stare baby!"

Że w położeniu Fryderyka w Wiedniu nic się na lepsze nie zmieniło, najwidoczniejszy tego dowód mamy w listach następujących:

„Wiedeń 29 stycznia 1831.

Łaskawy Panie Elsner!

Wstyd mi, że dobroć Pańska, której na odjezdnem tyle jeszcze odebrałem dowodów, i tym razem uprzedziła powinność moją. Do mnie należało pisać do Pana zaraz po przybyciu mojem do Wiednia. Alem się ociągał już dla tego, żem był przekonany, iż rodzice nie omieszkają udzielić Panu nieciekawych wiadomości o mnie; już też żem czekał, aby coś stanowczego względem siebie donieść. Od dnia jednak, w którym się dowiedziałem o wypadkach w kraju, aż do tej chwili, nie doczekałem się niczego, prócz niepokojącej obawy i tęsknoty. Malfatti napróżno się stara mię przekonać, iż każdy artysta jest kosmopolitą. Choćby i tak było, to jako artysta, jestem jeszcze w kolebce, a jako Polak, trzeci krzyżyk zacząłem; mam więc nadzieję, że znając mię, za złe mi Pan nie weźmiesz, żem dotychczas o układzie koncertu nie myślał. Ze wszechmiar bowiem nierównie większe dzisiaj stoją mi na przeszkodzie

trudności. Nietylko, że nieprzerwane pasmo niegodziwych fortepianowych koncertów, psując ten rodzaj muzyki odstręcza tutejszą publiczność, ale nadto, wszystko co zaszło w ojczyźnie, zmieniło położenie moje na niekorzystną stronę.

Mimo to jednak, mam nadzieję, że jeszcze w karnawale dam słyszeć mój 1szy *Koncert*, faworyta Würfla. Poczciwy Würfel zawsze słaby, widuję go często; z przyjemnością zawsze o Panu wspomina. Gdyby nie interessujące znajomości pierwszych tutejszych talentów, jako to: Slawika, Merka, Bockleta i t. p., nie wielebym miał z czego korzystać. Opera wprawdzie dobra: Wild i panna Heinefetter zajmują publiczność tutejszą; szkoda tylko, że Duport mało nowych wystawia rzeczy i więcej na swoją kieszeń, jak na operę zważa. Abbé Stadler ubolewa nad tem i powiada, że nie ten dziś Wiedeń co za dawnych czasów [1]). Drukuje on *Psalmy* swoje u Mechettiego, dzieło, którem

[1]) Stadler Maksymilian Abbé, ur. 4 sierpnia 1748 r. w Melk w niższej Anstryi, grał znakomicie na fortepianie i organach. Jego kompozycye religijne, a pomiędzy niemi *Oratorium: Das befreite Jerusalem* i chóry do tragedyi Collin'sa *Polixena*, w swoim czasie były powodem w Wiedniu ogromnego entuzjazmu. Pod koniec życia Stadler zajmował się wiele pisaniem o sztuce, historyi i umiejętności; zmarł 8 listopada 1833 r.

w manuskrypcie widział i admirował. Co się pańskiego *Kwartetu* tyczy, solennie obiecał mi Józef Czerny, iż na św. Józef będzie gotowy. Mówił, iż nie mógł się nim dotychczas zatrudnić, bo wydawał dzieła Schuberta, których jeszcze mnóstwo czeka na prassę; to zapewne opóźni wyjście pańskiego rękopismu. Ile jednak dotychczas miarkować mogłem, Czerny nie jest jednym z bogatszych tutejszych wydawców, a zatem nie może śmiało łożyć na takie dzieła, których u Sperla, albo *zum römischen Kaiser* grać nie można [1]). Oni tu *Walce* dziełami nazywają, a Straussa i Lannera, którzy do tańca przygrywają, kapelmeistrami!

Nie idzie jednak zatem, żeby tu wszyscy tak sądzić mieli; owszem, wielu się z tego wyśmiewa, ale mimo to, *Walce* tylko drukują. Mechetti zdaje mi się, więcej przedsiębierczy i z nim łatwo będzie o pańskich *Mszach* traktować, bo zamyśla wydawać partytury znaczniejszych autorów kościelnych. Jego buchalter, grzeczny i światły Sas; wspominałem mu o cudnych pańskich *Mszach* i wcale nie był od tego, a on wszystkiem w handlu rządzi. Dziś z Mechettim jestem na objedzie, pomówię na seryo i wkrótce Panu napiszę. Haslinger teraz ostatnią *Mszę* Hummla wydaje; on tylko Hummlem żyje. Ostatnie jednak rzeczy, za które drogo musiał mu zapłacić, niewiele mają pokupu. Dlatego opóźnia wszystkie manuskrypta i tylko Straussa drukuje.

[1]) Dwóch było Czernych w Wiedniu: Karol i Józef. Karol znany powszechnie fortepianista i kompozytor, urodzony 21 lutego 1791 w Wiedniu, zostawił przeszło 900 dzieł na fortepian rozmaitego rodzaju, najwięcej przeróbek z oper, symfonii i t. p.

Czerny Józef urodzony w Czechach, a imiennik tylko pierwszego, był także fortepianistą, przytem nakładcą i właścicielem magazynu nut muzycznych.

Wczoraj z Nideckim byłem u Steinkellera, który mu dał operę do skomponowania. Wiele na nią rachuje; w niej Schuster, ów sławny komik wystąpi, a Nidecki może sobie imię zrobić. Mam nadzieję, że to Pana ucieszy.

Piszesz Pan o II. moim *Koncercie*, którego Nidecki się uczył; było to z własnej jego woli. Wiedząc, iż przed odjazdem z Wiednia musiałby się dać poznać publiczności, miał dać koncert, a nie mając własnego, tylko ładne *waryacye*, prosił o mój manuskrypt. Ale się temu wszystkiemu już zapobiegło; już nie jako wirtuoz na fortepianie, lecz jako kompozytor orkiestrowy wystąpi. Zapewne sam Panu o tem doniesie. Postaram się, by jego *Uwerturę* zagrano na moim koncercie. Będzie Pan miał z nas pociechę! (jeżeli nie wstyd: bo tu Alojzy Schmitt,

fortepianista z Frankfurtu, bardzo po nosie dostał, chociaż ma 40 lat przeszło, a 80-letnią muzykę komponuje).

Znajomym i kolegom ukłony. Łączę winny szacunek dla całego domu. Proszę przyjąć zapewnienie uwielbienia, z jakiem na zawsze zostaję pańskim wdzięcznym uczniem [1]).

Fryderyk Chopin.

Najukochańsi Rodzice i Siostry moje!

Wiedeń 14 maja 1831 r.

Ten tydzień musiałem ścisłą dyetę na listy zachować. Wytłomaczyłem sobie, że na przyszły dostanę i czekam spokojnie, bo spodziewam się, żeście zdrowi, tak na wsi, jako i w mieście. Co do mnie, zdrów jestem i czuję, że w nieszczęściu wielką to jest osłodą. Żeby też nie moje nadspodziewanie dobre zdrowie, nie wiem, cobym tu robił. Może to Malfattowskie zupki wlewały w moje żyły jakiś balsam niszczący wszelką do choroby ochotę? Jeżeli tak, to żałuję, że te nasze peryodyczne uczty skończyły się zeszłej soboty: Malfatti bowiem wyjechał na wieś z dziećmi.

---

[1]) List ten i poprzedni pisany do Matuszyńskiego, drukowano w *Ruchu Muzycznym* za rok 1857.

Nie uwierzycie, jak on ładne miejsce zamieszkuje; dziś tydzień byłem u niego z Hummlem. Oprowadzając nas po swojej siedzibie, piękności jej stopniowo nam pokazywał, a gdyśmy weszli na sam wierzchołek góry, ani się złazić nie chciało. Dwór zaszczyca go co rok wizytą, sąsiaduje zaś z księżną Anhalt, która zapewne zazdrości mu ogrodu. Z jednej strony widać Wiedeń pod nogami tak, że się zdaje, iż z Schönbrunnem złączony; z drugiej wysokie góry, a porozsiewane na nich wioski i klasztory, każą zapomnieć o przepychu i zgiełku gwarliwego miasta.

Byłem też wczoraj z Kandlerem w cesarskiej bibliotece [1]). Trzeba wam wiedzieć, żem się oddawna zbierał zwiedzić najbogatszy może tutaj zbiór starych muzycznych rękopisów, ale do tego nigdy nie przyszło. Nie wiem, czy biblioteka Bonońska w większym i systematyczniejszym porządku jest utrzymaną; lecz wystawcie sobie moje zdziwienie, gdy pomiędzy nowszemi rękopismami, widzę książkę w futerale z napisem *Chopin*. Coś to dosyć grubego i w ładnej oprawie. Myślę sobie, nigdym je-

---

[1]) Kandler Franciszek Ksawery, ur. 1792, wysoki znawca muzyki i pisarz, zmarł na cholerę 26 września 1831 roku.

szcze o innym Chopinie nie słyszał. Był jeden Champin, — a więc myślałem, że to może jego nazwisko przekręcone lub coś podobnego. Wyjmuję, patrzę, moja ręka: a to Haslinger rękopism moich *Waryacyi* oddał do biblioteki. Myślę sobie d..... macie co chować.

W przeszłą niedzielę miał być wielki fajerwerk, lecz się nie udał z powodu deszczu. Szczególna rzecz, iż zawsze prawie w dzień fajerwerkowy, musi być niepogoda. Przytoczę wam w tym względzie anegdotkę:

Pewien jegomość miał śliczny frak bronzowy, lecz wiele razy go wziął na siebie, tyle razy deszcz padał. Chociaż rzadko się w niego ubierał, prawie nigdy w suchym fraku nie wracał do domu. Idzie tedy do krawca, opowiada mu o tem i pyta, coby w tem była za przyczyna? Krawiec zdziwił się, począł trząść głową; ale prosi owego pana, żeby mu ten frak dla wypróbowania na parę dni zostawił, bo nie mógł ręczyć, czyli fatalizm ten do kapelusza, butów lub kamizelki, nie jest czasem przywiązany. Ale gdzie tam; krawiec wziął frak na siebie, wyszedł na ulicę, a deszcz jak lunie, — musiał nieborak chcąc wrócić do domu nająć fiakra, gdyż zapomniał wziąść z sobą parasola, (albo podobniejsze do prawdy, jak wielu twierdzi), że krawcowa wyszła z paraso-

lem na kawę do swojej kuzynki czy przyjaciołki. Jakimkolwiekbądź sposobem się to stało, krawiec zmokł i frak był wilgotny; trzeba było czekać aż wyschnie, bo inaczej nie byłby suchym. Poczekawszy, przychodzi krawcowi rozum do głowy rozpruć frak i zobaczyć, czy tam czasem nie ma jakiego kaduka, coby chmury sprowadzał. Wielka myśl! Pruje rękawy — nie ma nic. Pruje poły — nie ma nic. Pruje piersi i — cóż? Oto między klejonką znajduje kawał fajerwerkowego afisza! Dorozumiał się wszystkiego; wyjął afisz i odtąd frak już więcej nie mokł!

Darujcie mi, że nic pocieszającego o sobie donieść nie mogę; może też później pocieszę was jeszcze; niczego więcej nie pragnę, jak waszym życzeniom odpowiedzieć; dotychczas nie mogłem.[1]).

Wiedeń 28 maja 1831.

Wracam z poczty, ale nic nie przyszło. We środę odebrałem list od pani Jerockiej z przypiskiem kochanego Papeczki, który atoli skąpo literek tak dla mnie drogich nakreślił. Widzę

---

1) Alluzya do koncertu, którego pomimo kilko-miesięcznego w Wiedniu pobytu, jeszcze dać nie mógł.

jednakże z tego, że w domu zdrowo. Co się tyczy Marcellego i Jasia, zaklinam ich, ażeby do mnie napisali, kiedy tacy niegodziwcy, że się ich o parę liter doprosić nie mogę! Taki zły jestem, że listy ich nie rozpieczętowawszy nawet, odesłałbym im napowrót. Będą mi się tłomaczyć brakiem czasu, a ja mam czas co tydzień takie do was listy duże pisać? Oj ten czas, jak on leci! Już koniec maja, a ja jeszcze w Wiedniu; zacznie się czerwiec, a ja jeszcze tutaj będę siedzieć, albowiem Kumelski recydywy dostał i znów biedak leży![1])

Widzę, że na nudny list zakrawam, ale nie myślcie, ażeby to miało być skutkiem jakiego chorobliwego usposobienia, owszem, zdrów jestem i bawię się doskonale. Dzisiaj wstawszy rano, grałem do godziny drugiej, poczem wyszedłem na objad, gdzie zastałem poczciwego Kandlera, który mi, jak wiecie, przyrzekł listy do Cherubiniego i Paëra. Po odwiedzeniu chorego, mam zamiar udać się do teatru, albowiem będzie tam koncert i na nim dadzą się słyszeć: Herz, ów żydek skrzypek, co to na koncercie panny Sontag o mały włos u nas w Warszawie nie był wyświstany, i Döhler, fortepianista,

1) Z Kumelskim Chopin zamierzał razem z Wiednia wyjechać.

grający kompozycye Czernego. Na końcu zaś koncertu, ma grać Herz własne *Waryacye* na polskie motywa. Biedne polskie motywa! ani się spodziewacie, jakiemi majufesami was naszpikują, nazywając to dla przywabienia publiczności polską muzyką. Brońże tu potem tej polskiej muzyki, wydaj się ze zdaniem o niej, a wezmą cię za waryata, tem bardziej, że Czerny, owa wiedeńska wyrocznia w fabrykowaniu wszelkich muzykalnych przysmaków, żadnego jeszcze polskiego tematu nie waryował.

Wczoraj po obiedzie, poszedłem razem z Thalbergiem do Ewangielickiego kościoła, gdzie Hesse, młody organista z Wrocławia, popisywał się przed dobraną wiedeńską publicznością; byli tam same cymesy, zacząwszy od Stadlera, Kisseweltera, Mosela, Seyfrieda, Syrowetza i t. p., a skończywszy na kościelnym portyerze. Ma talent chłopisko, umie obchodzić się z organami. Zostawił mi Hesse kartkę do swego sztambuchu, ale nie wiem co mu wpisać, — nie staje mi konceptu [1]).

We środę u Bayerów bawiłem z Slawikiem do 2giej po północy. Jest to jeden z tu-

1) Adolf Fryderyk Hesse, ur. w Wrocławiu 1809, zmarły tamże 1863, uczeń Köhlera, był jednym z najznakomitszych europejskich organistów.

tejszych artystów z którego mam pociechę i z którym mam zażyłość. Grał wtenczas jak drugi Paganini, ale Paganini odmłodzony, co przesadzi z czasem pierwszego. Nie uwierzyłbym, gdybym go często nie słuchał; tylko żałuję, ach żałuję, że go Tytus nie poznał. I on oniemi słuchającego, każe płakać ludziom; co więcéj, każe płakać tygrysom! bo książe G. i Iskr., rozczuleni odjechali!

Co się też z wami dzieje?!.. Śnicie mi się a śnicie! Będzież koniec rozlewu krwi? Wiem co mi chcecie powiedzieć: „*Cierpliwości!*“ Tem się też pocieszam.

We czwartek był wieczór u Fuksa, gdzie Limmer jeden z tutejszych lepszych artystów, popisywał się ze swojemi kompozycyami na 4 wiolonczele. Merk swoim zwyczajem, wdzięczniejszemi je uczynił, aniżeli są w istocie. Siedziało się do 12tej, albowiem przyszła ochota Merkowi grać ze mną swoje *Waryacye*. Merk mi mówi, że lubi ze mną grać, ja z nim także lubię, więc musiemy się razem dobrze wydawać [1]). Jest to pierwszy wiolonczelista, którego zbliska uwielbiam; nie wiem jak mi się Nor-

[1]) Wiadomo, iż Chopin ofiarował Merkowi swoje dzieło Op. 3, Introduction et Polonaise brillant pour piano et Violencelle.

blin podoba; tylko niezapomnijcie o liście do niego [1]).

Wiedeń 25 czerwca 1831.

Zdrów jestem i to jedno mię pociesza, bo mój wyjazd dziwnie się nie szykuje. Nie podobnego nie doświadczałem jeszcze. Wiecie jak nie zdecydowany jestem, a tu przeszkody na każdym kroku. Paszport codzień mi obiecują i co dzień od Anasza do Kajfasza drepczę, dla odebrania tego, com w depozycie policyi zostawił. Dziś jeszcze nowéj dowiedziałem się rzeczy: — że mój paszport tak gdzieś zarzucono, że go nie tylko nie odszukają, ale potrzeba ażebym podał prośbę o wydanie mi nowego. Dziwne nas wszystkich dzisiaj napotykają koleje; chociaż jestem gotów wyjechać, przecie nie mogę. Usłuchałem rady Bayera, każę sobie podpisać passport do Anglii, lecz pojadę do Paryża. Malfatti daje mi list do swego dobrego przyjaciela Paëra. Kandler pisał już o mnie do muzykalnéj lipskiej gazety.

Wczoraj wróciłem do domu o 12tej, był

[1]) Norblin Piotr, urodzony w Warszawie 1781 r., był pierwszym wiolenczellistą Wielkiej Opery i nauczycielem w Konserwatoryum paryzkiem; umarł 1852 r.

to bowiem św. Jan, a więc Malfattiego imieniny. Mechetti zrobił mu niespodziankę, a zatem Wild, Cicimara, panny. Emmering, Lutzer i moja godność, sprawiliśmy mu muzykę nielada. Lepiej wykonanego kwartetu z *Mojżesza*, niesłyszałem jeszcze; ale *„oh quante lacrime“* panna Gładkowska nierównie lepiej na moim pożegnalnym koncercie w Warszawie śpiewała. Wild był przy głosie; ja to sprawiałem urząd niby kapellmeistra [1]).

Ogromna moc obcych słuchaczów, przysłuchiwała się na tarassie temu koncertowi. Księżyc świecił prześlicznie, fontanny biły, cudna woń z wystawionej oranżeryi napełniała atmosferę, jednem słowem: noc najpyszniejsza, miejsce najroskoszniejsze. Nie wystawicie sobie, jaka ładna budowa salonu w którym śpiewano; ogromne okna rozwarte od dołu do góry, wychodzą na tarass, z którego cały Wiedeń widzieć można; zwierciadeł pełno a światła mało Przytykający na lewo gabinet podłużnego przysionka, nadawał jakąś ogromną rozległość całemu apartamentowi. Szczerość i uprzejmość gospodarza, elegancya, dobry byt, wesołe to-

[1]) Cicimara mówił, że nie ma w Wiedniu nikogo, coby tak dobrze akompaniował jak ja. Pomyślałem sobie: Wiem o tem doskonale. (Cicho!) (Przypisek Chopina).

warzystwo, dowcip tamże panujący i wyborna kolacya, zatrzymały nas bardzo długo, dopiero około północy wsiedliśmy do powozów i rozjechaliśmy się do domów.

Z wydatkami trzymam się jak mogę, każdy krajcar tak chowam, jak ów pierścień w Warszawie. Możecie go sprzedać jak będziecie chcieli; już i tak was dosyć kosztuję na moje nieszczęście [1]).

Onegdaj z Kumelskim i Czapkiem który jest codziennym moim gościem i największe oznaki przyjaźni mi okazuje, do tego nawet stopnia, że się ofiarował dać pieniędzy na drogę gdybym potrzebował, byliśmy na Leopoldsbergu i na Kahlenbergu. Dzień był cudny. Piękniejszego spaceru, nigdy jeszcze nie miałem. Z Leopoldsbergu widać cały Wiedeń, Wagram, Aspern, Presburg, klasztor Neuburg, zamek gdzie Ryszard Lwie Serce siedział uwięziony, — i całą wyższą część Dunaju. Po śniadaniu udaliśmy się na Kahlenberg, gdzie król Sobieski miał obóz, (z niego posyłam Izabelli listek). Jest tam kościół dawniej kamedułów, w którym syna swego Jakóba przed uderzeniem na Turków, na rycerza passował

[1]) Pierścień ten otrzymał Chopin za granie na *eolimelodikonie* w roku 1825. (Obaczyć Rozdział III).

i sam do Mszy świętej służył. Ztamtąd ku wieczności, udaliśmy się do Krapfenwaldu, dolinki bardzo przyjemnej, gdzieśmy dziwny ulicznikowski obyczaj widzieli. Chłopaki stroją się w liście od stóp do głów, i w takim kostiumie niby chodzących i tańczących krzaków, łażą od jednego do drugiego gościa. Taki bęben cały liściami zakryty, z gałęziami na głowie, nazywa się *Pfingstkönig*. Ma to być obchód Zielonych świątek. Oryginalne głupstwo! Także przed paru dniami, byłem u Fuksa na wieczorze; pokazywał mi swój zbiór 400 autografów, pomiędzy którymi już moje *Ronda na 2 fortepiany* oprawne siedzi. Było tam kilka osób dla poznania mię. Fuks darował mi arkusz pisma Beethovena.

Wasz list ostatni mocno mię ucieszył, bo to wszyscy najmilsi na jednym świstku. Więc całuję zań nóżki i rączki, jakich tu w całym Wiedniu nie ma.

Wiedeń 1831 r. lipiec, sobota.

Z ostatniego listu widzę, iż otrzaskaliście się z nîeszczęściem; wierzajcie że i mnie lada co dotknąć już nie może. Nadzieja, droga nadzieja!

Nareszcie mam już paszport. Z poniedziałkowej jazdy jednakże nic nie będzie, dopiero

w środę puścimy się do Salzburga, a ztamtąd do Monachium. Trzeba wam wiedzieć, że kazałem wizować sobie paszport do Londynu. Policya zawizowała, ale w rossyjskiej ambassadzie trzymano dwa dni i oddano mi go z pozwoleniem wyjazdu nie do Londynu. Mniejsza o to pomyślałem, byleby tylko pan Maison ambassador francuzki podpisał.

Oprócz powyższych kłopotów, przybył nam jeszcze jeden: wyjeżdżając do Bawaryi, potrzeba mieć *Gesundheitspass* od cholery, inaczej nie puszczają w granice państwa bawarskiego. Jużeśmy półdnia za tem z Kumelskim biegali; po obiedzie ma być koniec. Cieszy mię żeśmy po tylu dykasteryjnych schodach mieli przynajmniej dobrą kompanię, bo jeżeli po minie polskiej, dobrej mowie i paszporcie sądzić, to właśnie Aleksander Fredro wraz z nami dla swoich służących za podobnym paszem chodził.

Cholery tu się strasznie boją, aż śmiech bierze. Drukowane modlitwy od cholery sprzedają, owoców nie jedzą, a najwięcéj z miasta uciekają. Mechettiemu zostawię *Poloneza* na wiolonczellę. Pisze mi Ludwika, że pan Elsner Kontent był z recenzyi; nie wiem co na drugą powie, bo on mię przecie kompozycyi uczył.

Nie mi nie brak, tylko życia, ducha więcej; zmęczony jestem, ale czasami taki wesół jak w domu. Gdy mam smutne chwilę, udaję się do pani Szaszek; tam zastaję zwykle kilka poczciwych Polek, których szczerze i najlepszą nadzieją tchnące wyrazy, tak mię zawsze rozkokoszą, iż zaraz generałów tutejszych zaczynam udawać. Nowy to poliszynel, świeżo mojej roboty; jeszczeście tego nie widzieli, ale ci co na to patrzą, pękają ze śmiechu. Są znów dnie, w którym dwóch słów ze mnie nie wyciągniesz, ani się dogadasz i wtenczas jadę za 30 krajcarów do Hietzingu, albo gdzie w okolice Wiednia, aby się rozerwać.

Zacharkiewicz z Warszawy był u mnie; ona jak mię u Szaszków obaczyła, nie mogła się wydziwić, że ze mnie zrobił się taki tęgi mężczyzna. Zapuściłem po prawéj stronie faworyty i — bardzo dużo tego jest. Z lewej niepotrzeba, bo tylko prawą siada się do publiczności.

Onegdaj był u mnie poczciwy Würflisko, nadszedł także Czapek, Kumelski, wielu innych i pojechaliśmy do St. Veit. Ładne to miejsce, ale nie powiem tego o tak zwanem tutaj Tivoli, gdzie jest rodzaj karuzelu, czyli ślizgawki na wozach — jak oni tu zwą „*Rutsch*“. Jest to ogromne głupstwo. Mnóstwo jednakże osób

spuszcza się temi wozami z góry na dół, bez żadnego celu; anim chciał na to patrzeć. Dopiero później, ponieważ nas ośmiu było (i to samych dobrych przyjaciół), jakieśmy się razem zaczęli spuszczać na wyścigi kto prędzéj doleci, pomagając sobie nogami, nabrało to celu współubiegania się i z zapalczywego tej głupiej wiedeńskiej zabawy malkontenta, gorliwym prozelitą zostałem, dopóki znów rozum nie przyszedł do głowy i myśl, że tem zabawiają zdrowe i mocne ciała, tem bałamucą zdatne umysły i to wtenczas właśnie, kiedy takowych ludzkość cała wzywa na swoją obronę. Niech ich djabli porwą!..

Dawano też tu w teatrze *Oblężenie Koryntu*, Rossiniego — bardzo dobrze. Cieszy mię żem się tej opery doczekał. Wild, Heinefetter, Binder, Forti, jednem słowem co tylko Wiedeń posiada dobrego, wystąpiło i bardzo ładnie. Z Czapkiem byłem razem na tej operze, po niej na kolacyi, gdzie Beethoven zawsze pijał.

Ale, żebym nie zapomniał: zapewne przyjdzie mi wziąść więcej nieco pieniędzy od bankiera Petera jak mi Papa przeznaczył; rządzę się jak mogę, ale dalibóg nie mogę inaczéj, bo bym się o bardzo lekkim worku puścił w drogę. Później broń Boże choroby lub czego i wy byście mi mogli wyrzucać, czemu się

więcej nie wzięło. Darujcie, wszak ja tu już maj, czerwiec i lipiec żyję z tych pieniędzy i więcej obiadów płacę jak w zimie. Nie czynię tego z własnego tylko natchnienia, ale raczej z cudzych przestróg. Przykro mi, że muszę was o to dzisiaj prosić. Papeczka już nie trzy grosze na mnie wydał; wiem jak się to z groszem męczyć potrzeba, że dzisiaj nawet i męki nie pomogą, ale nadzieja! Przykrzéj mi prosić jak wam dać, lecz łatwiej mi wziąść jak wam oddać. Bóg się przecie ulituje — *punktum*!

W październiku rok się skończy, jak mi paszport udzielono; zapewne trzeba go będzie przedłużyć; jak ja to mam zrobić? Piszcie czy możecie — i jaką drogą przysłać mi nowy Może nie można!..

Często na ulicy biegam za jakim Jasiem albo Tytusem. Wczoraj byłbym przysiągł że Tytus z tyłu, a to jakiś p... krew Prussak. Wszystkie te epitety niech wam nie dają złego wyobrażenia o mojej wiedeńskiej edukacyi; wprawdzie tutaj nie mają ani tyle grzeczności, ani dobranych wyrazów w rozmowie, wyjąwszy „*Gehorsamer Diener*“ na końcu; ale ja się niczego tutaj nie uczę co jest wiedeńskiem z natury. Walca naprzykład, żadnego należycie tańczyć nie umiem, to już dosyć! Mój fortepian nie słyszał tylko mazury...

Boże wam daj zdrowie! Oby żaden ze znajomych nie zmarł. Gucia szkoda!.. Wasze listy kłują i ogromną pieczęć zdrowia kładą, tak się boją: paniczny strach!

Wasz najprzywiązańszy.

Fryderyk“.

W ostatnim liście a raczéj karteczce, pisanej dnia 20 lipca 1831 r., donosi Fryderyk rodzicom, że jest na wsiadaniu, udając się wraz z Kumelskim przez Linz i Salzburg do Monachium. Pisze więc, że zdrowie mu służy i że Szteinkeller zaopatrzył go w pieniądze; ale obawiając się ażeby mu one nie wystarczyły, prosi o nowe do Monachium takowych nadesłanie.

Oto wszystko, co dotąd z ogromnego zbioru listów pisywanych przez Chopina do rodziców zostało; jaki zaś los spotkał resztę? o tem dowiedzą się czytelnicy na właściwem miejscu.

Pozbawieni odtąd źródeł rodzinnych, bezpośrednio od Chopina pochodzących, a służących nam aż do tej chwili za grunt do kreślenia niniejszej biografii, musimy się w dalszym jej ciągu ograniczać na wspomnieniach własnych czerpanych w znacznej części z przeglą-

dania listów jego paryzkich, tudzież na podaniach ustnych lub pismiennych, osób żyjących z nim w poufalszych stosunkach. Pewna jeszcze liczba listów jakich nam się pozyskać udało, a pisywanych przez Chopina do kilku bliższych przyjaciół w rozmaitych epokach życia jego na obczyznie, stanowić będą podstawę niektórych następnych rozdziałów.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



TREŚĆ ROZDZIAŁÓW.

ERRATA DO I. TOMU.

---

zamiast:	powinno być:	strona:	wiersz:
		114	7.
gdy umysł	*gdy miał umysł*	128	7.
Syrowetzem	*Gyrowetzem*	132	20.
występuje	*występując*	136	24.
unieść	*znieść*	154	2.
dworcu	*dworze*	160	22.
do Adagic E-mol Koncertu	*Adagio do E-moll Koncertu*	169	20.
nie	*nic*	176	26.
podnosić	*podziwiać*	199	9.
Palarresi	*Palazzesi*	204	4.
ten	*lecz*	210	15.
się	*mię*	220	3.
niech	*niej*	231	21.
Syrowetzem	*Gyrowetzem*	249	17.
wieczności	*wieczorowi*	254	2.
do Londynu	*do Londynu lecz do Monachium*	255	6.
